

GRIMWALKER GRIMWALKER

EUCHARYSTIA



ŚMIERĆ W DECEMBER

GRIMWALKER
GRIMWALKER
ŚMIERĆ W DECEMBER

E U C H A R Y S T I A

Przekład Witold Biliński



Tytuł oryginału: *Döden i December 3: Nattvarden*

Przekład z języka szwedzkiego: Witold Biliński

Copyright © Caroline Grimwalker, Leffe Grimwalker, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Nils Olsson

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Mierzejska

ISBN 978-91-8054-040-7

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Gdyby December było bóstwem, stanowiłoby połączenie Lokiego i Kali.

– Słońce Morgongåva

„Nie chcę umierać!”

Eddie Branko biegnie jak szalony, a zimne jesienne gałęzie smagają jego ciało. Drapią skórę tam, gdzie jest cała, i rozszarpują krawędzie ran. Jedyne, co ma, to własne nogi, które ledwo są w stanie go nieść po mieściu o samej wodzie, zupie i witaminach.

„Co za cholerni szaleńcy” – myśli i nagle potyka się i stacza po pochyłości w mrok. Nie jest w stanie zatrzymać swojego ciała. Nocny przymrozek zamienił ziemię w tarkę do warzyw. Kolejne rany. Kolejne sińce.

Latarki śledzą go przez zimny las jak białe promienie lasera. Eddie zalicza twarde lądowanie w strumieniu, który ignoruje jego obecność. Woda obojętnie zabiera ze sobą trochę jego krwi i niesie dalej, gdzieś do cywilizacji. Kręgosłup wyje po upadku, ale Eddie nie ma czasu sprawdzać, czy coś złamał. W tej chwili jego jedynym przyjacielem jest adrenalina. Dziękuje opatrności, że nie walnął się w głowę i nie zemdłał.

„Trzeba było zwiewać z December, kiedy jeszcze miałem szansę”.

Wstaje z wielkim wysiłkiem. Przez brak rąk traci równowagę, ale znów się podnosi. Spogląda za siebie i słyszy wołanie.

– Tam jest! – krzyczy ktoś nad nim.

Biegnie dalej, wzdłuż prawego brzegu strumienia, przypomina sobie, jak był harcerzem i dowiedział się, że jeśli będzie szedł wzdłuż płynącej wody, to w końcu dotrze do jeziora albo morza. Znajdzie ludzi i ratunek.

Zakrwawione i poranione stopy krzyczą z bólu. Bieg po mokrym i zimnym wrzosowisku sprawia mu niemal przyjemność.

Eddie ma nadzieję, że dotrze do jakiejś wsi albo gospodarstwa, gdzieś, gdzie są policja i pomoc. Wpada na gałąź, która prawie wydłubuje mu oko, widzi przed sobą może na pięć metrów. Księżyc schował się za

chmury, jakby spiskował przeciwko niemu. Razem z tymi świrami. Razem ze śmiercią, która chichocze mu do ucha.

Od ponad miesiąca nie widział słońca ani księżyca. Zamknęli go w pieprzonej stajni, a potem zaczęli najbardziej chory spektakl, jaki kiedykolwiek widział. Cholerni szaleńcy, którzy go porwali, sam nie wie, z jakiego powodu, chyba tylko dlatego, że są sadystami. Nie widział ich twarzy, nie słyszał, jak mówią. Po prostu weszli i go zabrali.

„Kawałek po kawałku...”

Walczy z własnym ciałem, by nie wydać krzyku przerażenia, przeskakuje przez kamień i wpada w ukryte pod wrzosami zagłębienie. Przewraca się i uderza w głowę, bo nie ma rąk, którymi mógłby się podeprzeć. Jego ręce są... Bóg jeden wie gdzie.

Obraca się na bok. Robi się mokry, kiedy jego ciało roztapia szron na skórze, zauważa, że cały się trzęsie. Ma na sobie tylko bokserki.

„Jeśli tu zostanę, zamarznię na śmierć. Albo mnie znajdą i znowu tam zawłoką. Do tego piekła na ziemi. Nie mogę skończyć jak Szmata”.

Ma wyrzuty sumienia, że nie wie, jak naprawdę nazywa się Szmata, i że nie próbował zabrać go ze sobą, ale niby jak miałby to zrobić?

Szmata. Przewisko, które nadał mężczyźnie leżącemu obok niego w skrzyni. Ledwo go widział w ciemnościach panujących w przebudowanej stajni, zobaczył jednak wystarczająco dużo, żeby przez resztę życia mieć koszmary. Na myśl o nim Eddie zbiera siły, by podnieść się na kolana. Ostry kamień. Błyskawica bólu. Nie ma jednak rady. Drżąc, wstaje znów na nogi. Słyszy swoich prześladowców.

Latarki zbliżają się coraz bardziej i Eddiego ogarnia panika. Rusza pędem przed siebie i gdzieś daleko, niżej w dolinie, zauważa światła miasta.

Szybko oddycha, żałuje, że nie trenował więcej, zanim go porwali. Nie ma pojęcia, co takiego zrobił, dlaczego go zabrali. Nie jest bogaty, nie ma też dzianych rodziców.

Eddie próbował to zrozumieć przez miesiąc, ale oni nawet na niego nie spojrzeli, nie reagowali też na pytania ani wrzaski. Szmata też nie potrafił odpowiedzieć na pytania Eddiego, szeptał w ciemności w piekiel-

nej stajni. A przynajmniej nie powiedział nic, co nie było tylko szalonym bełkotem człowieka, który postradał rozum.

Z lewej strony pojawia się latarka i zaczyna się zbliżać. Eddie wie, że robi za dużo hałasu, ale nie może się skradać. Jeśli nie dotrze do miasta, znajdą go. To jego jedyna szansa.

Coś świszczy koło jego ucha. Kiedy strzała wbija się w wiekowe drzewo tuż przed nim, Eddie krzyczy.

Mija pień, przeskakuje przez inny, który dawno temu się przewrócił, udaje mu się złapać równowagę, kiedy ląduje na czymś obrzydliwie miękkim. To chyba zgniły grzyb.

Cały las krzyczy, że jesień wkrótce się skończy i nadejdzie zima, niektóre jego części już się poddały. Eddie, kochający jesień, być może już nigdy jej nie przeżyje. Kiedy go porwali, cała przyroda właśnie zmieniała kolor. Teraz zapada w długi zimowy sen.

„Albo umiera... Tak jak ja...”

Eddie czuje potworny ból w barku i się wzdryga. Dostał strzałą i nie ma czym jej wyciągnąć. Umrze tutaj, nawet nie wie, gdzie to jest.

Miesiąc temu był w December. Miesiąc temu planował oświadczyć się swojej dziewczynie Amandzie, tęskni za nią tak, że aż go boli.

Kolejny świst, tym razem pudło. Głośne nawoływania, które jeszcze bardziej go poganiają. Znajduje ścieżkę i pędzi nią, stopy piszczą z bólu, nogi błagają o chwilę odpoczynku.

Na lewo od siebie widzi zbliżający się cień. Kierując się czystą głupotą albo instynktem, zmienia kierunek i biegnie w tę stronę.

Zderzają się jak dwa walczące ze sobą jelenie. Eddie widzi przerażoną twarz, którą uderza czołem, kiedy padają na ziemię. Bije głową raz za razem, aż stwierdza, że przeciwnik chyba stracił przytomność. Ledwo czuje krew spływającą z pękniętego łuku brwiowego.

Znów wstaje i rusza dalej. Kolejne krzyki w lesie mówią mu, gdzie jest. Więcej ludzi chcących go zabić lub zabrać do piekła na ziemi. Do stajni cuchnącej śmiercią i strachem.

Kiedy przelatuje przez jakąś drogę, czuje uderzenie. Ból, który natychmiast potem rozlewa mu się po plecach, może oznaczać tylko jedno. Trafiła go kolejna strzała.

Wbiega do lasu i zagłębia się w niego na dziesięć metrów, porusza się wzdłuż drogi prowadzącej do miasta. Do ludzi. Być może będą w stanie uratować mu życie.

Wkrótce go dopadną, wie o tym, nie uda mu się dobiec aż do miasta.

Dociera do miejsca, w którym kiedyś spędzał czas z kumplami. To niewielka grotta mogąca go teraz ocalić. Eddie zmienia kierunek i modli się, żeby udało mu się tam schować, kiedy kolejna strzała trafia w jego biodro. Ból uderza go jak rozpalone żelazo i promieniuje do nogi.

Eddie przebiega przez pagórek i zeskakuje na dół. Jeśli się nie myli, gdzieś tutaj powinna być grotta. Przewraca się na plecy, czuje, jak tkwiąca w jego barku strzała łamie się i kolejny płomień bólu rozjarza się w sponiewieranym mięsie. Wczołguje się do środka na plecach i zamyka oczy.

Prześladowcy przebiegają obok niego, kierują się w stronę December. Jeśli będzie miał szczęście, to go nie znajdą.

2

John Wagner wysuwa szufladę swojego biurka na posterunku policji w December i zagląda do niej. Pudełka, blistry, kolejne pudełka, kilka zamkniętych torebek z różnymi proszkami, kubeczek o pojemności decylitra, inny o pojemności łyżki stołowej. Szarpie się za włosy, przyglądając się bałaganowi złożonemu z różnych suplementów diet, witamin i cudownych leków. Jak w pieprzonym kotle czarownicy.

„Co ja, do cholery, miałem wziąć?”

Przesuwa brązowy zszywacz, który wygląda, jakby leżał w tej szufladzie od lat siedemdziesiątych, i podnosi zestawienie tabletek.

„Suplement żelaza? Antyoksydanty? Czy może kreatynę?”

Choćby nie wiadomo, jak wysilał mózg, nie może sobie przypomnieć, o czym myślał zaledwie dziesięć sekund wcześniej. To ta piekielna mgła mózgowa. Właśnie ją próbuje zwalczyć tymi czarodziejskimi miksturami, które zebrał w szufladzie jak jakiś nawiedzony foliarz.

„Nie masz jednak pojęcia, jak byś wyglądał bez tych suplementów” – próbuje przekonywać sam siebie, wyciągając na chybił trafił jakieś opakowanie i wysypując z niego na dłoń dwie kapsułki. Są przezroczyste, napelnione białym proszkiem. Patrzy na opakowanie. Resveratrol. No właśnie. Suplement, który podobno ma sprawić, że będzie żył dłużej.

„A niby dlaczego miałbym tego chcieć?”

Ten cały bałagan w szufladzie wyraźnie jednak świadczy o tym, że właśnie tego tak naprawdę chce. Mimo że przybył do December niespełna miesiąc temu – w teorii tylko po to, żeby zbadać sprawę żony Sary i syna Mattiasa, którzy zaginęli – i mimo że minęły ledwie dwa tygodnie od czasu, kiedy dał się przekonać, by zatrudnić się w policji w December, i choć raz na jakiś czas wmawia sobie, że jest tu obcy, szuflada zdradza prawdę: zaczął się tu zadomawiać.

Patrzył na przyniesiony przez siebie z domu kubek i zdjęcie Sary i Matiasa też leżące w szufladzie. Wszystkie samoprzylepne karteczki, notatki, teczki i segregatory zakrywające biurko. Haczyk na ścianie, który już uważa za swój.

„Jak do tego, kurwa, doszło?”

Wzdryga się i spogląda na wymiennik ciepła. Szefowa Mona Ott Öster wreszcie uruchomiła go na nadchodzący sezon. Posterunek policji w December to stary, przebudowany kamienny kościół, przez co powietrze wewnątrz jest lodowate nawet latem. Teraz, pod koniec jesieni, na oprawionych w ołów oknach czasami pojawia się nocny szron. Ogrzanie starego kamiennego kościoła to syzyfowa praca, którą trudno porównać z czymkolwiek innym.

„Może to i dobrze. Zamiast brać lodowate kąpiele, wystarczy pójść do pracy”.

John opuszcza rękawy koszuli i stara się zapamiętać, żeby przynieść polar, który będzie mógł nosić w środku. Myśl ta prawdopodobnie za chwilę uleci gdzieś w przestrzeń, jeśli dobrze zna swój nieszczęsny mózg.

Za blatem recepcji siedzi macho gej Valle, bardzo zajęty cichą rozmową przez telefon. Trochę dziwnie myśleć o nim w ten sposób, ale Valle sam na to nalega, więc John nie będzie protestował. Valle i Mona jako jedyni są w pracy w stu procentach dla niego mili. Wydaje się, że uważają go za cenny nabytek policji w December, podczas gdy pozostali trzymają się trochę na dystans. Jimmy w sumie też już jest w porządku, po tym przypadku z Alvarezem, kiedy John mimo wszystko poprowadził go we właściwym kierunku, bo szukali igły w stogu siana. Igły, która później – w bardzo dogodny sposób – zniknęła po prostu gdzieś w próżni.

„Ach, ci Ackermannowie” – myśli i dodaje „Przyjrzyć się tej rodzinie bliżej” do swojej długiej i nieustannie rozrastającej się listy rzeczy do zrobienia, o której w dodatku ciągle zapomina.

No tak. Jimmy, Valle i Mona przynajmniej teraz dobrze się w stosunku do niego zachowują. Nie mają wątpliwości, czy w ogóle powinien tu pracować, tak jak Juliette. Ani go nie unikają, milcząco oceniając, jak Frank.

Axel Luo też chyba jest w porządku, ale tylko dlatego, że jest niemiły dla wszystkich, nie tylko dla Johna. Miał nocną zmianę i jeszcze nie przyszedł, ale w jego przypominającym klatkę biurze, przyklejone do tyłu monitora, wisi wydrukowane zdjęcie jego twarzy, która surowo przygląda się całej reszcie.

„Zawsze musi być na miejscu co najmniej jeden czarny” – wyjaśnił, kiedy John go o to zapytał. „Za dużo razy już widziałem, jak to się kończy, kiedy strażnicy prawa to same cholerne biały”.

Juliette „Superglina” Cortas – która w świecie Axela powinna być traktowana jako biała, chociaż pochodzi z Libanu – siedzi, szybko uderzając palcami w klawiaturę, skupiona jak tysiąc superbohatek. Gdyby mieszkała w Sztokholmie, prawdopodobnie już by go prześcignęła, jeśli chodzi o karierę.

„A kto nie?” – myśli John. Kto by nie wyprzedził detektywa, który się wypalił, cierpi na wstrząs pourazowy i według połowy załogi stoi za zagięciem żony i syna. Fantastyczne CV...

W drugim z dwóch szklanych akwariów stoi Jimmy, o kolejny dzień bliższy wytęsknionej emerytury, a obok niego siedzi śmierzący owczarek Bulten, też o jeden dzień bliższy śmierci. Jimmy wydaje się bardzo zajęty czymś w rodzaju biurowej jogi.

Nowicjusz Frank też jeszcze nie przyszedł do pracy. Ogólnie rzecz biorąc, na posterunku obowiązuje przyjemne tempo. Zupełnie inne niż tydzień czy dwa temu. Wtedy, kiedy życie całej doliny wywróciło się do góry nogami i zło rozlało się aż do podnóża gór, jak straszna i zaraźliwa choroła.

Najpierw ten gang ze Sztokholmu uznał, że okolice December to fantastyczne miejsce do produkcji narkotyków i wyrzucania trupów, co spowodowało, że John już nigdy nie spojrzy w ten sam sposób na jezioro, nad którym próbuje mieszkać. Nie mówiąc już o tej wielkiej strzelaninie. A potem dramacie z zakładnikami w hucie, dosłownie następnego dnia. Tym, po którym rodzina Ackermannów gorączkowo stara się teraz posprzątać, przeciągając w nieskończoność dochodzenia. I prawdopodobnie smarując, gdzie trzeba.

Były to dwa piekielne tygodnie. Gdyby nie Kim, John najpewniej by się poddał i utopił w jeziorze. Jeden trup więcej czy mniej...

Na myśl o Kim John zatrząskuje szufladę trochę za mocno. Słynna psycholożka z December. Ta, która pomogła mu zarówno z gangsterami, jak i uwolnieniem zakładników. Kim ze swoimi rudymi jak jesienne liście włosami i złocistym uśmiechem. Oстрыm jak brzytwa umysłem. Głębokimi ciemnoniebieskimi oczami. Dołeczkiem w policzku pojawiającym się przy każdym uśmiechu...

Od tego wieczoru w pubie Lyckoslanten, kiedy bawiła się kartami tarota, ujawniając jedną czy dwie niewygodne prawdy, trzymał się od niej z daleka.

„Kartami tarota Sary”.

Wyrzuty sumienia dręczą go od tego wieczoru, a może nawet od chwili, gdy pierwszy raz zobaczył Kim i szczeka opadła mu do samej ziemi. Wydaje się, jakby to było całe życie temu. Musi skupić się na tym, co trzeba, a nie jest to Kim Cordell.

„Sara. Sara i Mattias”.

Przygryza policzek i właśnie ma wrócić do notatek, które zrobił na temat „Major” – tak nazywała siebie kobieta z terenów przemysłowych Lyckan – kiedy otwierają się szerokie podwójne drzwi posterunku i i... coś wchodzi.

„Co, do chuja?”

Valle podnosi wzrok znad tego, czym zajmował się w recepcji. Otwiera szeroko oczy. To, co przechodzi przez drzwi, wygląda jak kosz na śmieci na dwóch nogach. Jeden z tych ulicznych, miejskich. Takich, które stoją przy krawężniku. Valle wypowiada kilka słów i gestykułuje w stronę biurka Johna, po czym śmietnik skręca i rusza w jego kierunku.

„Co to, kurwa, jest?”

Kiedy kosz podchodzi bliżej, John zauważa, że jest u góry pokryty sadzą. Czuć słaby zapach spalonego papieru. Zza blachy wystaje głowa z wianuszkami ciemnych włosów.

– Czekaaj, czekaaj – dyszy mały człowieczek dźwigający kubeł. Stawia go pośrodku biurka Johna, patrząc na niego wyzywająco.

Policjant rzuca okiem na Vallego i widzi, że ten zaśmiewa się po cichu. Juliette przestała stukać w klawiaturę i patrzy zaskoczona na kosz, który wprowadza chaos we wszystkich teczkach i karteczkach na biurku Johna.

Człowieczek wyciąga z kieszeni na piersi garnituru jedwabną chusteczkę i wyciera starannie łysinę i czoło, po czym znajduje sobie krzesło i siada.

– No więc... dzień dobry? – zaczyna John.

– To ten cholerny Felix Leijon – oświadcza mężczyzna, wskazując na kosz z wypaloną zawartością. – Jestem pewien. Musicie go aresztować.

– To znaczy zatrzymać?

– To znaczy, że macie go wsadzić do więzienia i wyrzucić klucz.

„Okej. Jakiś wariat. Cudownie” – myśli John i zmienia pozycję na krześle, obserwując mężczyznę.

Jest niewysoki i pulchny, ubrany w trzyczęściowy, szary tweedowy garnitur. Na szyi ma muchę w kolorze musztardy. Poprawia ją, kiedy zauważa wzrok policjanta.

– Muszkę dostałem od Salmana Rushdiego w dziewięćdziesiątym drugim roku – informuje z dumą, tak jakby to wszystko wyjaśniało.

– Fantastycznie. A pan to...?

Mężczyzna przez chwilę wydaje się zaskoczony. Potem jego spojrzenie się rozjaśnia, tak jakby zdał sobie sprawę, że zanurzony we własnej historii przyjął za pewnik, że wszyscy inni równie dobrze ją znają. Uśmiecha się, przez co jego twarz staje się miękka i pełna zmarszczek. Miła.

– Proszę o wybaczenie – mówi, wstając z wyciągniętą ręką. – Mam na imię Sylvester. To właśnie ja jestem tu w December bibliotekarzem.

John potrząsa jego ręką.

– A to jest – pyta, wskazując kosz na śmieci – pański przyjaciel Felix?

Bibliotekarz cofa się nieco zaskoczony, a Valle w recepcji wybucha głośnym śmiechem. Sylvester mruży oczy.

– Przepraszam... co? – Odwraca się w stronę Vallego i podnosi głos: – Ten tutaj jest trochę cofnięty, nie?

– Tylko troszkę. – Śmieje się Valle. – Mów powoli, to w końcu zrozumie.

John wzdycha.

– Przychodzi pan tutaj i stawia ten... przedmiot na moim biurku, mówiąc, że to Feliks Leijon. A jednak tak nie jest.

Zwraca uwagę, że jednak cieszy go to wydarzenie. Bo jeszcze kilka minut temu jego myśli ciągle wracały do czegoś, co jest nie do wytrzymania.

„Mattias. Sara. Kim... Rude włosy. Dołeczek w policzku”.

– No i? Halo?

– Przepraszam – mówi John, zauważywszy, że znów gdzieś odleciał.

Bibliotekarz patrzy na niego z takim niepokojącym ciepłem w oczach, jakie zazwyczaj jest zarezerwowane dla dziadków.

– Czy wszystko w porządku? Gdzie pan odpłynął?

„Do scenariusza, w którym znajduję tego, kto porwał Sarę i Mattiasa. W którym oboje żyją. Moja ukochana rodzina. A jednocześnie do innego, równoległego świata, w którym Kim i ja żyjemy długo i szczęśliwie. Nie wiem dokładnie, czy śpię, czy nie, ostatnio jedno z drugim mi się zlewa” – myśli zaniepokojony John i znów wzdycha. Ostatnio bez przerwy wzdycha.

– Proszę mówić – zachęca, wskazując zmęczonym gestem na kosz na śmieci brudzący mu biurko.

– To nie jest Felix Leijon – tłumaczy Sylvester powoli, jakby mówił do dziecka. – Ale to Felix Leijon go spalił. Ja w każdym razie myślałem, że biblioteka postoi przynajmniej do czasu, aż przejdę na emeryturę. Błagam, cztery lata. Dajcie mi to. A potem może sobie podpalać, co mu się żywnie podoba. Wtedy ten gówniarz będzie szczęśliwy, a jednocześnie da upust swoim piromańskim chuciom.

Sylvester wyjmuje z kieszonki kamizelki srebrny pojemniczek z wymyślnie zdobioną pokrywką i mocno wciąga aromatyczną tabakę z zagłę-

bienia między kciukiem a palcem wskazującym, po czym kicha i kończy ze łzami w oczach:

– No i co powiecie?

– Ten wspomniany gówniarz – wyjaśnia Valle, który podszedł do biurka Johna – to Felix Leijon, właściciel księgarni i sklepu papierniczego Brunnens po drugiej stronie rynku. Jest chyba po trzydziestce.

Odwraca się w stronę Sylvestra.

– Już samo to, że ma księgarnię, mówi, że raczej nie byłby zadowolony, gdyby biblioteka spłonęła. To klasyczny mól książkowy.

Mężczyzna głośno prychnął, słysząc te ostatnie słowa, ale Valle kontynuuje:

– A do tego od piętnastu lat pisze swoją pierwszą powieść. Przypuszczam, że dla niego pożar biblioteki to prawie jak jedenasty wrzesień. Felix na pewno by nie chciał, żebyś się spalił, Syl.

– No to jak to wyjaśnisz? To ten kosz, który stoi tuż przy naszym wejściu. – Bibliotekarz wskazał na dowód rzeczowy.

Spogląda na zegarek. Wzdycha.

– Boże, do tego jestem spóźniony! Zakładam, że zajmiecie się tym i dopilnujecie, żeby Feliksa spotkała zasłużona kara?

Valle uśmiecha się i kiwa głową w stronę Johna.

– Nasz nowy pracownik zadba o to, żeby wszystko zostało sprawdzone, nawet najdrobniejszy płatek sadzy, obiecuję. Czy Syl opowiedział ci swoją historię o Rushdiem? – pyta Johna.

Sylvester wygląda teraz, jakby był rozdarty. Widać wyraźnie, że naprawdę mu się spieszy, ale też bardzo chce opowiedzieć historię o muszce, którą z dumą nosi na szyi. W końcu podejmuje decyzję i ostatni raz wskazuje bałagan na biurku Johna.

– Innym razem. Ukarzcie tylko tego gnojka. Dobrze wiecie, jak źle może się skończyć pożar w December.

Wychodzi, zostawiając za sobą Johna, Vallego i wypalony kosz na śmieci. Juliette na swoim krześle wybucha śmiechem, gdy tylko za Sylvestrem zamykają się drzwi.

Mona wychodzi ze swojego biura, też z uśmiechem na ustach.

– Opowiedział o muszce? – pyta tak, jakby stała tuż za drzwiami i podsłuchiwała.

John czuje się niekomfortowo. Tak jakby był obiektem drwin, o czym wiedzą wszyscy poza nim samym. Odmieńcem, z którego można sobie do woli stroić żarty. Właśnie ma coś wymamrotać, chwytając kosz, żeby go przenieść, kiedy ze swojego akwarium wychodzi Jimmy z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Możecie się tym zająć później – mówi. – Właśnie odebraliśmy zgłoszenie. Ktoś znalazł trupa tuż przed tablicą z nazwą miasta.

3

Znak, na którym z dumą wypisano liczbę mieszkańców December, pozostający pod opieką przewodniczącej rady miejskiej Claire Olofsson, stoi przy drodze numer 70, prowadzącej od odległej drogi międzynarodowej u podnóża gór do tego zapomnianego przez Boga przemysłowego miasteczka. Z ogromną wiarą w przyszłość informuje ozdobnymi literami: „Witamy w December, najpiękniejszym miejscu na Ziemi. Liczba mieszkańców: 10 002”.

Valle parkuje tuż przed znakiem i podchodzi do bagażnika po swój służbowy kombinezon, po czym z uśmiechem wskazuje tablicę.

– Jeszcze dwa trupy i nasza dziura zmieni status z miasta na wieś. Znowu. Wtedy pełen rozpaczy i wściekłości wrzask Claire będzie pewnie słychać w sąsiednim okręgu.

John wstaje i patrzy na karetkę pogotowia zaparkowaną obok ciała, które leży w rowie jak porzucona szmata. Jesienny wiatr mierzwi mu włosy. John stwierdza, że jeśli ma spędzić w tym mieście zimę, musi sobie sprawić grubszą kurtkę. Potem zauważa, co robią ratownicy, i unosi brwi.

– A co wy tu, do cholery, wyprawiacie? – pyta i odwraca się w stronę Vallego.

Tamten zamyka bagażnik i patrzy w stronę ciała. Widząc, jak ratownicy je podnoszą, wściekły trzaska pokrywają.

– Halo! – wrzeszczy, biegnąc do nich wielkimi susami. – Halo, co wy tu, kurwa, robicie? Nie możecie tak po prostu... halo! To jebane miejsce zbrodni!

Ratowniczką jęczy, gdy razem z kolegą przenosi zwłoki na rozłożone nosze.

– To może być obojętnie jakie miejsce! – woła w odpowiedzi. – My musimy uratować mu życie.

– Ura... – Valle się zatrzymuje.

– On żyje?! – dziwi się John i podbiega do noszy, na których ratownicy właśnie przypinają bladości i niemal całkiem nagiego człowieka.

„Boże, przecież on nie ma rąk”.

– Ledwo, ledwo. Ale jest słabiutki puls. Więc jeśli pozwolicie... – Ratownik przegania Johna z drogi.

Dwie minuty później karetka włącza syreny i rusza pędem w stronę December.

– Ja pierdolę – mówi Valle, który zdążył naciągnąć tylko jedną nogawkę swojego białego kombinezonu, a teraz ciągnie jego resztę za sobą po ziemi.

– To co robimy? Jeśli żyje, to powinniśmy skupić się na tym, żeby go przesłuchać – mówi John, odprowadzając wzrokiem błyskawicznie oddalający się ambulans.

Valle kiwa głową.

– Skoro to nie jest miejsce zbrodni, to może poczekać. Na razie je ogrodzę, żebyśmy mogli przyjechać później i wszystko obrobić, dobra? – sprawdza, czy kolega się z nim zgodzi, czy będzie protestował.

John zastanawia się chwilę. Wzdryga się i owija mocniej kurtką.

– No, mówię właśnie. Teraz najważniejsze to porozmawiać z tym gościem. Rozciągniemy taśmę i ruszamy za karetką. Zadzwoni i poproś, żeby przysłali kogoś z posterunku, niech tu popilnuje przez jakiś czas.

– Nikt nie chce ze mną pogadać? – pyta głęboki bas za ich plecami, na co obaj podskakują.

– A pan to kto?

Właściciel niskiego głosu jest gruby, wysoki i brodaty. Wyciąga w ich stronę potężną dłoń z palcami tak włochatymi, że na pewno jest w co najmniej jednej czwartej Wielką Stopą.

– Janne – przedstawia się. – To ja dzwoniłem. Zobaczyłem go w rowie i zatrzymałem się. Wezwałem policję. Właśnie zaparkowałem ciężarówkę na zwirowej drodze jakieś dwieście metrów stąd. – Wskazuje ręką przez ramię. – Przyszedłem jak najszybciej.

John wciąż wpatruje się w dal.

– Widział pan tu kogoś innego?

Kierowca potrząsa głową.

– Ani żywej duszy.

– Okej – mówi Valle. – Czy może pan pojechać do December i złożyć zeznanie na posterunku?

– Jasne, że mogę – odpowiada Janne bez wahania. – Harmonogram trochę się obsunie, ale nie ma rady. Nie można przecież pozwolić, żeby ten bydlak dalej tu grasował.

– Jaki znowu bydlak? – pyta Valle.

– No ten, który tak potraktował tego biedaka – tłumaczy Janne. – To najstraszniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu.

4

W December zaginęło sześć osób, a Kim Cordell jest całkiem pewna, że żadnej z nich nie uda się już odnaleźć.

Siedzi na forum patrolobywatelski.net i już piąty raz czyta ten sam wątek. Coś im umyka, jest tego pewna. Rozwiązanie zagadki zawsze kryje się w drobnych szczegółach, a jeśli uda im się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, to na pewno pojawi się odpowiedź.

Wszyscy członkowie forum nauczyli się cierpliwości, ale żaden z nich jej nie lubi. Wspólnie rozwiązali trzy morderstwa w Szwecji, co spowodowało, że wiadomości chciały z nimi przeprowadzić wywiady, ale wszyscy odmówili. Nikt nie chce zdradzić swojej tożsamości. Lepiej zachować anonimowość, choćby dlatego, że gdyby się ujawnili, członkowie rodzin osób zaginionych czy zamordowanych bombardowaliby ich błaganiami o zajęcie się właśnie ich przypadkiem.

Kim czuje zapach własnego ciała i patrzy na zegar. Zdaży wziąć prysznic, zanim pojawi się pierwszy pacjent. Patrzy na swoje odbicie w lustrze w łazience. Zamieszkał tam wrak człowieka. Kim doskonale wie, że powinna się wysypiać. W ustach czuje wczorajszą whisky. Rozważa, czy aby nie wziąć sobie wolnego dnia, a może dwóch czy nawet trzech.

„Ech, jeden by zupełnie wystarczył”.

To przez samotność więcej pije. Tęskni za swoją najlepszą przyjaciółką Elin, ale też za Johnem. Wszyscy przyjaciele z forum jakby się nie liczyli... A może jednak?

Ma życie towarzyskie, znacznie bogatsze niż większość ludzi, a do tego osoby z forum są najfajniejsze. Nie wie, jak wyglądają, zna tylko ich zdjęcia profilowe, na których można znaleźć wszystko, od znanego seryjnego mordercy po wózek dziecięcy.

Jednocześnie na tym forum przeżyła wiele ze swoich najlepszych chwil. Świetnie, że nie można tu oceniać wyglądu, ciała ani tonu głosu.

Żargon jest dość konkretny, gdyby chciała, mogłaby bez trudu przeprowadzić psychologiczną analizę samego sposobu wypowiedania się użytkowników.

Ale wcale nie ma na to ochoty, dobrze jest tak, jak jest. Ci ludzie mimo anonimowości ujawniają prywatne informacje. Ktoś pisze, że jest matką, inny wspomina o pracy, finansach i tak dalej. Gdyby się chciało, można by poszperać i odkryć ich tożsamość. Gdyby się chciało.

Ona nigdy by tego nie zrobiła. To kwestie szacunku i uczciwości. Forum stało się też miejscem, w którym ludzie się nawzajem wspierają, jeśli ktoś kiepsko się czuje. Miejscem, w którym każdy może być sobą.

Kim odkręca prysznic i w oczekiwaniu na ciepłą wodę siada na sedesie. Pociera kilka razy twarz dłonią. Czuje się pusta w środku. Dobrze wie dlaczego, ale nie ma pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Być mądrą dla innych to jedno, a być własnym psychologiem to zupełnie inna para kaloszy.

Brakuje jej tych potężnych wrażeń przeżywanych tydzień temu, nigdy wcześniej nie czuła się tak żywa. Wkroczyła w sam środek afery z zakładnikami. Negocjowała z Antoniem Alvarezem, którego John ostatecznie postrzelił. Pełno było chaosu i napięcia, a Kim czuje lekki wstyd, bo trochę jej się to podobało.

Najgorsze jest to, że była w tym dobra i w głębi duszy chciałaby, żeby tak było przez cały czas. Jej własny psycholog będzie miał używanie, kiedy się spotkają.

Wchodzi pod prysznic i stoi bez ruchu pod strumieniami wody. Przymyka oczy, rozkoszując się dźwiękiem i ciepłem. Działa to oczyszczająco na wiele sposobów. Kim wcale nie ma ochoty wychodzić z kabiny, ale wie, że musi. Myje się, bez reszty pochłonięta myślami. Ubiera się szybko, uśmiecha do siebie w lustrze, z którego spogląda na nią teraz nieco ładniejszy wrak człowieka. Wsiada do elektrycznego samochodu – zapomniała podładować go przez noc – i jedzie do biura.

Dlaczego John do niej nie zadzwonił?

Dlaczego ona nie zadzwoniła do Johna?

Wie dlaczego – przechodzą swego rodzaju kwarantannę. Bo oboje czują, jak bardzo ich do siebie ciągnie. Są jak dwie planety, które krążą

wokół siebie związane siłą grawitacji, ale absolutnie nie mogą się do siebie zbliżyć. Oboje dźwigają na grzbiecie plecaki pełne ciężkich kamieni. John szuka zaginionych żony i syna. A ona obiecała sobie już nigdy do nikogo się nie zbliżyć. Cierpienie, zdrada i rozczarowanie są zbyt bolesne.

„Jeśli się nie jest ostrożnym, można dosłownie stracić kawałek siebie”.

Kim nagle siada na swoim biurowym krześle, nie wiedząc nawet, jak się tam znalazła. Zastanawia się, gdzie postawiła samochód, zgaduje, że tam, gdzie zawsze. Ma wrażenie, że posmakowała tego, co życie może jej zaoferować, a potem to straciła. Uwielbia współpracować z policją, zwłaszcza z Johnem. Kiedyś interesowała się kryminalnymi historiami, teraz wzięła w nich udział – zamiast siedzieć przed ekranem i analizować przestępstwa, została rzucona w wir prawdziwych wydarzeń. Nawet pozostali policjanci z posterunku, którzy mieli jej już tak bardzo dosyć, zaczęli na nią patrzeć w inny sposób, okazując szacunek po tym, co zrobiła w hucie. Zarówno wtedy, kiedy rozmawiała z Alvarezem przez telefon, jak i potem, gdy weszła wprost w paszczę lwa. Tak jakby nie mogli zaprzeczyć, że bardzo im pomogła, choćby wcale tego nie chcieli. Wróciła – przynajmniej częściowo – do gry. I bardzo ją to cieszy.

Dostała swoją pierwszą działkę narkotyku życia i postanowiła, że tak łatwo z tego nie zrezygnuje. Skłoni Johna, żeby znowu włączył ją do działania. Ale najpierw musi odważyć się podnieść tę cholerną słuchawkę i zadzwonić do niego. Spogląda na telefon. Ale – tak jak za każdym razem – tchórzki przed wybraniem ostatniej cyfry numeru i mruczając coś, odkłada słuchawkę.

5

John siedzi w radiowozie na siedzeniu pasażera i wygląda przez boczną szybę. Wzdryga się, widząc, jak wściekły wicher nadyma kurtkę jakiejś kobiety. Nienawidzi jesieni, kojarzy mu się ze starcem, który wkrótce wyciągnie kopyta w domu opieki. Kolory są piękne i całe góry zmieniają się jak w tańcu, ale jest w tym coś przygnębiającego. Tak samo jest z zimą. Sara mawiała, że co roku ma półroczną depresję. Od września do marca. I chyba rzeczywiście tak było.

John kocha lato, kiedy nie musi marznąć i może spędzać czas na wolnym powietrzu. Wspomina czasy, kiedy chodzili z Mattiasem na ryby. Jak siadali z gołymi torsami i udawali prawdziwych mężczyzn, ale rzadko cokolwiek łapali. Chodziło o sam fakt. O to, żeby spędzać czasu z Mattiasem, żeby kupować ryby i potem udawać, że to ich zdobycz. Z początku Sara była pod wrażeniem, ale kiedy wrócili do domu z żabnicą, nabrała podejrzeń.

Uśmiecha się do tego wspomnienia, gdy Valle zatrzymuje samochód na parkingu przed szpitalem w December.

– Nowy dzień, nowe cierpienia – mówi, wysiadając.

John przestał już utykać, ale raczej jeszcze nie odważyłby się biegać. Stopa ciągle go boli po skręceniu. Kiedy wchodzi przez drzwi wejściowe, myśli o Kurcie Strandzie, któremu udało się uciec. Jego jedyny trop prowadzący do wyjaśnienia, co stało się z Sarą i Mattiasem. Chociaż... jest jeszcze jeden. Mulle, kumpel Kurta. John zna jednak tylko jego nazwisko, napisane na kawałku papieru. Kurta przynajmniej prawie dopadł.

„Gdyby tylko ten cholerny budowlaniec nie wypuścił go z tej szafki w szpitalu”.

Miał jeszcze jedno dojsście, ale ta historia tak namieszała mu w głowie i była tak bolesna, że zamiótł ją pod dywan. Ella Strand. Siostra Kurta. Trzy dni po tym, jak ją odwiedził, kiedy powiedziała mu te wszystkie prze-

dziwne rzeczy o Sarze i swoim bracie, jej ciało poddało się w końcu białaczce i umarła. Wszystko jednak to, co powiedziała, żyje w najlepszej w duszy Johna.

„Podjudzała go. Wszystko, co robili innym. Pieprzona psycholka. December jest lepszym miejscem teraz, kiedy stąd zniknęła”.

Nie brzmiało to dosłownie tak. Dokładne słowa schowała gdzieś w mysiej dziurze mgła mózgowia, która opanowała głowę Johna. Sens jednak zapamiętał. A teraz, kiedy o tym myśli, przypomina sobie, że zapisał sobie na liście rzeczy do zrobienia, by znaleźć kogoś, kto chodził z Sarą do szkoły. Kogoś, kto wie o niej więcej z tych dawnych czasów z Kurtem.

„Najlepiej byłoby oczywiście porozmawiać z samym Kurtem”.

John szukał zarówno jego, jak i Mullego, ale podejrzewa, że ukrywają się na przemysłowych terenach Lyckan. Chronieni przez Major.

Gdy przez czaszkę Johna przetaczają się mroczne wspomnienia, on sam wraz z Vallem staje przy recepcji szpitala.

– Daj spokój, Britt. Wiesz, kim jestem. Chodziliśmy do tej samej klasy – mówi Valle, opierając dłonie na kontuarze.

– Przepisy, Valle. Przepisy. No to... Co mogę zrobić dla ciebie i kto to jest? – pyta recepcjonistka. John wyciągnął rękę, ale w zamian dostał tylko zdziwioną minę.

– John Wagner. Jestem tu nowy. A gdzie ta druga dziewczyna? Ta z końskim ogonem?

Britt prychnęła i wydaje się zupełnie niezainteresowana, kiedy John pokazuje ręką na tył własnej głowy, jakby sam miał taką fryzurę.

– Przywieźli do was faceta bez ramion, gdzie leży? – szepcze Valle, żeby nie usłyszeli go ludzie siedzący w poczekalni.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Masz nazwisko albo numer ewidencyjny? Valle wzdycha.

– Nie, nie mam.

– Spróbujcie na ratunkowym. Numer sto. – Kobieta naciska guzik.

Valle kiwa głową i ciągnie kolegę za sobą.

– Chyba cię nie lubi – mówi John z uśmiechem.

– Ja jej też nie. Britt chyba nikogo nie lubi, ale tak naprawdę ma wielkie serce. Kiedy chodziliśmy do szkoły, była taka sama. Nazywaliśmy ją smokiem.

– Może dlatego cię nie lubi.

– No może.

Docierają na oddział ratunkowy, tym razem Valle nie musi machać legitymacją. Jakaś pielęgniarka pokazuje im drogę. W jednej z sal stoi przy łóżku René, rozmawiając z inną pielęgniarką.

Na łóżku leży mężczyzna z nagim torsem, przykryty od pasa w dół kocem, spod którego wystają obandażowane stopy. Rzeczywiście nie ma ramiion, a jego barki również są zabandażowane. Półprzezroczysty płyn spływa wężykami z dwóch worków do jego pach. John szybko robi mu zdjęcie.

– Drodzy panowie – mówi René, a John stwierdza, że jest to za każdym razem równie zabawne.

René ma może trzydzieści pięć albo czterdzieści lat, ale zachowuje się jak starzec, zarówno w mowie, jak i sposobie bycia. Zawsze tak samo pełen szacunku, dbający o wszystkich w szpitalu. Musi mieć ciężką pracę – jest jednocześnie lekarzem naczelnym szpitala i patologiem.

– Możemy z nim porozmawiać? – pyta Valle.

– Nie ma mowy. Jest nieprzytomny i stracił mnóstwo krwi. W ogóle nie powinno was tu być. Idźcie sobie.

Niemal wypycha ich z powrotem na korytarz.

– Powiedział coś?

Valle kiwa głową do innej pielęgniarki, która uśmiecha się szeroko i pozdrawia go. Johnowi bardzo tego brakuje. Chciałby znać wiele osób, być częścią społeczności.

– Nie, jeśli przeżyje, to ja uwierzę w Boga. Ale trzymamy kciuki.

– Miał coś przy sobie? Dowód osobisty albo jakieś inne przedmioty?

– Nic, ale jedna pielęgniarka go rozpoznała. Nazywa się Eddie Branko. Cięcie przy barkach wykonano precyzyjnym nożem, mógłbym przysiąc, że skalpelem, ale nie zajął się tym zawodowiec. Najbardziej makabryczne

jest to, że powierzchnia rany została przypalona, żeby zatamować krwawienie. Ktoś to zrobił bardzo sprawnie, nie mogę jednak stwierdzić, czy po to, żeby go ratować, czy w innym celu. Wyniki i badania krwi dostanę dopiero za kilka godzin. Jego stopy... Biegł bosy i to, że w ogóle żyje, to prawdziwy cud. Dotarł tu w bokserkach i z trzema ranami od strzał, z których jedna przedziurawiła mu płuco.

– Żartujesz?

– A wyglądam, jakbym żartował? – pyta René sprawiający wrażenie bardzo zmęczonego.

„Pewnie to koniec jego dyżuru, a może wziął dwa” – myśli John.

– Przepraszam – mówi Valle.

– Nie, to ja powinienem przeprosić. Po prostu strasznie dużo się dzieje. Godzinę temu przywieziono pacjenta, u którego doszło do zatrzymania akcji serca. Udało nam się go reanimować, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, by dożył końca dnia.

– Czy możemy obejrzeć te strzały? – pyta John.

– Oczywiście. Harry je ma, wpadnijcie do niego. Jest w prosektorium. Żegnają się i idą w kierunku windy.

– Strzały – szepcze Valle bardziej do siebie niż do Johna. – I co z tymi jego ramionami?

– Może polowali na niego jak na dziką zwierzynę – wzdryga się John.

6

John i Valle postawili samochód nieco dalej przy drodze i znów zbliżają się do miejsca, w którym znaleziono ofiarę.

John słyszy sygnał komórki.

– Kurwa – mówi i wzdycha ciężko.

– Co jest? – pyta Valle.

– Eddie Branko właśnie umarł.

– No to wracamy do punktu wyjścia.

– Dokładnie.

John dziękuje Renému i wciska telefon z powrotem do kieszeni.

Plastikowa taśma, którą rozwiesili dwie godziny wcześniej, żeby oznaczyć miejsce, trzepocze wściekle na wietrze, a żółte i czerwone liście spadają chaotycznie na drogę.

– Tak jest, tutaj leżał.

Valle kuca. Jedyne, co mają do dyspozycji, to ciemnobrązowa kałuża krwi.

Strzały okazały się własnej roboty i zostały wysłane do analizy i testów DNA. Ktoś się wypowie w sprawie tego, z jakiego ptaka pochodzą pióra, z jakiego drewna zrobiono pręt i tak dalej. John i Valle zatrzymali jedną z nich. John zawsze uważał, że centrum ekspertyz kryminalistycznych pracuje za wolno, a ma przecież dwanaście placówek w całej Szwecji. Jasna sprawa, centrum dysponuje skończoną liczbą ludzi i jeszcze bardziej skończoną ilością pieniędzy, ale mimo wszystko... To, że otrzymanie wyników analiz może zabrać trzy miesiące, a czasami nawet sześć, w sprawach, które z każdą godziną robią się coraz trudniejsze, jest... nieoptymalne, żeby wyrazić się dyplomatycznie.

Uwagę Johna przyciąga złamana gałązka, wchodzi więc między drzewa.

– Co jest w tym lesie? – pyta, kiedy Valle rusza za nim.

– Kilka kilometrów stąd jest nieczynny tartak. O'Connor i jego czekający na koniec świata świry, a także sekta Słońca i Baltazara mają swoje obozy trochę wyżej i po drugiej stronie drogi. Ta ziemia należy do gminy.

– Koniec świata i sekta? – dziwi się John i zauważa ślad na ziemi.

Ofiara przysła z tej strony i chyba się tu przewróciła. Pewnie przeczłogała się dalej do drogi i tam się położyła, żeby ktoś ją znalazł.

– Tak. Dwie różne grupy. Wszyscy równie stuknięci. Ale sam nie wiem... Jest coś w tych ubranych na czerwono zwolennikach Słońca i Baltazara, co przeraża mnie bardziej. O'Connor i jego banda są mimo wszystko bardziej... normalni. Rodzice Franka należą do sekty. Nie wiemy o nich zbyt wiele, poza tym że czasami przychodzą do miasta na zakupy. Trzymamy się nawzajem na dystans. To znaczy December i oni.

– Co takiego, Frank z posterunku?

– No. Wygląda na to, że dorastał wśród tych głąbów z sekty gdzieś w górach, ale wyrwał się stamtąd jako nastolatek. Z tego co wiem, nie ma w ogóle kontaktu ze starymi. Ale nie lubi o tym mówić, więc go nie pytaj. I tak nie odpowie.

Valle odchyła świerkową gałąź i idą o krok dalej.

– A ja myślałem, że on mnie po prostu nie lubi – mówi John w zamyśleniu.

– To niewykluczone. – Valle wzrusza ramionami. – Ale z Frankiem nigdy nie wiadomo. Jest raczej jakby nieśmiały.

Johna otaczają zapachy ziemi i próchnicy, czy co tam się znajduje w lesie. Jest mieszcuchem, a nie człowiekiem natury. Jasne, lubi łowić ryby, ale las go męczy.

„Sara uwielbiała las” – myśli, zauważając nowy ślad na lewo od ścieżki.

„Ale czy na pewno?”

Może po prostu tak mówiła, bo tego od niej oczekiwano? Wydaje się, że tajemnic, które przed nim miała, robi się z każdym dniem więcej, co wywołuje u Johna coraz większą złość. Mimo że od razu ją odpycha od siebie, za każdym razem wraca. On przecież nic nie wie. Wszystko, co ma, to

słowa innych ludzi. Ludzi, których zupełnie nie zna. Nie ma wcale pewności, że mówią prawdę.

– Patrz, tu się przewrócił.

John kuca i patrzy w kierunku, z którego jego zdaniem przybyła ofiara.

– Byłeś w poprzednim życiu Czirokezem czy jak? – parska Valle. Do twarzy przykleja mu się pajęczyna. – Kurwa mać.

John się śmieje.

– Nie sądzę, ale ślady to ślady. W sumie mógł to być borsuk, który się potknął, ale bardziej prawdopodobne, że to nasza ofiara.

– Super – odpowiada Valle, gdy podchodzą do małego wzniesienia.

– Czy to wikiński grób? – pyta. – Coś mi się wydaje, że budowali tutaj takie.

Kiedy obchodzą kurhan Vallego, John się zatrzymuje. Wyraźny odcisk dwóch stóp w gliniastej ziemi. Spogląda w górę. Widzi to oczyma wyobraźni – jak ofiara skoczyła stamtąd na ziemię. Zatrzymuje Vallego, który omal nie włązi prosto w odciski.

John patrzy w lewo i zauważa ciemną plamę, która nie pasuje do otoczenia.

– A to co takiego? – pyta.

– Wygląda jak mała jaskinia. Na pewno mieszka w niej niedźwiedź. Albo Wielka Stopa.

John śmieje się nerwowo. Ani on, ani Valle nie są fanami dzikiej przyrody.

Pokonuje wrzosa wielkimi krokami i odchyła ręką zwisające łodygi roślin. Kiedy światło wpada do grotu, okazuje się większa, niż myślał. Zmieści się tam kilka osób, widać porozrzucone puszki po piwie i papierki od cukierków.

– Na pewno się tu schował.

Zaczyna kropić, a wiatr gra na liściach i gałęziach. Jednocześnie powolutku opadają na nich zwiędłe listki i John musi przyznać, że to piękny widok.

Valle kuca i zagląda do środka.

– Na pewno byłeś w poprzednim życiu Czirokezem. Chora akcja.
Valle wzdycha.

– Biedak. Bez rąk i podziurawiony strzałami. Ciekawe dlaczego.

John wchodzi na pagórek. Widzi uniesiony mech i jest pewien, że ma rację. Kiedy patrzy znów w stronę drogi, niemal traci oddech.

Podchodzi do drzewa i przygląda się bacznie temu, co w nim tkwi. Kolejna strzała, chociaż wygląda nieco inaczej niż pozostałe. John zgaduje, że na ofiarę polowało kilka osób, a więc sytuacja robi się jeszcze dziwniejsza. Nagle przychodzi mu do głowy pewien pomysł.

– Valle, mamy psa tropiącego?

7

Pierwsza dwójka pacjentów przyszła i poszła, a Kim kilka razy zauważyła, że musiała przywoływać samą siebie do porządku, żeby się skupić, co jest raczej niezwykle. W sumie wiele z tego, co dzieje się teraz w jej wnętrzu, jest... dziwne.

Na forum aż kipi od wpisów, Kim zaczęła stalkować Parszywca i rozważa zrobienie czegoś, co powinno być nie do pomyślenia. Chce odebrać to, co należy do niej.

Gdy tylko zamknie oczy, wraca do huty, do chwili, w której John strzela do Antonia, ale później szybko znów znajduje się tam, gdzie nie powinna się znajdować.

Bez względu na to, jak mocno stara się rozproszyć myśli, ciągle uważa, że wraca do Johna Wagnera jak pieprzony cocker spaniel. Do tego wszystkiego, co się zdarzyło. Do tych piekielnych kart tarota.

„Ogarnij się, dziewczyno” – strofuje się.

Jest w drodze do lokalu Elin, jadłodajni w stylu lat pięćdziesiątych, by coś zjeść i wysłuchać kilku życiowych mądrości swojej najlepszej przyjaciółki.

Nogi wiodą ją przez centrum December. Teraz, w połowie października, miasto ma do zaoferowania przepiękny spektakl. Wiekowe dęby przy studni płoną czerwienią i żółcią. Trawnik wydaje się spać. Jakaś wieiórka biegnie w górę po pniu spiralnym szlakiem, a ławki, na których zazwyczaj siedzą i wrzeszczą na siebie codzienne zrzędy, stoją puste.

Kim odwraca twarz do słońca i rozkoszuje się spacerem. Już się zastanawia, który z fantastycznych burgerów – specjalności Elin – zamówi, kiedy głośny krzyk sprawia, że podskakuje i staje jak wryta.

Odwraca się na pięcie i patrzy w stronę parku. Obok studni stoi młoda dziewczyna z długimi białymi jak kreda włosami i patrzy do środka, krzyżąc. Odwraca wzrok i zauważa Kim. Macha rękami i gestykuluje.

- Jezu! - wrzeszczy. - Jezu, kurwa, ja pierdolę! Pomocy! Chodź tu!

Kim rusza, zanim jeszcze zdecyduje, czy dziewczyna jest szalona, czy nie. „Jeśli jest ktoś, kto powinien umieć radzić sobie ze świrami, to z pewnością psycholog” - myśli i przyspiesza kroku.

- Popatrz tam w dół - mówi dziewczyna z szeroko otwartymi oczami. - Chciałam się napić wody. Ale wiadro w coś uderzyło. Spojrzałam w dół, a potem... kurwa mać, kurwa, kurwa mać. A ja chciałam to wypić.

Podmuch wiatru strąca liście z gałęzi, co sprawia wrażenie, jakby cały park wzdrygnął się z niechęcią.

Kim uspokajająco podnosi rękę.

- Uderzyło? - pyta.

Pochyliła się i wpatruje w ciemną otchłań antycznej studni. Z początku nic nie widzi. Wiadro leży na boku na powierzchni wody. Odbija się od niego światło. Potem jednak zauważa to co blondynka i cofa się instynktownie o krok, jednocześnie wyciągając z kieszeni telefon. Palce wybierają z listy kontaktów Johna, zanim jeszcze Kim zdąży przemyśleć sprawę.

John odpowiada już po pierwszym sygnale, co Kim od razu zauważa i robi jej się ciepło w brzuchu.

- Kim? - W jego głosie słychać coś, co brzmi jak... ulga? Tak, jakby chciał z nią porozmawiać równie mocno, jak ona chciała porozmawiać z nim. Ale nie miał odwagi zadzwonić.

- Co... co u ciebie?

- U mnie wszystko w porządku, John. Gorzej jest z tą dziewczyną, która stoi tu obok mnie przy studni. A zdecydowanie najgorzej jest chyba z kolesiem, który w niej leży.

- Czekaj, co? W studni leży jakiś koles? Wpadł tam? Potrzebuje pomocy?

Kim potrząsa głową i patrzy w dół na trupa pływającego po powierzchni wody i wpatrującego się w nią błyszczącymi oczami.

- Temu facetowi już nic nie pomoże - odpowiada.

- Co ty mówisz?

- John, w tej studni leży pieprzony trup. I w dodatku wiem, kto to jest.

8

Natychmiast uruchamia się poczta pantoflowa, jak to bywa zwykle w małych miasteczkach. Służby ratunkowe nie zdążyły jeszcze sprowadzić dźwigu, żeby wyciągnąć trupa ze studni, a plotki obieły już całą dolinę i wszyscy wiedzą, że Kurt Strand został znaleziony martwy.

Major siedzi, machając nogami, na spoczniku schodów i patrzy na to, co było kiedyś podłogą warsztatu w nieczynnej dziś fabryce na terenach przemysłowych Lyckan. Ludzie zebrali się tutaj, bo ich o to poprosiła. Nieco ponad setka nieszczęsnych dusz. Ona za nich odpowiada. To jej stado. Kurt też w pewnym sensie do niego należał. Mimo że był łajdakiem i miał problem zarówno z nastrojami, jak i alkoholem. Jeśli Major czegoś nie zrobi, to ludzie stracą poczucie bezpieczeństwa.

Podnosi ręce i gwar na dole cichnie.

– Kurt nie żyje. Dokładnie tak, jak słyszeliście. Wszystko się zgadza.

Brodaty facet siedzący na kawałku kartonu, który wszędzie ze sobą nosi jak ukochany kocyk, podnosi głos.

– To ten nowy gliniarz. Polował na Kurta od chwili, kiedy przyjechał do miasta. Sam rozmawiałem z Kurtem parę dni temu, opowiadał, jak ten drań go stłukł i zamknął w szafce w szpitalu! Gdyby nikt go nie znalazł, mógłby tam zdechnąć.

Znowu roznosi się gwar. Podniecone głosy. Major ucisza go tym samym gestem.

– Wiem doskonale, że John Wagner szukał Kurta. Poszukiwał też Mullego. Ja też chciałabym go znaleźć, więc jeśli ktokolwiek go zobaczy, niech go do mnie przyśle. Żebym mogła go ochronić.

Grupa ludzi, których społeczeństwo odrzuciło i pozbawiło wszelkiej nadziei, znów robi się głośniejsza. Wszyscy bezdomni mają swoją historię, nie każdego z nich spotkało coś, co pozbawiło go domu i pracy. Część z nich jest tu dobrowolnie, dla jakiejś wymagowanej wolności.

Niezależnie od powodu, to Major zapewnia im bezpieczeństwo i sens, jeśli można to tak nazwać. A oni dali sens jej, kiedy sama pewnego razu wszystko straciła.

Major czuje jednocześnie lęk i złość. Ma z miastem nieformalne porozumienie. Bezdomni siedzą tutaj. Mają tu swój azyl i nie zaśmiejają miasta swoją obecnością, a w zamian za to gliny i opieka społeczna trzymają się od nich z dala.

Major pobiera pewien procent od wszystkich w ramach swoistej ochrony i czynszu, żeby każdy mógł się tu czuć bezpiecznie. Nikt nie śmie tu wchodzić, a problemy z pobiciami bezdomnych lub rabunkami przestały istnieć.

Major jest dyktatorką z wielkim sercem, ale ma też oczywiście własne plany. Kiedy zerwała kontakt ze swoim synem, zyskała setkę dzieci. Jest dla nich wszystkim. Nigdy jej nie zawiodą tak, jak zrobił to on.

– Chcę, żebyście wszystko rzucili i poszli szukać Mullego. Komu się to uda, dostanie premię – mówi i ludzie się rozchodzą.

Służba wywiadowcza bezdomnych jest lepsza od policyjnej. Nikt ich nie zauważa, tak jakby nie istnieli, lecz oni słyszą i widzą wszystko, a potem opowiadają o tym Major.

Informacje mają nie tylko postać cyfrową, chociaż bezdomni używają telefonów do nagrywania filmów i rozmów. Major ma dwóch ludzi, którzy śledzą nowego gliniarza, kiedy jest w December. Wie wszystko o każdym mieszkańcu – poza Johnem Wagnerem, co ją denerwuje.

Zastanawia się, czy to naprawdę on zabił swoją rodzinę i dlatego poluje na Kurta i Mullego. Może Kurt wiedział coś, czym nie zdążył się z nikim podzielić? Tak czy inaczej, teraz już za późno, żeby go zapytać. Major musiała wysłać sygnał. To dlatego wrzucili Kurta do studni, żeby wszyscy o tym wiedzieli, a zwłaszcza John.

To skutek jego węszenia, może następnym razem lepiej to przemyśli. Ta sytuacja wszystkim odpowiada. Kurt zaczął być niewygodny, ale nie dlatego zginął. Powód był taki, że zgwałcił kobietę w Lyckan. Major nie interesuje fakt, że Brudna Lisa nie protestowała. Nie da się protestować, kiedy ktoś jest naćpany fentanylem jak dzik w malinach.

Gwałtu i przemocy w stosunku do kobiet Major nienawidzi najbardziej. Tutaj to ona jest policją i wszyscy powinni czuć się bezpiecznie.

9

John i Kim schodzą do prosektorium. John lubi poczucie bezpieczeństwa, jakie daje szpital. Kiedy był mały, dostał zapalenia opon mózgowych i o mało nie umarł, ale lekarze go uratowali. Płakał, kiedy go wypisywali, wtedy bardzo chciał mieszkać w szpitalu przez resztę życia. Nigdy natomiast nie lubił kazamatów pod szpitalnym budynkiem.

Kim wydaje się zdenerwowana i w przeciwieństwie do Johna nie uważa, że szpitale są przytulne. Trzyma ręce przy piersi, jakby mogła się tu zarazić od wszystkiego i wszystkim.

– W porządku? – pyta z troską John. Ma ochotę pokrzepiająco położyć dłoń na jej barku, ale rezygnuje z tego pomysłu.

– Nienawidzę szpitali, a zwłaszcza tego miejsca. Dlaczego takie pomieszczenia muszą być takie creepy?

– To tylko ściany, posadzka i sufit.

– I złowieszczy nastrój – uzupełnia Kim.

Drzwi otwierają się automatycznie, a gdy wchodzi, widzą Kurta leżącego na stalowej pryczy, nad nim zaś Harry'ego i Renégo w białych kombi-
nezonach, fartuchach i osłonach na twarz.

– Musimy przestać się tu spotykać – mówi John, stając nieco z boku.

– To prawda, ostatnio było tu trochę za dużo morderstw. Od czasu, kiedy przeprowadziłeś się do December. – René zakłada rękawiczki i opuszcza przyłbicę. – To właśnie Kurta szukałeś w ubiegłym tygodniu, prawda? Otwieraj go, Harry.

Pomocnik zdejmuje prześcieradło z ciała i cofa się o krok.

– Ołmajgad! – krzyczy, a John unosi brwi, kiedy zdaje sobie sprawę dlaczego.

Harry wskazuje na penisa Kurta, który stoi sztywno. Harry znów wrzeszczy, kiedy Kurt wydaje z siebie jęk.

- Spokojnie – mówi René, kręcąc głową.

- Imponujące, trzeba mu to przyznać – uśmiecha się Kim.

- On żyje, do cholery! – Harry macha rękami w powietrzu, jakby zaatakowało go stado ciem.

- Jest martwy – uspokaja go René.

John sam nie wie, co o tym myśleć. Kurt zajęczał głośno i ma wzwód, za który wielu mężczyzn zapłaciłoby niemałe pieniądze.

- To się czasami zdarza. Umarł w pozycji pionowej, więc krew zebrała się w dolnej części ciała.

- Ale przecież jęknął. – Harry ma oczy jak spodki.

- Więc myślisz, że się podniecił, kiedy go przygotowywaliśmy do obdukcji? Rozmawialiśmy o pobraniu od niego organów, Harry. Organów.

John zauważa, że Kim krzywi się, słysząc te słowa. Nagle rozumie, dlaczego ona tak nie lubi szpitali. Pobranie i kradzież organów – a przynajmniej jednego z nich – to przecież coś, co spotkało ją osobiście. Bierze ją za rękę, ściska, otrzymując w zamian słaby uśmiech.

- Okej, okej. Nie żyje, rozumiem – mówi Harry. – Ale przecież... słyszałem.

- To gazy, ludzie mogą jęczeć albo piszczeć. Jak zresztą widzisz.

René patrzy na Johna i wznosi oczy do nieba, ale w jego oczach widać uśmiech.

Harry wykonuje cięcie i razem z Reném dokładnie oglądają wnętrze Kurta. Najwyraźniej ma problem nie tylko z widokiem krwi – organów wewnętrznych również. John wciąż jest w szoku, a w głowie kołaczą mu się tysiące myśli. Kurt nie żyje, a on mógł być ostatnią osobą, która go widziała przed śmiercią.

- Jak umarł? I powiedz to po ludzku – pyta, odwracając wzrok od zwłok.

- Pobity na śmierć, ale decydujące było połączenie zgniecenia krtani i urazów czaszki.

- Wiesz, kiedy to się mogło stać?

– Tak na oko wczoraj wieczorem. Ciało zostało przeniesione, więc trudno o dokładność, bo do tego leżał w wodzie na dworze. Podczas oględzin pobraliśmy oczywiście materiał spod paznokci i tak dalej, wszystko wysłaliśmy do centrum ekspertyz do analizy. Jeśli jest tam DNA, to je znajdują.

„Wczoraj wieczorem” – myśli John. Musiało to być po spotkaniu z Major. Życie nauczyło Johna jednej rzeczy: najprostsze wyjaśnienie, takie najbardziej prawdopodobne, najczęściej jest właściwe.

– Co wiecie o kobiecie nazywanej Major? – pyta John, a Kim i René patrzą na siebie.

– W sumie nikt za wiele nie wie.

Kim drapie się po tyle głowy, jakby miała tam jakiś drut, który próbuje wyciągnąć.

– Nikt nie wie?

– Słyszałam tylko, że rządzi w Lyckan, że mówią na nią Major i... Ech, powinieneś o tym porozmawiać z Moną i Claire. To skomplikowane.

– Zaczynam rozumieć. Co jest nie tak z tym miastem? – pyta John, a René chichocze.

– Wszystko, panie Wagner. Ale Kim ma rację. Na pewno będzie lepiej, jeśli poruszysz ten temat z Moną albo Claire.

– No dobrze. A Eddie Branko? Ten, którego znaleziono bez ramion? – drażny Kim. Zastanawia się, czy wszystkie zaginione osoby spotkał ten sam los co Eddiego, ale na razie zachowuje to dla siebie.

René patrzy w górę.

– Jeszcze z nim nie zacząłem. Harry? Czy możesz wyjąć Eddiego Branko z siódemki?

John myśli o tym, czy René mówił poważnie. Że odkąd on przyjechał do December, liczba morderstw wzrosła. To oczywiście przypadek, ale Johna to męczy, bo nie wierzy w przypadki. Zawsze jest jakieś wyjaśnienie, a czasami zbiega się ze sobą kilka spraw. Trupy w jeziorze, wymordowany gang, martwe kobiety i wszyscy zaginioni ludzie, o których Kim mówiła w samochodzie, kiedy tu jechali. Zastanawia się też, co miał na myśli

René Hoffmann, wspominając o tym, że John szukał Kurta. Chyba nie myśli, że...

- Nie ma go tu - mówi nagle Harry.
- Co to znaczy „nie ma”? - dziwi się René.
- Eddiego Branko. Nie ma jego ciała.

Kim wzdyga się, kiedy René i Harry wyciągają jedną szufladę za drugą, szukając bezrękiego ciała.

René sprawdza w dzienniku, czy ktoś je zabrał, ale w końcu siada za biurkiem, kiedy Harry wsuwa szuflady, które są puste albo leżą na nich inne zwłoki.

– Nie mów mi, że ktoś ukradł ciało.

Kim przełyka ślinę, instynktownie stanęła bardzo blisko Johna, jakby to mogło pomóc. I może rzeczywiście pomaga. Ma gęsią skórkę na przedramionach. Pociera je.

– Obawiam się, że tak.

– Kamery? – pyta John, ale Kim nie widzi żadnej w prosektorium.

– Renowacja, żadna w tej chwili nie działa. Nie pojmuję, po co ktoś miałby...

– Żeby usunąć dowody – przerywa mu Kim.

John już rozmawia z Moną i uruchamia poszukiwanie ciała, a Kim ciągnie go, żeby stamtąd uciec. Idzie z nią i zostawia Reného, który wydaje się jednocześnie załamany i wściekły. Wrzeszczy na Harry’ego, a ten przysięga na życie babci, że włożył ciało do siódemki i nic złego nie zrobił.

Kiedy wracają na parter, Kim trochę się uspokaja i oboje siadają w stolówce, jak najdalej od wszystkich innych ludzi.

– Co za syf – mówi Kim, mieszając kawę. John obejmuje dłońmi kubek z herbatą.

– No, lekka kicha. Ale słuchaj, co się z tobą właściwie dzieje?

– Szpital. Nie lubię ich. Mam z nimi kiepskie doświadczenia. To pewnie oczywiste po tym, co Nils mi zrobił. Poza tym wszyscy tu są chorzy i umierają.

– Wierzysz w duchy czy co?

- Wierzę w energię, chociaż w duchy to nie. To skomplikowane, możemy o tym porozmawiać... innym razem.

Rozważa przez chwilę, czy zamówić drinka, ale rezygnuje. Tego na pewno nie powinni robić z Johnem.

- To jak myślisz? Kto zabrał ciało Eddiego Branko? - pyta, żeby odwrócić rozmowę od trudnego tematu, i bawi się serwetką, która leżała już na stole, kiedy siadali.

John popija swoją zieloną herbatę, sprawia wrażenie niepewnego.

- Widzę trzy opcje. Milicja, tamta sekta albo ktoś, kto dla przyjemności poluje na ludzi. Wiesz coś? Słyszałaś jakieś plotki?

Kim odchyła się do tyłu na krześle.

- Milicja jest co najmniej podejrzana, podobnie z sektą. Nikt nie śmie przez nich chodzić w góry, a oni z jakiegoś powodu wzajemnie się nienawidzą, chociaż obie te grupy chcą, żeby je zostawić w spokoju. Milicja wydaje się wierzyć, że wkrótce nastąpi katastrofa, i przygotowują się na nią, ale nie przypuszczam, żeby ktokolwiek w December wiedział o nich wiele. Przywódcy prawie nigdy nie spotyka się w mieście, a jedyne, co o nim wiem, to to, że jest duży i rudy.

Obok nich przechodzi starzec z jadownicą czerwonym balkonikiem, poruszając się równie szybko jak mucha w smole. Kim podnosi rękę.

- Cześć, Lasse!

Mężczyzna podnosi wzrok, jakby nie miał pojęcia, gdzie jest. Kiedy jednak zauważa Kim, rozpromienia się, puszcza jeden uchwyt i macha do niej.

- Cześć, Ulla - odpowiada drżącym głosem i uśmiecha się wodnistymi oczami, po czym znów opuszcza wzrok i podejmuje swoją mozolną podróż w stronę wyjścia.

- Ulla - parska Kim, wznosi oczy do nieba, odwraca się do Johna i ściśsza głos.

- To blacharz Lasse, który był właścicielem warsztatu samochodowego, zanim przejął go Viktor. Złoty człowiek, ale totalnie nic nie kuma, jak zresztą widziałeś. No, nieważne.

Popija kawę i wraca do tematu:

– Nie wiem nawet, ile osób należy do tej milicji, ale czasami przyjeżdżają do miasta na zakupy. Wojskowe ciuchy, brodaci twardziele i tak dalej. Nie mam pewności, czy to jest milicja, tak ich po prostu nazywają, bo mało o nich wiedzą. Pewne jest to, że są niebezpieczni, chodzą plotki, że w górach znikali ludzie. Pędzą tam bimber.

– Dlaczego Mona nic z tym nie zrobiła?

– Pewnie nie warto. Mają broń, a na wszystkich drogach, które prowadzą do ich obozu, są szlabany. Są właścicielami tamtejszych lasów i jeśli Mona nie ma żadnych mocnych dowodów, pewnie nie da się tam wejść. Wiesz, co się stało, jak próbowali zabronić alkoholu w Stanach Zjednoczonych. Eksplozja przestępczości. Pewnie właśnie taki scenariusz sobie wyobraża. Że jeśli policja wtrąci się w to, co oni tam robią, to zacznie się robić gorąco. Nie jest fajnie, jak ma się największy rejon w kraju i tylko siedmioro policjantów. Pamiętasz, jak było z Alvarezem. Antyterrorysty nawet nie dotarli na czas i musieliśmy załatwić sprawę sami. Poza tym większość z tego, co ta milicja robi, to nic wielkiego. Stuknięci preppersi.

Kim zauważa, że zgniotła serwetkę w kulkę, i odpycha ją od siebie na stole.

John wyraźnie czuje, jak skrada się ku niemu ból głowy, jego nieodłączny towarzysz. Przesuwa ręką po karku, tak jak zawsze w takich chwilach. Wzdycha.

– Ach, tak. A sekta?

Kim pochyła się do przodu i opiera łokciami o stół, ożywiona rozmową.

– W sumie prawie tak samo. Religijne oszołomy nierobiące wokół siebie wiele hałasu. Jest dwójka przywódców, którzy nazywają siebie Słońce i Baltazar. Przypuszczam, że czymkolwiek się zajmują, nie są to ładne rzeczy. Fanatycy jak w każdej innej sekcie. Żelazna kontrola członków, seks, manipulacja i cała reszta. Mnóstwo się o nich plotkuje, ale nikt nic nie wie na pewno.

– A ta trzecia opcja, co o tym myślisz?

– Gang albo człowiek, który poluje na ludzi...? Nie da się tego wykluczyć, a w górach można zniknąć na wieki. Mogłyby tam mieszkać wielkie stopy, kosmici i co tylko sobie wyobrazisz. – Kim się uśmiecha, ale tak naprawdę wcale jej to nie bawi.

Od czasu, kiedy była mała, wszyscy mieszkańcy December bali się gór, ale dopiero w ostatnich latach zaczęli trzymać się z dala od dróg, które do nich prowadzą.

– Nie możemy zapominać o Lwach Afryki, oni mieli tam wytwórnienie narkotyków. Kurwa, człowiek myślał, że przeprowadza się do sielankowej miejsciny, ale to miasteczko robi się coraz bardziej zwariowane.

– Nie miasto, John. Góry. Ludzie tu w December nie są bardziej szaleni niż gdzie indziej. Sporo o tym wiem, bo to właśnie do mnie przychodzą, kiedy się źle czują albo zaczynają walić głową w mur. Można by też się spodziewać, że powinieneś zauważać również dobre strony tych okolic, skoro już jakiś czas tu mieszkasz.

John parska.

– Nie wszyscy do ciebie przychodzą. Wczoraj byłem w Lyckan, to też całkiem popaprane miejsce.

– Faktycznie. – Kim podnosi filiżankę, ale zauważa, że jest pusta, stawia ją więc z powrotem na stole. – Ale tam też się nie chodzi. To jak... jak osobne miasteczko, a Major spotkałam chyba tylko raz. Jest trochę matką dla wszystkich tych bezdomnych. Broni ich pazurami i to dzięki niej tak rzadko ich oglądamy. Najgorsze, że jest ich coraz więcej. Rozmawiałam parę razy z Claire o Lyckan, że powinniśmy pomagać tym ludziom, ale taka pomoc to kropla w morzu.

John ciężko wzdycha.

– Spotkałem się z nią, znaczy z Major. Powiedzmy dyplomatycznie, że to... dominująca kobieta. Groziła mi, a to właśnie po spotkaniu z nią umarł Kurt, jeśli René dobrze oszacował czas.

– Tak, słyszałam, nie bierz tego na swoje barki. Ludzie w December szybko wydają wyroki. Tak jak z tym, że przemoc wybuchła wtedy, kiedy się tu pojawiłeś. To bzdura, ale ludzie nie są tu szczególnie dobrze wykształceni. Niektórzy naprawdę wierzą, że górskie trolle istnieją. Tylko

śpią i pewnego dnia się obudzą. Że woda w studni leczy wszystko, od raka po hemoroidy. Nie masz pojęcia, ilu tu mieszka foliarzy.

John unosi brew.

– Nie tak trudno mi w to uwierzyć. Dziwię się tylko, że ty o tym mówisz, panno „to-najlepsze-miasteczko-na-świecie”. Nie pojmuję jednak, dlaczego ktoś miałby zamordować Kurta.

Kim patrzy na niego badawczo, przygryzając dolną wargę.

– Poważnie? Po tym wszystkim, czego się o nim dowiedziałeś? O tym, jak traktował Sarę, kiedy byli ze sobą? Czy ty nie chciałeś go zabić, kiedy się o tym dowiedziałeś?

John wzdryga się, a pierwszy cios migreny pojawia się jak na rozkaz. Ostry ból. Migrenowy potwór.

– Poważnie? Chyba nie myślisz, że to ja...

Kim przerywa mu, podnosząc rękę.

– Jasne, że tak nie myślę. No halo! Ale wskazuje to na coś ważnego. To był nieprzyjemny typ. Zawsze wisiał komuś pieniądze i był niebezpieczny. Desperacja może skłaniać ludzi do różnych rzeczy, zwłaszcza w Lyckan. Żyją z rzeczy, które inni wyrzucili, albo kradną rzeczy, które potem sprzedają. W większości jest to złom. Czasami widać słup dymu, kiedy wypalają kable, żeby się dostać do miedzi czy aluminium, a jeśli wieje wiatr, można poczuć swąd palonego plastiku. Przynajmniej tak było jakiś czas temu. Podejrzewam, że Claire ugadała się z Lyckan, żeby wypalali tylko przy odpowiednim kierunku wiatru. Może nie tyle podejrzewam, co się o tym plotkuje.

– Ostatnio dotarło do mnie, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic – odpowiada John, bo sam nie wie, jak jej to przekazać.

Zamyka oczy i przyciska kciuk i palec wskazujący do powiek.

– No i teraz już nigdy się nie dowiem, co wiedział albo czego nie wiedział o Sarze i Mattiasie. Ale... to Lyckan też jest sekta?

– W sumie można tak na to patrzeć. Trzymają się razem. Heroiniści, bezrobotni, patole i drobni przestępcy zmieszani ze zwykłymi ludźmi,

k którzy zbankrutowali albo uciekli od swojego życia czy brutalnego męża. Mają własne sklepy, prawa i zasady, a potężne byczki pełnią funkcję policji.

– Taa, wiem, spotkałem ich kilku.

John wyjmując tabletkę i połyka ją, popijając ostatnim łykiem herbaty.

– A ty co myślisz? – pyta Kim, obracając swoją pustą filiżankę.

Szczerze mówiąc, kawa jest tu nieszczerólnie dobra. Taka szpitalna. I znów pojawiają się złe wspomnienia. Podsycają gniew i pragnienie zemsty, które rosną w tajemnicy, ukryte przed wszystkimi.

– Co się stało z tym facetem bez rąk?

Udaje jej się z wysiłkiem nie sięgnąć ręką do boku, tam gdzie ma bliźnę.

– Eddie Branko. Ramiona zostały odcięte precyzyjnie, zakładam, że o to chodziło. Może po to, żeby łatwiej było na niego polować, a może za karę, bo coś ukradł. To czyste spekulacje, ale założmy, że Eddiemu udało się uciec z sekty, milicji albo od jakiegoś świra, który go więził. Od kogoś, kto chciał go zabić. Nie widzę motywu i mamy za mało informacji. Musimy zdobyć więcej.

– Wchodzę w to – kiwa głową Kim. Znów czuje to podniecenie. Napięcie, które przechodzi przez ciało jak prąd i wypełnia życie znaczeniem. Kim chce czuć, że żyje, i w tej chwili właśnie tak się dzieje.

– W co? – dziwi się John i uśmiecha do niej tym przeklętym uśmiechem, od którego Kim czuje w brzuchu motyle.

– Słuchaj, ty jesteś w mieście nowy, a do tego z policji. Wszyscy wiedzą, kim ja jestem, albo prawie wszyscy. Musimy porozmawiać z rodziną Eddiego i ludźmi, którzy go znali. Może ktoś ma informacje, czy był komuś winien pieniądze albo czy ktoś chciał się na nim zemścić. A może policja już to zrobiła i niczego się nie dowiedziała.

– Zapytam Monę.

– Do sekty możemy pojechać, do milicji też. Moja babcia mawiała, że jak się wystarczająco mocno potrząśnie krzakiem, to zawsze spadnie z niego jakieś stare gównno.

– Była policjantką? – Uśmiecha się John.

– Ta, jasne. Razem z przyjaciółkami kontrolowała okolicę, w której mieszkała. Rozumiesz, oldskulowe kamery monitoringu. Czasem nazywają je „starymi plotkami” – mówi Kim i teraz to ona się uśmiecha.

– Dobra, co tam, jedźmy. Muszę tylko pogadać z Moną, ale raczej nie będzie z tym problemu.

Dzwoni telefon Johna, słucha przez chwilę, po czym dziękuje i się rozłącza.

– Musimy to odłożyć, mam spotkanie z Jimmym i Vallem. Wygląda na to, że w tropieniu pomoże nam Bulten.

– Dobra, to ja na razie dowiem się więcej o Eddiem.

Kim jest zaskoczona, że gdy się podnosi, John zatrzymuje ją i robi tak dziwną minę, że Kim powoli znów siada.

– Jeszcze jedno – mówi John.

– Coś nowego?

– Mówiłaś, że dowiedziałem się mnóstwo rzeczy o tym, jak Kurt traktował Sarę, i to się zgadza, ale... – Najwyraźniej brakuje mu słów.

Kim włącza swoje psychologiczne moce, żeby wyciągnąć z niego wszystko, i kilka minut później doznaje wstrząsu, kiedy John opowiada o Elli, siostrze Kurta, jej śmierci i o tym, co mówiła o Sarze.

– Myślisz, że to prawda? – pyta w końcu.

John z rozpaczą rozkłada ręce.

– Ja już, kurwa, nic nie wiem. Nie mam pojęcia. Jesteście mniej więcej w tym samym wieku, a kiedy się poznaliśmy, coś powiedziałaś. Nie pamiętam dokładnie co, ale coś powiedziałaś. O tym, że istnieją tajemnice, których być może nie chcemy znać, albo coś takiego.

John wygląda na tak zagubionego, że Kim ma ochotę uściskać go przez stół.

– Oj tam – mówi łagodnym tonem. – Tak się tylko mówi.

– Więc... nic nie wiesz? O tym, co Ella opowiadała o Sarze?

Kim się zastanawia przez chwilę.

– Nie bardzo. Nie jesteśmy w tym samym wieku, jestem kilka lat starsza. I nie obracałyśmy się w tym samym towarzystwie. Ale jasna sprawa, trochę się słyszy. I... nie powinno się źle mówić o zmarłych.

John blednie.

– Nie wiadomo na pewno, że nie żyje.

Kim kiwa głową ze smutkiem.

– Przepraszam. To prawda. Ale nie wiem nic poza pogłoskami i plotkami, a one mogą przecież być nieprawdziwe.

– To samo sobie pomyślałem – wzdycha John.

– Wiesz co, mogę trochę popytać i spróbować znaleźć kogoś, kto rzeczywiście spędzał z nią wtedy czas. Jeśli chcesz, oczywiście. Kogoś, kto dużo wie i komu można ufać. Jeśli to w ogóle możliwe. Niczego nie mogę obiecać, ale spróbuję. Dobrze?

Kładzie dłoń na jego rękę na stole. On ją ściska, a na twarzy ma wyraz takiej wdzięczności, że Kim zbiera się na płacz. Nagle uderza ją pewna myśl.

„Nie chcę, żeby Sara wróciła. Jeśli żyje”.

W górach zaczyna zmierzchać. Wiatr przybrał na sile i strząsa z koron drzew żółte i czerwone liście. Miota nimi po asfaltowej jezdni, która już za kilka godzin pokryje się iskrzącym się szronem. Dalej w December, gdzie ciemność przychodzi wcześniej, włączono już latarnie i cała dolina błyszczy jak garniec pełen płynnego złota.

Dochodzenie stoi w miejscu. Mona rozmawiała z dziewczyną Eddiego Branko i nie znalazła żadnych punktów zaczepienia. Nie miał żadnych długów, wrogów, nie był nielubiany. Zwyczajny zakochany facet. Żadnych punktów karnych, nawet jednego mandatu za przekroczenie szybkości, bez problemów finansowych.

John wysiada z radiowozu, który prowadził Valle, z dziwnym uczuciem w żołądku. Przy każdym oddechu przed ustami tworzą się chmurki pary. Nisko stojące na niebie słońce, które maluje niebo na różowo, prawie nie grzeje. Samochód zaparkowany za nimi to też radiowóz. Z głośnym jękiem wysiada z niego Jimmy.

– Czy nie byłoby lepiej, żebyśmy zrobili to jutro? W świetle dziennym? Słońce zajdzie najpóźniej za godzinę. – John wskazuje gestem otoczenie. – A może nawet za pół.

Jimmy sięga rękami do lędźwi i wolno podchodzi do bagażnika. Policjantom zawsze coś skrzypi i strzela w stawach, ale Jimmy'emu wyjątkowo. Tak jakby trzeba było go całego gruntownie przesmarować. Każdy staw, nie tylko buty.

– Słuchaj no – poucza go Jimmy z uśmiechkiem pod siwymi wąsami. – Nie wiem, czego was, szczeniaków, uczą teraz w szkole policyjnej, ale za moich czasów było oczywiście, że pies pracuje nosem. A nie oczami.

Otwiera tylne drzwi samochodu i John zagląda do środka.

W stalowej klatce siedzi tam Bulten. Chociaż wciąż wygląda jak siedem nieszczęść – coś się w nim zmieniło. Ma w oczach iskry, których John

u tego cuchnącego starego czworonoga nigdy wcześniej nie widział.

Jimmy zauważa reakcję Johna i wskazuje na psią uprząż z napisem „POLICJA”.

– To te szelki – wyjaśnia, otwierając drzwiczki klatki. Bulten posłusznie wciąż siedzi, dyszy z wywalonym językiem i merda ogonem z zupełnie nową energią.

Jimmy mówi dalej:

– Kiedy wjeżdżają szelki, to sygnał, że Bulten wybiera się do pracy. Nie ma znaczenia, czy stary, czy młody, owczarek jest najszczęśliwszy wtedy, kiedy może pracować.

– Więc stary Bulten jest do tego wytresowany? Do tropienia? – John sam słyszy, jak bardzo jest zaskoczony.

Jimmy znów parska. Przypina do oczka na plecach Bultena długą szarą linkę.

– Wszystkie psy policyjne są tresowane w różnych dziedzinach. Tropienie, szukanie, patrolowanie, raportowanie... no i oczywiście bronienie. Stary Bulten może nie wygląda jak milion dolarów, a do tego śmierdzi pod niebiosa. Ale to najbardziej kompetentny i najniebezpieczniejszy policjant w całym okręgu December. Możesz mi wierzyć.

Kończy westchnieniem, które tu na północy oznacza potwierdzenie, i jednocześnie zakłada czołówkę.

John sceptycznie przygląda się Bultenowi, gdy Jimmy każe mu wyskoczyć z bagażnika. Pies łąduje na asfalcie z głośnym jękiem.

– Tak, tak, musimy ci załatwić rampę, po której będziesz mógł schodzić i oszczędzać stawy – mówi Jimmy zupełnie innym tonem niż przed chwilą do Johna.

– Okej. Co znaleźliście? Potrzebuję miejsca, w którym mogą być ślady. Wystarczy obszar kilku metrów kwadratowych.

– Jak to? – dziwi się John. – Nie powinien najpierw powąchać piżamy Eddiego Branko ze szpitala, starej rękawiczki albo czegoś podobnego?

Jimmy zaczyna chichotać.

– Stara rękawiczka. – Wznosi oczy do nieba. – Sam sobie powąchaj rękawiczkę. Pokażcie mi miejsce, gdzie na pewno postawił stopy Eddie albo ci, co go gonili.

Valle ruchem ręki wskazuje taśmę i rusza w jej stronę. Jimmy rozkazuje Bultenowi ruszać, a kiedy robi pierwszy krok, z psem staje się coś magicznego. Zamienia się w zwierzę, które można zobaczyć na filmach. Idzie przyklejony do lewej nogi Jimmy'ego i ciągle zadziera głowę w górę, szukając jego twarzy. Jimmy trzyma smycz luźno i nawet nie patrzy na psa.

– Nie wierzę – szepcze John. – Chyba bardzo nie doceniałem tego zwierzęcia.

Jimmy patrzy przez ramię z zupełnie nowym uśmiechem na ustach.

– Tego, co potrafi wytresowany owczarek, nie umie nikt inny.

Po chwili dochodzą do miejsca, gdzie widać dwa głębokie odciski stóp.

– Te tutaj – wyjaśnia John – naszym zdaniem pochodzą od jednego ze ścigających.

– Naprawdę? No dobra. To nie problem.

Wskazuje ręką ślady i jednym słowem kieruje Bultena na trop.

Pies najpierw obwąchuje obszar mniej więcej dwóch metrów kwadratowych. Z nosem przyklejonym do ziemi. John właśnie bierze oddech, żeby powiedzieć, że może nie jest tak dobry, jak wyobrażał sobie Jimmy, kiedy Bulten nagle rusza przed siebie. Jimmy idzie za nim w odległości pięciu metrów.

– W śladzie człowieka zapach jest starszy przy pięcie niż przy palcach, bo ona pierwsza dotyka ziemi. Psu wystarczy kilka niuchów, żeby to przeanalizować, wie wtedy, w którą stronę iść. Teraz postanowił kierować się tam, gdzie zapach jest świeższy, ale pokażę mu, żeby robił na odwrót. Cofnął się.

Ściąga linkę i pokazuje Bultenowi przeciwny kierunek.

– Proszę.

Bulten rzuca swojemu panu pełne zaskoczenia spojrzenie, po czym jakby wzrusza ramionami i zaczyna tropić w przeciwną stronę, tę, gdzie

tropy stają się coraz starsze. John nie wszystko rozumie, ale dotrzymuje im kroku.

– To kolejny powód, żeby nie czekać do jutra – dyszy Jimmy po chwili, kiedy John z trudem utrzymuje psie tempo. – Im starsze ślady, tym trudniej tropić. Są psy, które radzą sobie nawet z tygodniowymi, ale najczęściej po kilku dniach zaczynają się problemy. Zwłaszcza jeśli ma się tyle lat co Bulten. Patrzcie no!

Bulten, który do tej pory szedł zygzakiem, ale mimo to cały czas do przodu, nagle się kładzie i szceka.

– Co znalazłeś?

Kiedy dochodzą do psa, zauważają leżącą przy nim strzałę.

– Świetnie, stary! – chwali go Jimmy.

Kiedy pojawia się Valle z torebką dowodową, Jimmy wyjaśnia:

– Na zawodach wyklada się patyki. Pies musi je wtedy zbierać i zanosić do swojego opiekuna. Ale w prawdziwych sytuacjach tak się oczywiście nie robi, żeby nie zniszczyć ewentualnych śladów. Właśnie dlatego Bulten się kładzie i pokazuje, gdzie szukać.

John jest poruszony entuzjazmem Jimmy'ego, kiedy opowiada o swoim starym przyjacielu. Jakby był zupełnie inną osobą, a i Bulten zachowuje się jak zupełnie inny pies.

– Wszyscy gotowi? – pyta Jimmy. – Okej, stary. Proszę.

Cały kwartet idzie przez las, posuwając się w górę po zboczu, podczas gdy na niebie pojawiają się coraz bardziej intensywne kolory. Po chwili Jimmy z psem oddalają się trochę od Vallego i Johna.

– To zupełnie niepojęte – mówi John do Vallego, który truchta przy nim zdyszany.

– Co takiego?

– Bo jak wziąć pod uwagę, jak ten zwierzak śmierdzi, to cholerny cud, że potrafi wyczuć jakikolwiek inny zapach.

Valle zaczyna chichotać i jeszcze trudniej mu dotrzymywać kroku Johnowi. Kiedy jednak przechodzą przez grań i zauważają, że Jimmy się za-

trzymał, a Bulten zatacza kręgi, coraz szersze kręgi, przestaje się śmiać.
Nawet John rozumie, co to oznacza.

Bulten zgubił trop.

Martin Lang ma otwarte oczy, a mimo to nie widzi nad sobą sufitu. Już dawno zmienił go w coś innego. Szczelina w farbie jest wąwozem między dwoma porośniętymi zielenią pagórkami. Ta plama wilgoci nieco na prawo to czyste głębokie jezioro, nad którym gniazdują przepiękne ptaki. Hak to droga wyjścia. Hak, na którym, gdyby tylko był w stanie, powinien był się dawno temu powiesić. Ale tego nie zrobił.

„Nawet gdybym miał siłę, gównu mógłbym zrobić”.

Oczy wypełniają mu się łzami.

„Co wezmą następnym razem?”

Życie już odebrało mu prawie wszystko. Wyrzucili go z huty za coś, czego nie zrobił, jest pewien, że Ackermannowie wymyślili to, żeby nie musieć się szarpać ze związkami zawodowymi. Kiedy stracił pracę, opuściła go żona, zabierając ze sobą dzieci, tak po prostu, a on musiał się wyprowadzić do jednopokojowego mieszkania z aneksem kuchennym. Tęskni za dziećmi tak bardzo, że boli go całe ciało, bardzo chciałby powiedzieć im, że... ale to już nie ma znaczenia. Wkrótce umrze.

Nie wie, za co spotyka go taka kara. Oni naprawdę chcą, żeby cierpiał. A on nie ma pojęcia, co złego zrobił. Miał mnóstwo czasu, żeby przeanalizować całe życie, i jest świadomy, że zranił sporo osób. Nigdy nie był grzecznym chłopcem. Mnóstwo razy się upił i urywał mu się film. Może to wtedy zadarł z kimś niewłaściwym. Albo jakąś grupą.

Gdyby ci, którzy go więżą, przynajmniej coś powiedzieli, obrzucali go obelgami albo bili go wściekli, czułby się... lepiej.

Chce tylko wiedzieć, co złego zrobił. Kto tak strasznie go nie znosi. Zrobił w życiu sporo głupich rzeczy, ale nic, co zasługiwałoby na takie gówna. Z pewnością uczynił dużo zła, ale skoro oni go nie nienawidzą, tylko traktują go jak powietrze, nie uważa, żeby to miało coś wspólnego

z jego przeszłością. Pewnie to karma wymierzająca mu moralną sprawiedliwość.

Leży na łóżku polowym, a obok niego stoi kroplówka. Odżywiają go dożylnie, bo po dwóch miesiącach znęcania się nad nim postanowił zagłodzić się na śmierć.

Ale i to nie będzie mu dane.

Dają jego ciału w kroplówce to, czego potrzebuje. A on nie może się jej pozbyć. Na początku leżał przypięty pasami, bo ciągle wrywał igłę zębami. Kroplówka nie jest podłączona do zgięcia łokcia. Bo nie ma łokcia. Wprowadzona jest do żyły z boku, pod pachą.

Wchodzi gigantyczny mężczyzna. Są zawsze zamaskowani albo Martin jest tak psychicznie wykończony, że nie widzi rysów twarzy faceta. Ma ciemnozieloną koszulkę z krótkim rękawem i tatuaże na ramionach z literami albo czymś podobnym. Wszystko się rozmywa.

Mężczyzna wymienia kroplówkę, zatrzymuje się na chwilę i przygląda Martinowi w jego opłakanej sytuacji.

– Zabij mnie – szepcze Martin. – Proszę, zabij mnie.

Mężczyzna kładzie mu dłoń na czole, a w jego oczach widać współczucie. Martin widzi przy jego biodrze wielki myśliwski nóż. Wystarczyłoby, żeby z czystego miłosierdzia przeciągnął nim po jego szyi albo wbił w serce.

Mężczyzna jednak zostawia go w tym piekle.

Martin na zmianę traci przytomność i odzyskuje ją. Może to jednak dobry znak. Pokazujący, że wkrótce będzie mógł wreszcie umrzeć. To, że jego ciało nie poddało się już dawno temu, jest spektakularną zagadką. Najpierw zabrali mu jedną dłoń. Potem drugą. Następnie przedramiona i w końcu ramiona. Kiedy przyszli po lewą nogę, walczył ze wszystkich sił, ale bez rąk nie szło mu szczególnie dobrze. A teraz... teraz nie ma już prawie nic.

„Zostało to, o czym mówił facet w celi obok. Szmata”.

Słyszał zamęt, kiedy ten drugi uciekł. Dokładnie tak, jak on sam próbował. Temu jednak powiodło się lepiej. Uwolnił się i wybiegł z przebudowa-

nej stajni. Potem na podwórzu na zewnątrz sporo się działo. Wtedy Martin zemdłał, tak jak zwykle, a teraz jest znowu dziwnie cicho. Z sąsiedniej celi nie dobiega jednak ani jeden dźwięk. Daje mu to nadzieję, że sąsiad rzeczywiście zwiął. Może sprowadzi pomoc.

„Ale po co? Do jakiego niby życia mam wracać, bez rąk i nóg?”

Nie wie nawet, czy przeżyje, czy wyda ostatnie tchnienie, kiedy tylko zostanie odłączony od kroplówki. Prawdę mówiąc, taką ma nadzieję. Byłoby to lepsze niż leżenie tutaj i czekanie, aż znowu przyjdą ze swoimi ostrymi nożami.

Zamyka oczy i czuje, jak łzy spływają mu po skroniach.

„Dobry Boże, dlaczego nie mogę po prostu umrzeć?”

„A niech to szlag” – myśli John, kiedy wchodzi na posterunek i zauważa kosz na śmieci stojący na jego biurku jak milczący, śmierzdzący olbrzym. Gdy tylko go zdejmuje na podłogę, ze swojego biura wychodzi Mona. Oczy ma jeszcze bardziej podkrążone niż zwykle.

– Wszystko w porządku? – John stawia kosz przed sobą.

Mona wzdycha i opiera się o ścianę. Krzyżuje ręce na piersi i wzrusza ramionami.

– Chodzi o mojego męża.

– No właśnie. Co mu jest?

– ME. – W głosie Mony słychać gniew. – Mamy rok dwa tysiące dwudziesty trzeci, ale wciąż są lekarze, którzy uważają, że nazywa się to „chroniczne zmęczenie”. Rozumiesz? Mimo że diagnoza jest znana od dawna. To jest częściowo neurologiczne, a częściowo komórkowe, ma coś wspólnego z mitochondriami. A nie z pieprzonym zmęczeniem. Tutejsze wieśniaki nie nadążają, ale udało mi się załatwić mu wizytę w klinice w Norwegii. Jedyne problem to zabrać go tam. On musi trzy godziny odpocząć po szczotkowaniu zębów. Ja pierdolę.

– Ja pierdolę – zgadza się John, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nazywać kogoś z ME „chronicznie zmęczonym”. To tak jak nazwać anorektyka chronicznie głodnym. Ale ci idioci ze szpitala w December tego nie pojmują. Dzięki Bogu mamy Renégo. To on załatwił ten kontakt z Norwegią.

– Mogę jakoś pomóc? – pyta John, a w spojrzeniu Mony pojawia się wdzięczność.

– Dobry z ciebie człowiek, zauważyłam to już pierwszego dnia. Ale nie, niestety. A może i tak. Rób nadal taką dobrą robotę jak teraz.

John kopie kosz.

– Co mam zrobić z tym tutaj?

Mona się uśmiecha.

– Podpalenia to w tym mieście poważna sprawa, sam wiesz.

– No, ale tak naprawdę...

– Możesz na przykład spytać Feliksa, czy to był on. Ja podejrzewam, że to jakiś znudzony nastolatek. Albo ktoś, kto wrzucił tam peta. Tak czy inaczej, trzeba się tym zająć. Jeśli chcesz, możesz to dać Juliette. Ona równie poważnie traktuje każdą sprawę, dużą czy małą.

John patrzy na Juliette, która siedzi skupiona przy swoim komputerze z komórką przyciśniętą do ucha. Nic nie wskazuje na to, by wybierała się do domu.

– To już zauważyłem. Słuchaj, zastanawiam się nad jedną sprawą.

– Dawaj.

– Major z Lyckan. Ludzie mówią, że miasto ma z nią układ.

Mona prawie nie reaguje, nie licząc delikatnego ruchu jednej powieki.

– Odsuść to, dopóki bezdomni nie robią niczego głupiego w mieście, pozwalamy im siedzieć tam w Lyckan. Po co psuć coś, co działa?

– Ale...

– Nie, John, żadnych „ale”. Jedna sprawa: jeśli wybierasz się do Lyckan, omów to najpierw ze mną, to delikatna kwestia i trzeba ją załatwić w białych rękawiczkach. Zostaw Major mnie, my się rozumiemy.

– W jakim sensie? – dziwi się John i zauważa, że chyba wszedł na pole minowe.

– Jak mówiłam, odsuść. – Mona uśmiecha się delikatnie.

– Tak jest – obiecuje nieszczercze John. Tym razem odsuści. – A słuchaj, myślisz, że mogę porozmawiać z Frankiem?

– A dlaczego nie?

– No wiesz... chodzi mi o sektę. Ślady, które znaleźliśmy i którymi poróżał Bulten... Valle mówił, że prowadziły w stronę ich gospodarstwa, chociaż było do niego jeszcze parę kilometrów. Tak więc wszystko wskazuje na to, że Eddie Branko mógł uciec stamtąd.

Mona kiwa głową.

– Tylko że w tym samym kierunku jest teren O’Connora. Więc równie dobrze mógł przyjść od niego.

– No tak, muszę chyba porozmawiać też z kimś, kto ich zna. Albo tam pojechać.

Mona patrzy na Franka, który już się pakuje.

– Możesz oczywiście pytać go, o co tylko chcesz – mówi ciszej. – Tylko że on rzadko ma ochotę rozmawiać o tym, co dotyczy Słońca i Baltazara. Ale spróbuj, jasne.

John ma właśnie to zrobić, gdy podchodzi do nich Juliette z telefonem przyciśniętym do piersi, tak jakby chciała ukryć przed rozmówcą to, co mówi.

– Szefowo... – zaczyna, demonstracyjnie omijając Johna wzrokiem.

– Mam tu adwokata Magnusa Anderssona. Gada mi, że dowody w sprawie są za słabe. Krzyczy na mnie już od kwadransa.

Magnus Andersson. Ten, który w zeszłym tygodniu zabił żonę młotkiem i bardzo niestarannie zakopał narzędzie zbrodni we własnym ogrodzie. John dobrze to pamięta.

Mona wzdycha tak głęboko, że wygląda, jakby miała się zapaść w sobie jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

– Wyślij go do prokuratora. To nie jest nasz problem.

Juliette kiwa głową i odchodzi.

John patrzy na Franka, który wybiera się do domu, i staje przy biurku Juliette, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie ma odwagi. Zbiera się w sobie, podczas gdy Juliette wydaje się skupiona jak tygrys właśnie mający ruszyć na swoją ofiarę.

„Dawaj!” – myśli John, który widząc, jak Frank nerwowo przebiera palcami, zdaje sobie sprawę, że ten jest zakochany w Juliette. „Dasz radę” – zachęca go w myślach.

– Robisz coś dziś wieczorem? – pyta Frank, a John niemal czuje dumę.

– Pracuję. Ćwiczę i śpię – odpowiada dziewczyna, nawet na niego nie patrząc.

– Okej... No to pewnie zobaczymy się jutro. – Frank kapituluje, a John wzdycha w duchu rozczarowany.

Mona przeklina i rzuca długopisem, który przestał pisać.

– Za słabe dowody? – pyta John, zauważając, że Frank rusza w stronę wyjścia. Nie zdąża go zatrzymać i prawdę mówiąc, trochę mu to pasuje. To był długi dzień. Musi odpocząć.

– Jak mówiłam, to nie nasz problem. Prokurator postanowił wnieść oskarżenie, a ja nie mam cienia wątpliwości, czy na tym posterunku dobrze się zbiera dowody i właściwie je traktuje. To tylko kolejny adwokat, który zachowuje się tak, jak ci wszyscy dranie. Próbuje wszystko hamować, żeby jakaś świnka uniknęła kary.

– Znam ten typ – zgadza się John.

A jednak przez całą drogę do domu czuje, że coś mu zgrzyta.

Deszcz bębni w okno, a myśli grają w głowie Kim we flippera, kiedy siedząca przed nią Beatrice Engdahl kolejny raz opowiada o swoim synu, który nadużywa, pracy z głupim szefem, mężu, który już nie ma ochoty na seks, a ona podejrzewa, że ma kochankę. Kim musi ze wszystkich sił się powstrzymywać, by nie wznosić oczu do nieba. Robi to jednak w duchu, myśląc zarówno o Beatrice, jak i jej tak zwanym mężu.

Opowiadała jej kiedyś, że na początku małżeństwa zebrała się na odwagę i powiedziała, że chciałyby, żeby jej mąż trochę częściej mówił, że ją kocha. A ten chodzący cud, samozwańczy dar boży, odpowiedział tak: „Powiedziałem raz, że cię kocham. Powiem ci, kiedy to się zmieni”.

A jednak mimo wielkich wysiłków Kim ma trudności ze skoncentrowaniem się na życiowych problemach Beatrice. Nie może zapomnieć widoku Kurta w studni i na stalowym stole.

„Boże, ten cholerny wzwód zza grobu”. Kim widywała już martwe ciała i myślała, że wie wszystko o tym, jak dziwnie mogą się zachowywać po śmierci, ale to wygrywa ze wszystkim.

Opowiedziała, ile mogła, na forum bez zdradzania, że sama była na miejscu, napisała, że to pogłoski i plotki. Podobnie jak z sektą i milicją.

Kim wie, że ludzie z portalu zaczęli już drążyć, i czuje się winna, że siedzi tutaj, a nie w internecie razem z pozostałymi poszukiwaczami.

„Czy to naprawdę życie, którego pragnę?” – zastanawia się, kiwając głową ze zrozumieniem w stronę Beatrice, chociaż umknęły jej trzy ostatnie zdania. Czasami ma ochotę potrząsnąć swoimi pacjentami i powiedzieć, że powinni mniej myśleć.

A jednocześnie w tym właśnie jest dobra, to jej supermoc: skłanianie ludzi, żeby się otwierali, patrzyli na sprawy z innej perspektywy i szli na przód.

– Rozwiedź się i wyrzuć syna z domu – mówi nagle, a Beatrice milknie.

Kim patrzy na zegar i stwierdza, że sesja się skończyła.

– Co?

„To chyba nie było mądre, a na pewno nie profesjonalne” – myśli. Ale... nie oznacza to, że to zła porada. Prawda jest taka, że właśnie to Beatrice Engdahl powinna usłyszeć. Kim unosi podbródek i powtarza, co przed chwilą powiedziała, ale jeszcze bardziej zdecydowanym tonem:

– Rozwiedź się z mężem. Marnujecie czas, a on na pewno ma inną. Dlaczego miałybyś pozwolić, żeby mu to uszło na sucho? Zabierz mu firmę, póki jeszcze możesz. Takie świny powinny płacić – mówi Kim, myśląc o Parszywcu.

Beatrice z interesowaniem pochyła się w swoim krześle. Oczy jej błyszczą.

– Tak myślisz?

– Tak, a kiedy wreszcie odzyskasz kontrolę nad własnym życiem, wyrzuc syna. On cię wykorzystuje. Przecież ma trzydzieści lat! Wyświadczysz mu tylko przysługę. Czy nie wystarczająco dużo im poświęciłaś? Nie czujesz się wykorzystywana?

– Tak, ale...

– Żadnego „ale”. Po prostu to zrób i zacznij żyć własnym życiem. Niech mąż cię spleci, zwolnij się z pracy, której i tak nienawidzisz. Możemy się tak umówić?

Beatrice przyciska rękę do ust, tak jakby to wszystko było dla niej szokiem, ale Kim wie, że już oswajała się z myślą, żeby zacząć od nowa. Odzyskać własne życie. A ten błysk w oku zdradza, że od dawna czekała, by ktoś, ktokolwiek, kazał jej to zrobić. Dał jej pozwolenie.

– Nie wiem...

– Dość tego. Zrób to i spotkajmy się za tydzień.

Kim niemal wypycha ją z gabinetu, po czym szybko siada przy komputerze, ale wtedy przypomina sobie, że być może ma teczkę Martina Langa w archiwum poprzedniego psychologa.

Odsuwa krzesło i odwraca się do szafek. Otwiera jedną z nich i przesuwa tecki, aż znajduje tę, której szuka.

Martin Lang.

Puls jej skacze. Kim nie może pozbyć się poczucia, że robi coś zakazanego. Że grzebie w duszy zaginionego człowieka.

Czyta uwagi i zauważa imię, które pojawia się trzy razy.

Felicia...

Kim nie zna w December żadnej Felicii.

Czyta teczkę Martina Langa kilka razy, był po rozwodzie na trzech sesjach, a potem już nie wrócił. Kim nie znajduje niczego, co sprawiałoby wrażenie powiązania ze zniknięciem, świadczyłoby, że ktoś mu źle życzył, ale to i tak dziwne.

Kiedy czyta czwarty raz, nabiera podejrzeń, że mógł zniknąć z własnej woli, może odebrał sobie życie i gdzieś tam leży.

Wpadł w depresję, kiedy żona odeszła z dziećmi. Zaczął pić i uznał, że życie nie ma sensu. Typowy mężczyzna. Kobiety mają krąg znajomych, do którego wracają, podczas gdy mężczyźni zostają sami i tracą grunt pod nogami. Kim sama nie wie, ile razy ze stojącego przed nią fotela słyszała zdanie: „Okazało się, że wszyscy nasi przyjaciele byli tak naprawdę jej przyjaciółmi”.

Wchodzi na forum i czyta. O Słońcu, Baltazarze i sekcie. Są ludzie, którzy odeszli. Ktoś wspomina, że jest wśród nich jakiś policjant, którego rodzice wciąż tam siedzą, lecz Kim już o tym wie. Nic z tego, co znajdują, nie wnosi nowych informacji, ale to tylko kwestia czasu.

Dzwoni telefon i serce Kim przyspiesza, kiedy na wyświetlaczu pojawia się imię Johna.

– Jestem na dole, idziesz? – pyta podnieconym tonem.

– Tak, a dlaczego?

– Mamy pojechać do Franka i porozmawiać z nim o sekcie.

W Kim wstępują nowe siły.

– Już idę.

Zarzuca na siebie płaszcz i prawie czuje, że staje się kimś innym.

Czuje się jak policjantka.

Milla Stankovic myje to samo naczynie trzeci raz, żeby Boban nie mógł się do niczego przyczepić. Kocha go, ale on się ostatnio zmienił. Milla wie, że powinna go zostawić, tylko gdzie miałyby się podziać?

Gdyby wystąpiła o rozwód, zabiłby ją albo siebie. Już go nawet nie poznaje. Pokonał ją. Zaczęło się to tak trywialnie, że nawet nie zauważyła, od drobiazgów, które robiły się coraz większe i większe, aż to wszystko stało się normalne.

Jego zazdrość.

Jego wybuchy.

Jego uwagi na temat jej zachowania.

Boban nie jest agresywny, nie licząc tych dwóch razy, ale to przecież była jej wina. Powinna była trzymać język za zębami, dobrze o tym wie.

„On potrzebuje tylko spokoju i ciszy. Znaleźć pracę, a potem wszystko znów będzie dobrze” – okłamuje samą siebie.

Pokłócili się tego dnia, nic wielkiego, tylko drobna przepychanka, ale i tak było nieprzyjemnie. Zapomniała umyć po sobie umywalkę. Powinna bardziej się pilnować, ma teraz wyrzuty sumienia.

– Dlaczego jestem taka głupia? – pyta sama siebie cicho.

Powinna z kimś porozmawiać, ale już nie ma, z kim. Albo się wyprowadzili, albo pokłócili z Bobanem, a ona teraz czuje się potwornie samotna.

Może najlepiej by było, gdyby wrócili do Bośni. Tam oboje mają swoje rodziny. Żadne z nich nie czuje się już dobrze w Szwecji, o ile kiedykolwiek tak było. Może to dlatego Boban stał się taki.

Tak jakby utracił nadzieję i szukał jej na dnie każdej butelki piwa.

Milla zakręca kran i ocenia stan naczyń. Ani jednej plamki. Odpręża się i siada na sofie. Wszystko jest na swoim miejscu, Boban do niczego nie

może się przyczepić, żeby dać ujście frustracji i niskiej samoocenie.

Pachnie delikatnie lawendą, którą on uwielbia, a Milla ma pod szlafrokiem najlepszą bieliznę.

To ich rocznica ślubu. On pewnie o tym zapomniał, ale nic nie szkodzi. W końcu jest mężczyzną. Milla przygotowała wieczór, który na pewno mu się spodoba. Bo to jej obowiązek.

Patrzy na zegar – jest dziewięta. On zwykle wraca koło dziesiątej, można tylko mieć nadzieję, że nie będzie zbyt pijany. Jeśli znowu mu nie stanie, zrobi jej za to piekło.

Milla właśnie ma włączyć telewizor, kiedy wszystkie lampy gasną. Wzdycha. Albo znów odcięli im prąd, albo jest jakaś awaria.

Wstaje, żeby zapalić świece, które już przygotowała na wspólny wieczór, kiedy słyszy skrzypienie tylnych drzwi.

Najpierw jest zła na siebie, bo zapomniała je przesmarować, potem jednak ściska jej się żołądek. Boban nigdy nie wchodzi do domu tą drogą.

Milla wstrzymuje oddech, jej serce na chwilę przestaje bić.

Drzwi znów skrzypią i się zamykają. Boban zawsze coś mówi, kiedy wraca do domu, ale teraz panuje cisza.

– Bobby? – rzuca pytanie w mrok.

Nie ma odpowiedzi.

Puls Milli przyspiesza, a żołądek ostrzega o zagrożeniu.

Milla wstaje, pewnie niepotrzebnie panikuje. Ciekawość popycha ją do działania. Idzie w stronę kuchni i tylnych drzwi. Ostrożnie stawia stopy. Jest drobna i szczupła i nie miałyby szans nawet z dwunastolatkiem, ale bić się potrafi. Jak się ma czterech braci, to trzeba się tego nauczyć.

Może właśnie dlatego Boban nigdy nie był wobec niej agresywny, nie licząc tych dwóch razy. Przez jej braci.

„Wyżywał się jednak na ścianach” – myśli, patrząc na wybitą pięścią dziurę w gipsowej ścianie korytarza.

Znów słysząc skrzypienie i drzwi uderzają we framugę. „To tylko wiatr” – myśli Milla i nieco się odpręża.

Żołądek pozostaje jednak ściśnięty.

- Halo? – woła, ale odpowiadają jej tylko wiatr i drzwi.

Zatrzymuje się przy kuchni. Zagląda do środka i widzi w połowie otwarte drzwi. Zauważa rozświetlony dom sąsiadów. „To nie awaria” – zdąży pomyśleć, gdy czyjaś ręka zakrywa jej usta i ciągnie w tył.

- Uwolnię cię – syczy jakiś głos za nią.

Samochód jechał w innym kierunku niż ten, w którym John zazwyczaj wjeżdżał i wyjeżdżał z December. Zamiast w stronę gór, na północ, a potem na zachód i do szosy prowadzącej w końcu do drogi międzynarodowej, udali się w zasadzie prosto na wschód. Kiedy wyjechali z gęstej zabudowy, John zauważył, że stoi tu znak podobny do tego przy drugim wjeździe do miasteczka. Według tego jednak liczba mieszkańców December wynosi dziesięć tysięcy cztery. Zastanawia się, która liczba jest prawdziwa.

„Ani jedna, ani druga” – myśli. Bo żadnego z nich nie zaktualizowano po śmierci Eddiego Branko i Kurta Stranda.

Poza wskazywaniem i instruowaniem go, jak ma jechać, Kim zachowuje się nieco... dziwnie. Od chwili, kiedy wskoczyła do samochodu, niemal promienieje entuzjazmem.

„Zrobiła się z niej prawdziwa policjantka, nie ma co”.

Później jednak jakby nagle sobie coś przypomniała i ucichła. Stała się chłodniejsza. Patrzy na drogę przed nimi i nie dotyka go, jak to ma w zwyczaju. Prawdę mówiąc, robi tak ze wszystkimi ludźmi. Poklepać po ramieniu, ścisnąć lekko rękę, pogłaskać po plecach. Dotykanie ludzi leży w jej naturze. On nie ma nic przeciwko temu, że przestała. Dotyk Kim jest zazwyczaj naładowany błyskawicami, które wywołują pożary, w tym pożary sumienia.

– No właśnie, pytałem Monę i nie znaleźli nic złego związanego z Ediem, nie miał wrogów ani długów. Kiedy zaginął, Missing People szukało go przez trzy dni i nie trafiło na żaden ślad.

– Tak podejrzewałam – odpowiada Kim.

– Tam – mówi po chwili i wskazuje na szutrową drogę, która prowadzi na spory parking.

„Witamy na kempingu Górski Troll”, głosi szyld, zielona drewniana tablica informacyjna ustawiona przy wjeździe. Dwa olbrzymie kontenery na śmieci, wokół których skaczą ptaki. Niebieski toi toi. Latryna dla psów. John skręca, wyłącza silnik auta i cieszy się, że odebrał z warsztatu swoje audi A6.

– Słuchaj... – mówi do Kim, która już chwyta za klamkę.

Przechodzi ją dreszcz. Zatrzymuje się w połowie ruchu, ale nie zdejmuje ręki.

– Tak?

– Czy... sam nie wiem. Między nami wszystko okej?

– Co masz na myśli?

John wzdycha i przygląda się stadu szpaków, które wygląda jak jeden żywy organizm na zasłoniętym szarymi chmurami niebie. Ptaki latają w różne strony w niezwykłych formacjach, tak jakby jakaś wyższa świadomość sterowała każdym małym ciałkiem.

– No nie wiem... czy ty... jesteś na mnie zła?

Kim z trudem przełyka ślinę. Wbija wzrok w coś w powietrzu tuż za oknem i sprawia wrażenie, że mocno się zastanawia, czy ma coś powiedzieć, czy nie. To mina, którą John widywał u wielu kobiet. Rzadko u mężczyzn. Oni zazwyczaj się nie zastanawiają.

– Nie – odpowiada po chwili Kim z namysłem. – Zła nie jestem.

Po tonie jej głosu łatwo poznać, że chce, by John zadał jej kolejne pytanie, robi więc to, nakazując jednocześnie dłoniom, żeby nie ścisnęły tak mocno kierownicy.

– Zła nie, ale...?

Kim puszcza klamkę, opada na siedzenie i patrzy na nogi Johna. To postępek. Przynajmniej nie gapi się w przestrzeń. Nogi to chociaż część jego ciała.

– Między nami jest jakoś dziwnie po tym wieczorze. W Lyckoslanten. Z kartami i całą resztą.

John słyszy chrupot, kiedy bezwiednie zaczyna zgrzytać zębami. Kiwa głową. Ma ochotę odpowiedzieć tym westchnieniem, które w tutejszym

dialekcie wyraża potwierdzenie. Zmusza się jednak do wymówienia słowa „Tak” tonem na tyle spokojnym, na ile potrafi, mimo że serce mu fika kociołki.

– Zgadzam się.

– A potem – kontynuuje Kim, teraz z większym ogniem w głosie – tak jakby zaczęłaś mnie unikać. Nie odzywałeś się przez cały tydzień. To nie znaczy, że musiałaś. Znamy się dopiero od paru tygodni. No, ale jednak. I jeszcze ten wieczór u mnie w domu. I...

Przerywa. Powoli wciąga powietrze do płuc.

– Czulaam, że po prostu mnie unikasz. I to było... chujowe.

Kim krzywi się, jakby sama siebie zaskoczyła tym słowem.

John puszcza kierownicę i odwraca się do niej. Kładzie dłoń na jej ręce i zmusza ją, by spojrzała mu w oczy.

„Fuck. To spojrzenie”. W tej chwili wrażliwe jak u delikatnej elficy. Smutne?

– Przepraszam – słyszy własny głos. – Nie chciałem tego.

Kim patrzy w dół na ich dłonie. Potem zbiera się w sobie.

– No wiesz... ja też się do ciebie nie odzywałam. Nie chodzi o to, że... no wiesz, rozumiesz. Ja też...

„Ty też to czujesz. To, co jest między nami” – myśli John. „I z jakiegoś powodu cię to przeraża, tak samo jak dla mnie to niemożliwe”. Kiwa jednak tylko głową i mówi:

– Czasami tak bywa. Życie przeszkadza. Zapewniam, że nie unikałem cię specjalnie.

„Kłamiesz. Robiłeś to” – mówi gruby czerwonoskóry facet z rogami i ogonem, który czasami siedzi na barku Johna i szepcze mu prawdę prosto do ucha. „Bo nie chcesz czuć, że zdradzasz Sarę”.

Na szczęście wszystko wskazuje na to, że Kim nie zauważyła kłamstwa. Uśmiecha się i chyba jej ulżyło.

– Więc między nami okej?

– A nawet lepiej – odpowiada John.

I żeby nie zrobiło się jeszcze bardziej niezręcznie, wskazuje palcem przez przednią szybę.

– Kemping Górski Troll. Naprawdę Frank tu mieszka?

Kim z wdzięcznością przyjmuje zmianę tematu, opuszcza osłonę przeciwsłoneczną po swojej stronie i w małym lusterku sprawdza swoją fryzurę i makijaż.

– Tak jest – potwierdza. – Kiedyś było to miejsce dla urlopowiczów. Ale kiedy ludzie w dolinie zaczęli tracić pracę i nadeszły niekończące się kryzysy, domek na kółkach albo kamper stały się coraz częściej stałym adresem wielu ludzi w tej części kraju. Wiesz, jak na amerykańskim filmie.

– Trailer park – mówi John. – O mały krok od bezdomności.

– Dokładnie.

– Ale dlaczego Frank tu mieszka? Przecież ma policyjną pensję. Może nie są to kokosy, ale powinno wystarczyć na normalne mieszkanie? Zwłaszcza na tym zadupiu... to znaczy... w tym wyludniającym się miasteczku.

Rumieni się. Że też zawsze musi się wywyższać jak jakiś cholerny bachor z wielkiego miasta. Nic dziwnego, że ludzie uważają go za idiotę. Tak jakby życie w Sztokholmie było takie cudowne. W mieście, gdzie jedyny kontakt dzieci z przyrodą to psia kupa, w którą wdeptują na chodniku, i gdzie co drugi pies ma różową bluzeczkę z napisem „Not your bitch”. Gdzie powietrze śmierdzi spalinami i gangi codziennie urządzą sobie strzelaniny.

Kim chichocze.

– Dobrze, że sam usłyszałeś, co powiedziałaś. Wiesz, że tu teraz mieszkasz, nie? Czy tego chcesz, czy nie, jesteś w tym momencie jednym z nas. Wieśniakiem.

John się śmieje.

– Przepraszam. Nigdy się nie pozbędę tego Sztokholmu z siebie. Jesteśmy dupkami, którzy uważają, że stolica to pępek świata.

– W porządku, przynajmniej ja nie muszę tego mówić. – Uśmiecha się Kim. – Masz wybaczone. Dom Franka jest o kilka alejek dalej. Tam pewnie

też macie takie miejsca?

John kiwa głową.

– Więcej, niż byśmy chcieli. I jeszcze ogródki działkowe, gdzie ludzie mieszkają przez cały rok, chociaż nie wolno. To prawie to samo.

– A o co mamy pytać Franka?

– Tak ogólnie o tę sektę, z której się wyrwał.

Spacer przez ten teren to smutna historia. Owszem, istnieją domy na kółkach i kampery przypominające małe pałace, takich jednak na kempingu Górski Troll nie ma. Widać tu za to połatane namioty, przewrócone płotki, nadmuchiwane baseny, z których uszło powietrze, a dno przykryły liście, rowery bez opon, stojące na ceglach zardzewiałe samochody, zaś zarówno pies przed jednym z kamperów, jak i kot leżący na dachu z falistego plastiku wyglądają, jakby miały trąd.

– Jezu – mówi John, przekraczając kałużę pokrytą opalizującą warstewką. – Urocze miejsce.

– Dla Franka pewnie tak. Prawdę mówiąc, uważam, że to dla niego raj – odpowiada z namysłem Kim.

John się wzdryga. Bo to nie powinno być prawdą. I co on takiego za sobą zostawił?

Jak na kemping pełen wyrzutków, Frank ma chyba najlepszy kamper, może nawet mieszkalny autobus. Stary autokar mercedes przebudowany na dom.

Frank leży na rozkładanym krześle, wpatrując się w zachmurzone niebo. Frank, który jest trochę zwariowany, ale miły i słodki jak torebka babeczek.

Kim uważa, że to ładna scena, tak jakby policjant nie miał żadnych trosk i był całkowicie odprężony.

Obok przebiega jakiś chłopak goniący za piłką, grupa dzieci bawi się w berka, a nastrój jest jednocześnie i przyjemny, i paskudny. Jacyś mieszkańcy naznosili tu złomu, który gdzieś tam rdzewieje, ktoś z wózka sklepowego zrobił grill – dwóch mężczyzn opieka na nim kiełbaski.

„Czy tak wygląda prawdziwa wolność?” – zadaje sobie pytanie Kim, ale odsuwa tę myśl na bok, widząc, jak jakaś para głośno się kłóci na oczach wszystkich.

– Cześć, Frank – wita się, kiedy do niego podchodzą.

Chłopak wzdryga się i siada. Wyrzuca żarzącego się peta i Kim dopiero teraz rozpoznaje słodki zapach. Frank ma poczucie winy wypisane na twarzy.

– Rany, co wy tu robicie? – pyta, siadając.

– Chcemy tylko trochę porozmawiać.

– A nie możemy tego zrobić na posterunku? – Frank drapie się w tył głowy.

– Wolimy tutaj.

– No dobra, chcecie kawy albo coś?

John i Kim grzecznie odmawiają. Stoją nad Frankiem, a ten wydaje się bardzo zakłopotany.

– Pałę tylko czasami – wyjaśnia, kiedy John wpatruje się w peta, z którego wciąż wydobywa się smużka dymu.

– Nie obchodzi mnie to – uspokaja go John. – Twój wolny czas, twoje życie.

– Świetnie, to o czym chcecie rozmawiać? Zrobiłem coś złego?

– Nic z tych rzeczy – zapewnia Kim.

Jest wdzięczna, że John nie prawi morałów.

– Eddie Branko, ten bez rąk, pamiętasz? Uważamy, że mógł być w se... tam, gdzie są twoi rodzice. Zanim do nich pojedziemy, chcemy tylko trochę się czegoś o nich dowiedzieć. Oczywiście nie wspomnimy nic o tobie.

Frank wzdycha.

– Nie chcę o tym mówić.

– To śledztwo w sprawie morderstwa, a ty jesteś policjantem – mówi John z wyraźną irytacją. – Mam w dupie twoją relację z rodzicami, chcę wiedzieć, do czego ci szaleńcy są zdolni, co tam w górach robią. Zginął człowiek, Frank, facet, któremu ktoś uciął ręce.

Mężczyzna przetyka ślinę, wyraźnie walczy ze sobą, próbując jednocześnie się nie rozplakać. Zaczynają mu drzeć ręce, obejmuje nimi mocno kolana.

Kim siada obok niego i bierze w ręce jego dłoni. Próbuje go uspokoić. Trauma, która wywołuje taką reakcję, musi być potężna.

– Oddychaj – mówi miękko, sama bierze głęboki wdech i kiwa do niego zachęcająco, żeby zrobił to samo. Frank niepewnie wciąga powietrze.

John już ma coś powiedzieć, ale Kim kręci głową, żeby jeszcze chwilę pomilczał.

– Dobrze – mówi do Franka. – I jeszcze raz.

Razem biorą jeszcze dwa głębokie oddechy i Frank rzeczywiście wydaje się odprężyć. W końcu Kim wraca do sprawy:

– Musimy tylko wiedzieć, czego się spodziewać, kiedy pojedziemy do twoich rodziców.

– Mama... moi rodzice nie są szaleni. To oczywiście zależy, jak na to patrzeć. Z jednej strony są... głęboko wierzący, a z drugiej nie. Słońce i Baltazar manipulują ludźmi tak, żeby wierzyli w starych bogów, i mieszają to ze starym gotyckim chrześcijaństwem. Owszem, to jest sekta, i tak, robią różne chore rzeczy, ale morderstwo... sam nie wiem. Zwiąłem stamtąd osiem lat temu.

– Składają ofiary? – pyta John, a Kim patrzy na niego z powątpiewaniem.

Frank znów bierze głęboki oddech.

– Tak, ale tylko z kóz i owiec i tylko przy specjalnych okazjach. Nic gorszego – zapewnia, a Kim stwierdza w duchu, że to kwestia definicji.

– Tęsknisz za nimi? – pyta, a on wzrusza ramionami.

– Czasem tęsknię za wspólnotą. Dorastałem w niej, to głęboko w człowieku siedzi.

– Czy ich... wspólnota ma jakąś nazwę?

– Możesz mówić „sekta”. – Uśmiecha się słabo Frank. – Nazywają siebie Ludem Świątyni Słońca. Myślę, że Baltazar był w jakiejś sekcji w Stanach Zjednoczonych, po czym wrócił i spotkał Słońce. Razem założyli Lud Świątyni Słońca, a to wszystko opiera się na stworzeniu nowego Edenu. Wkrótce ma nastąpić koniec świata i tak dalej. Tylko ci, którzy wierzą prawidłowo, zostaną wzięci do raju, gdy Ziemia zginie. Mama i tata łkali to wszystko jak pelikany.

Kim klepie Franka po ramieniu. Spokojnie i cicho. Dobrze reaguje na fizyczną bliskość, niemal chłonie jej dotyk, ale zupełnie nie w seksualny sposób. Bardziej tak, jakby tęsknił za matką.

– Znasz człowieka o nazwisku Martin Lang? – pyta i zauważa zaskoczenie w oczach Johna.

– Tak, mieszkał tu pewien czas na kempingu, byliśmy kumplami, ale pojechał gdzieś dalej. Tak jak wszyscy, którzy tu ładują.

Frank obgryza paznokieć, a Kim zastanawia się, czy powiedział wszystko.

– A znasz jakąś Felicję?

Frank potrząsa głową.

– Nie.

– Czy oni są skłonni do przemocy? – dopytuje się John, a Kim ma wrażenie, że bawi się w dobrego i złego glinę.

– Może i tak, ale...

Kim widzi, jak myśli kołaczą się w jego głowie i otwierają stare szuflady, które wydawały mu się już zamknięte na zawsze.

– Ale...? – próbuje delikatnie Kim.

– To raczej przemoc psychiczna, pranie mózgow. Rozumiesz?

– Rozumiem. A seks?

Frank od razu sztywnieje. Znow zaczynają mu się trząść ręce i odsuwa się od Kim.

– Nie musimy o tym mówić – uspokaja go. – Innym razem.

– Czy oni strzelają z łuku? – pyta John, a Kim kiwa głową. Muszą wyciągnąć Franka z dziury, w którą właśnie go wepchnęli.

– Z łuku? – dziwi się Frank.

– Polują z łukiem i strzałami?

Frank wzrusza ramionami.

– Tego nie wiem, ale wtedy nikt nie polował. Mają kury, kozy i świnie. Uprawiają warzywa. Ale raz na jakiś czas mają ceremonie. Część kobiet i mężczyzn nazywają ladacznicami Jezusa.

– Ladacznice Jezusa? – pyta Kim, pewna, że kiedyś o tym czytała.

– Ci, którzy werbują ludzi spoza sekty, nakłaniają do przyłączenia się czy jak to nazwać.

Kim zauważa srebrny krzyżyk z pierścieniem na jego naszyjniku. Rozumie, że jego wiara zawsze będzie w nim tkwić w ten czy inny sposób, ale nie zamierza teraz się w to zagłębiać.

– Co możesz powiedzieć o swoich rodzicach? – zagaduje John, a Frank nagle wstaje.

– Nie chcę już o tym mówić. Musicie iść.

Odsuwa się od Kim, oddech mu przyspiesza.

Zamknął się w sobie, a Kim rozumie, że żałuje tej rozmowy.

Frank wbija wzrok w coś w oddali, a kiedy Kim tam patrzy, może przysiąc, że widzi kogoś w czerwonym płaszczu i czapce.

John jest na strzelnicy i ma pewien problem. Albo z bronią, albo z mózgiem, który znajduje się gdzieś w zupełnie innym miejscu. Pewnie to drugie. Ma trzy próby, w każdej pięć strzałów, a jeśli całkiem nie trafi w tarczę, to nie zaliczy.

Do celu ma dwadzieścia pięć metrów, a jeśli mu się nie uda, to następne podejście jest za trzy tygodnie i pewnie wszyscy będą codziennie się z niego nabijać.

Najpierw musi umieścić pięć pocisków w tarczy, a potem są jeszcze dwa etapy. Jeden – z odległości siedmiu i pół metra, musi wtedy trzymać pistolet lufą w dół, a potem strzelić, kiedy pojawi się tarcza. Trzy pociski na pięć muszą trafić. W trzeciej i ostatniej części musi wyciągnąć broń z kabury i strzelić w ciągu trzech sekund. Tu też trzy razy musi umieścić kule w celu.

Mona nie chce ich puścić do sekty, dopóki nie zaliczy testu i nie dostanie broni. Zwłaszcza po tym, jak idiotycznie powiedział, co widziała Kim, chyba że jej się przywidziało. O tym, co przstraszyło Franka.

John nie znalazł nikogo w płaszczu i nie ma pewności, czy Kim rzeczywiście coś zobaczyła, czy to po prostu mózg spletał jej figła. Cokolwiek to było, Frank się przeraził. John nie może zrozumieć, że ktokolwiek w ogóle chce być w sekcie. Jest oczywiście różnica między ludźmi takimi jak Frank, którzy tam dorastali, a tymi, którzy idą za ladacznikami Jezusa, jak ich nazwał Frank.

„Ale chyba dorastanie w ten sposób jest jeszcze gorsze. Bo jak się odciąć od całego dzieciństwa? Od całego wychowania? Jak zwichrowana musi być psychika takiej osoby?”

John wciska magazynek do wypożyczonego sig sauera 239 i oburącz chwyta broń. Czuje się dziwnie i przez głowę przelatuje mu wspomnienie chwili, w której postrzelił Antonia Alvareza. Strzela. Cztery trafienia, wy-

starczy umieścić już tylko jeden pocisk w tarczy, która jest zrobiona z brązowej tektury i ma kształt sylwetki, bez okręgów z punktami. W środku widnieje czerwone kółko, a górna część to głowa.

„Uspokój się, kretynie” – myśli John i próbuje się odprężyć. Oddycha spokojniej. Stara się oczyścić umysł ze wszystkiego, co w nim wibruje. Bierze głęboki wdech i znowu podnosi broń. Jak najdelikatniej naciska spust.

„Trafony, zatopiony”.

Zabezpiecza broń, wyciąga magazynek i kładzie go na stole przed sobą. Zdejmuje nauszники i uderza w przycisk przysuwania tarczy.

Pierwsza próba poszła świetnie. Wszystkie pięć strzałów trafiło w cel, ale to była ta łatwa część.

John spogląda do tyłu. Macha do niego Petter, który zaliczył trafienia. Dobrze, może sobie teraz zrobić przerwę. Petter jest przewodniczącym klubu łuczniczego i przyszedł tu przed czasem.

John zwraca szefowi strzelnicy uwagę na swoją broń i wychodzi. Idzie do pokoju socjalnego, w którym śmierdzi policyjną kawą i smarem do broni.

– Cześć – mówi Petter, potrząsając ręką Johna. Siadają i John wyjmuje z torby strzałę.

Jest zapakowana w przezroczystą torebkę. John kładzie ją przed Petterem, który niemal zaczyna ją głaskać.

– Mogę wyjąć?

– Jasne – potwierdza John. – Już ją obrobiliśmy.

Mężczyzna otwiera torebkę, dotyka drewna, trzyma strzałę przed twarzą, jakby celował jednym okiem wzdłuż promienia. „Pewnie chce zobaczyć, czy jest prosta” – myśli John. Petter wacha drewno i pióra. Na koniec uważnie ogląda grot.

– No i co powiesz? – pyta John.

– Musisz porozmawiać z jakimś Mongołem albo Chińczykiem.

– Nie zamam żadnego Mongoła ani Chińczyka. Mam tylko ciebie.

Petter kilka razy przeciąga językiem między zębami. Powtarza tę samą procedurę, a John ma ochotę wznieść oczy do nieba, ale się powstrzymuje.

– No dobra, nie jestem ekspertem, ale... podejrzewam, że to brzożowa strzała, jaką wypuszcza się z mongolskiego łuku bojowego. Trudno powiedzieć bez łuku, ale strzała jest zrobiona z brzozy i rogu łosia, łabędzich piór zamiast sokolich, klej jest z rybiego pęcherza, jak przypuszczam – mówi, znów wachając. – Współczesna, nie antyczna, ale muszę przyznać, że fantastyczna robota.

– Czy to normalne?

– Boże, nie. Nie mongolskie rzeczy. Oczywiście da się to pewnie zamówić w sieci, ale człowiek, który jej użył, interesuje się szczególnie mongolskimi łukami z trzynastego wieku.

Petter dotyka grotu, rozkoszując się jego ostrością.

– Coś jeszcze?

– Nie, skoro nie ma łuku. – Petter pochyla się do przodu. – Zabiła kogoś? Chodzi o morderstwo?

– Sorry, nie mogę o tym mówić. A powiedz, czy ktoś z klubu ma mongolski łuk?

– Nic o tym nie wiem. Strzelamy sportowo, więc wszyscy wydają na to własne pieniądze, ale mogę popytać, jeśli chcesz. Oczywiście dyskretnie – szepcze Petter, na co John się uśmiecha.

– Dzięki, byłoby miło. Masz mój numer, więc wystarczy zadzwonić.

Petter kiwa głową i oddaje strzałę, po czym odchodzi.

John siedzi jeszcze przez chwilę, żeby oczyścić umysł, który zaczyna spowijać mgłą. Bierze tabletkę na migrenę i ugniata sobie skronie, jakby to mogło pomóc. Już samo to, że próbuje coś robić, sprawia mu pewną ulgę.

Patrzy na strzałę. Rozgląda się dookoła, ale jest w pokoju sam. Podsuwa drzewce do nosa. Wyraźnie czuje zapach brzozy i jeszcze inne, zwłaszcza przy piórach.

– Hm – mówi do siebie. To, że Petter to wszystko wie, jest imponujące, ale jednocześnie nieco podejrzane. Musi trochę poszperać w jego sprawie.

Petter, nie wiedząc o tym, sam skierował na siebie podejrzenie o morderstwo. Może w tym klubie łuczniczym kilka osób poluje na ludzi? Szczególnie mówiąc, to jego najlepszy trop w sprawie morderstwa Eddiego Branko.

„Mongolski łuk bojowy... chore świry”.

Właśnie ma wracać na strzelnicę, kiedy dzwoni telefon i John wzdycha. To Mona.

– Skończyłeś test?

– Jeszcze nie, zostały dwa etapy.

– Załatwisz to później. Znalezione kobietę. Zamordowaną. Milla Stanovic. Wszyscy inni są zajęci, więc ty musisz to wziąć.

– Muszę?

– Tak jest. Reszta ma za dużo na głowie.

– Dobra, ale wezmę ze sobą Kim Cordell.

– Rób, co chcesz, ale nie zapłacę jej ani grosza.

John ma ochotę zakląć, ale ona już się rozłączyła.

„Kolejne zabójstwo kobiety” – myśli i znów czuje coś dziwnego w żołądku.

– Tutaj – mówi jeden z goryli Major, przypierając jednocześnie Mullego do ziemi przed jej stopami.

– Leżał wciśnięty w śpiwór w jednej z tych betonowych rur na skraju lasu.

Major odkłada drewnianą figurkę, którą rzeźbiła. Strzepuje wióry z kolan i niespiesznie wstaje sprzed paleniska. Patrzy mu prosto w oczy. Wie, że jej oczy są równie szare jak jesienne niebo i co najmniej równie chłodne.

– Ależ, Mulle – mówi. – W betonowej rurze? Przecież mamy tu miejsce dla ciebie.

Wskazuje ręką jeden z wielu wysłużonych brązowych budynków fabrycznych w Lyckan.

– Tak jak dla wszystkich innych.

Mulle szybko oddycha. Dosłownie czołga się po żwirze. W brzuchu Major pojawia się nieprzyjemne uczucie. On się jej boi. To jednocześnie dobrze i źle. Dobrze – bo jeśli trzeba rządzić takim miastem w mieście, do tego będąc kobietą, ludzie muszą się trochę bać. Źle – bo on wydaje się wystraszony na śmierć. A o Major można wiele powiedzieć, ale nie to, że jest bez serca. Kiedy widzi jego szeroko rozwarte oczy i słyszy chrapliwy oddech, czuje tylko współczucie. Nie może jednak tego po sobie pokazać.

„Równowaga. Najważniejsza jest równowaga”.

Podchodzi do nich starszy, nieco pokrzywiony mężczyzna, niosąc swój skarb – worek pełen puszek z kaucją. Kiedy jednak zauważa scenę, która się przed nim rozgrywa, kładzie worek na ziemi, podnosi rękę, kiwa głową do Major i znika.

– N-nie miałem odwagi – tłumaczy Mulle, który delikatnie mówiąc, nie należy do elity ludzkości. – Bałem się jak cholera.

– Tak? A dlaczego? Chodź, wstawaj. Usiądź sobie tu przy ogniu i się ogrzej.

Major wyciąga do niego rękę. Widzi, w jakim jest stanie. Żaloba za panokciami. Pęknięcia. Brud. Obrzęki. Zmarszczki.

„Kiedy zrobiła się ze mnie starucha?”

Po chwili wahania Mulle chwyta wyciągniętą rękę i Major stawia go na nogi. Daje głową goryłowi znak, że może sobie iść i zająć się workiem z puszkami.

– Tutaj. – Wskazuje wyleniałą owczą skórę leżącą na powalonym pniu drzewa przy ognisku. – Siadaj. Chcesz wody?

– Chętnie – odpowiada Mulle i czka. Wyciera nos wierzchem ręki. Kiedy siedzi, jest tak zgarbiony i skulony, że wygląda, jakby chciał zapaść się w sobie.

– Fajny – mówi, wskazując głową na w połowie skończonego wilka, którego kobieta wyczarowała z kawałka brzozy.

– Dzięki. – Major podaje mu butelkę z wodą. – No to opowiedz, dlaczego bałeś się wrócić na swoje miejsce? Szukałam cię przez jakiś czas, ale pewnie już o tym wiesz?

Mulle otwiera oczy.

– Nie, nie. Nic nie wiedziałem. Przecież wtedy bym od razu przyszedł. Ale ten cholerny gliniarz. I to, co się stało z Kurtem, to mnie na śmierć wystraszyło. Słyszałem, że go szukał. A potem Kurt nagle zginął. Później usłyszałem, że mnie też próbował znaleźć. No więc, rozumiesz. Przecież nie chcę umierać. Ten gliniarz z miasta jest chyba zupełnie stuknięty. Głina może robić, co chce. Zwłaszcza z takimi jak my.

Major powoli kiwa głową.

– A dlaczego cię szukał?

– Nie mam pojęcia. Ludzie mówią, że poszukuje żony i syna. Ale... co niby miał z tym wspólnego Kurt?

Brzmi, jakby mówił prawdę. Major wyciąga nogi w stronę ognia. Krzyżuje je.

– To nie gliniarz zabił Kurta, Mulle...

Zawiesza głos dokładnie tak, jak trzeba. Żeby Mulle zrozumiał. I rozumie. Wyraźnie to widać.

– Co takiego? Znaczy... Dlaczego...?

– Dobrze wiesz, co zrobił Brudnej Lisie. Ona co prawda jest trochę walnięta i cholera wie, jak to możliwe, że mu stanął, biorąc pod uwagę jej zapach i bełkotanie. Ale wiesz też, że nie tolerujemy tutaj w Lyckan przestępstw przeciwko innym mieszkańcom, prawda?

Mulle pociąga nosem. Wpatruje się w płomień.

– Ja... Nie wiedziałem...

Nagle Major nie jest już taka pewna, czy mężczyzna mówi prawdę, czy nie. Postanawia poczekać. Wystarczy minuta ciszy, żeby Mulle się zdenerwował i znów zaczął mówić.

– Znaczy, wiedziałem, że coś się stało. No i prawda, Kurt bywa okropny. Ale... nigdy nie przypuszczałem, że może... A przecież mówił, że ona się zgodziła. Tak mi powiedział.

– Ona była odurzona fentanyłem, Mulle. Totalny odjazd. Mała Sabina widziała ją tuż przed tym, jak Kurt postanowił wykorzystać sytuację. I nie wyszła z tego bez szwanku. Nie możemy mieć u siebie takich bydlaków, przecież wiesz o tym. Więc ktoś się nim zajął, prosta sprawa. Znasz układ. Wszyscy są tu mile widziani, o ile się dobrze zachowują. Mamy wrażliwą społeczność i musimy trzymać się razem. Wspierać się. Prawda?

Mulle kilka razy szybko kiwa głową.

– Ja się dobrze zachowuję, wiesz o tym. Ja bym nigdy, nigdy, prze-nigdy...

Zagubił się w bełładnym bełkocie.

Major kładzie rękę na jego ramieniu.

– Wiem, Mulle.

– Więc mi wierzysz?

– Że John Wagner szukał Kurta, bo pomyślał, że ma informacje o jego żonie i synu? Miała na imię Sara. Albo ma tak na imię. Nikt nie wie, kim jest. Ale pochodziła z December. Więc tak, w to rzeczywiście wierzę. Inni

mówią, że to sam John jest winny, ale ja tak nie uważam. A teraz szuka ciebie, bo jesteś... byłeś kolegą Kurta. Tylko dlatego? Nie ma nic innego?

Mulle kręci głową i patrzy jej prosto w oczy.

– Przysięgam. Nie okłamałbym cię. Jesteś dla mnie jak matka! Dla wszystkich tutaj...

Musiał zauważyć zmianę na jej twarzy, kiedy wypowiedział to słowo. Matka. Bo jego głos zmiękł.

– Czy... rozmawiałaś z nim?

Major musi kilka razy przełknąć ślinę, wpatrując się tępo w ogień. Jej głos nabrał metalicznego brzmienia.

– To wszystko, Mulle. Możesz już iść. Przynies śpiwór i wracaj na swoje miejsce. Potem możesz dołączyć do Sama i Flippera, wieczorem idą zbierać katalizatory. Okej?

Mulle od razu wstaje.

– Tak. Dzięki. I przepraszam, nie chciałem... nie wiem. Zrobić ci przykrości.

Major w odpowiedzi uśmiecha się smutno. Jak zawsze, kiedy jest mowa o jej synu, w jej piersi ścierają się różne uczucia. Gdy Mulle odchodzi, Major zdaje sobie sprawę, że będzie musiała się do niego odezwać.

Do swojego syna. Syna, który jej nienawidzi.

Smutek ogarnia Johna, kiedy czuje metaliczny zapach krwi. Wszędzie jej pełno. Wygląda to tak, jakby ktoś jeździł we krwi na łyżwach i obijał się o ścianę. Czuć przetrawiony alkohol zmieszany ze środkami czystości i lawendą.

Zanim John przybył do December, myślał, że widział już wszelkiego rodzaju miejsca zbrodni. I że żadna śmierć nie zaskoczy go brutalnością.

Kiedy przyszli, dom był ogrodzony, a Valle ułożył pomosty do chodzenia aż do kuchni, gdzie niedawno znaleziono Millę Stankovic. Śmiertelnie pobita na podłodze we własnej kuchni.

Boban Stankovic – jej mąż – leżał na górze w łóżku i spał jak zabity, z butelką taniej whisky na nocnym stoliku. Obok niego leżał nóż. I na nim, i na nożu było pełno krwi Milli. Krwawe odciski stóp biegnące od kuchni aż do łóżka. Odcisk ręki na ścianie przy schodach prowadzących na piętro. Wyraźne odciski palców we krwi zaschniętej na trzonku noża. Ciało odwieziono już do prosektorium, gdzie René zbierze i zestawi dowody. Sądząc po notatkach i zdjęciach Vallego, Milla dzielnie walczyła przed śmiercią, a mając na względzie to, jak wygląda reszta miejsca zbrodni, John nie ma wątpliwości, że ciało Mili będzie całe pokryte DNA jej męża.

Po zameldowaniu się u Vallego John wraca i wychodzi na schody, gdzie czeka na niego Kim z ponurą miną.

– Ale to chore – mówi.

– Co?

– No przecież wszystko. Co jest dzisiaj, środa? Wszystko jedno, mógłby to być dowolny dzień. Pewnie oboje mieli już plany. A tymczasem... bum. – Krzywi się. – Odwala mu po pijaku i teraz żadne z nich nie zrobi tego, co planowali.

– Zwłaszcza Milla – odpowiada John, zdejmując ochraniacze z butów. – Znasz Stankoviców?

Kim wzrusza ramionami.

– Niezbyt dobrze. Żadne z nich nie przychodziło do mnie. Ale... wiesz, jakie jest December. Na pewno nieraz odbierała go z Lyckoslanten, kiedy za bardzo się upił. Zanim go stamtąd na dobre wyrzucili.

– Sądząc po sypialni, nie przestał pić, tylko przeniósł się do domu.

Kim spuszcza oczy.

– Chore. Wszyscy oczywiście wiedzieli. A jednak takie rzeczy się dzieją.

– Jeśli to cię pocieszy, posadzenie męża za morderstwo nie będzie szczególnie trudne. Z tego co widziałem, miejsce zbrodni wygląda jak książkowy przykład.

– To znaczy?

– Są tu wszelkiego rodzaju dowody, jakich można sobie zażyczyć. Odciski palców na narzędziu zbrodni, we krwi ofiary i tak dalej...

Kim przekrzywia głowę.

– A jednak słyszę, że masz wątpliwości...

John drapie się w czoło.

– No, prawdę mówiąc, trochę. To tylko przeczucie. Ale nie mogę wskazać nic konkretnego.

Kim przygląda mu się badawczo.

– Możesz więc pojechać i go przesłuchać. Może wtedy coś się wyjaśni?

John wzdycha.

– No tak. Zupełnie jakbym miał na to czas.

Gdy tylko słowa wychodzą z jego ust, żałuje ich i rozgląda się dookoła z poczuciem winy.

– Znaczy... to było chyba trochę bezduszne. Nie to miałem na myśli.

Kim kładzie rękę na jego ramieniu.

– Rozumiem. Spoko.

Kobieta wyciąga telefon z kieszeni płaszcza i patrzy na zegarek.

- Wyrzucisz mnie pod gabinetem? Za pół godziny mam pacjentkę. Może zobaczymy się później? Zjemy coś na mieście albo... coś innego?

John jest zaskoczony. Skacze mu tętno. Przestaje oddychać. Myśl o obiedzie sam na sam z Kim to kolejna emocja w splątanych motkach jego myśli. Są jak kula z drutu kolczastego. Kiwa głową i odpowiada, że mogą tak zrobić. Na więcej w tej chwili go nie stać.

Martin Lang budzi się i próbuje językiem zwilżyć wargi. Język ma wyschnięty na papier ścierny, z ust śmierdzi mu kupa. Jest głodny i spragniony, zastanawia się, czy o nim zapomnieli.

Torebki z kroplówką skończyły się nie wiadomo jak dawno, Martin nie pamięta nawet, od kiedy tu leży jak porzucona paczka.

W głowie ma błoto i przez większość czasu śpi, jego życie wydaje się sennym koszmarem i zastanawia się, czy może już umarł. Poszedł do piekła i tu zostanie na zawsze. Za wszystkie swoje grzechy.

Gdy słyszy stłumiony krzyk i widzi wróbla, który gapi się na niego z belki, zdaje sobie sprawę, że żyje i nie śni. Ptak podnosi ogon i coś mroźnego spada na czoło Martina.

Chce zetrzeć ptasią kupę, ale żadna z kończyn nie reaguje. Bo przecież ich nie ma. Myśli, że ma szansę uciec, aż przypomina sobie, że został pozabawiony nóg.

Wzdycha w duchu.

Umrze tutaj. Wie, że nie ma żadnych szans, by go puścili. To, że w ogóle żyje, to cud, mimo że codziennie modli się o śmierć.

Wszystkie pytania stoją w kolejce po odpowiedzi, ale na próżno. Gdyby tylko mógł się dowiedzieć, dlaczego mu to wszystko robią, zrozumiałby, pogodzić się z tym i przyjąć karę.

Niewiedza jest taką samą torturą jak cała reszta. Nawet z nim nie rozmawiają... tak jakby nie był człowiekiem, jakby nie zasługiwał na jakąkolwiek odpowiedź, jakby go tu w ogóle nie było.

Słychać głośny stuk, jakby ciężkie drzwi. Martin rozpoznaje dwa głosy. Chyba męskie. Potem pojawia się coś, co mrozi mu krew w żyłach. Brzmi to jak... płaczące dziecko? Po kilku sekundach znów słychać stuk i robi się całkiem cicho, nie licząc ćwierkania ptaka na butelce nad nim.

„Mają tu dzieci?”

Myślał, że to niemożliwe, ale łza spływa mu z prawego oka we włosy.

Skupia się z całych sił, żeby usłyszeć więcej. Po kilku minutach otwierają się drzwi na drugim końcu stajni. Zbliżają się kroki. Mężczyźni. Znowu.

Słyszysz, jak podchodzą i coś ciągną. Między deskami jest szczelina, przedostaje się przez nią zapach koni.

Dwaj mężczyźni niosą kobietę ze zwieszoną głową. Ma tatuaż na ramieniu i szłocha, zmierzwiłone brązowe włosy zakrywają jej twarz. Czy to ją wcześniej słyszał? Kładą ją, słysząc podzwanianie łańcuchów, zapinają jej obręcz wokół bioder.

Pracują w milczeniu, a kobieta jęczy. Jeden z nich wychodzi i Martin dobrze wie, co będzie dalej. Czasami robili to samo jemu i od samego wspomnienia zaczyna drżeć.

Do drugiego boksu zostaje wciągnięty wąż. Tryska z niego woda. Kobieta piszczy. Natychmiast wraca jej przytomność, podnosi rękę w kierunku potężnego strumienia, jakby to mogło pomóc.

Jeden z mężczyzn śmieje się chrapliwie. Martin chciałby jej pomóc, ale wie, że nic z tego nie będzie.

Woda przestaje się lać i mężczyźni wychodzą. Zamykają boks na klucz, po czym jeden z nich zagląda do niego. Przekrzywia głowę, to ten sam, który ostatnio podłączył mu kropłówkę.

Martin patrzy na pusty worek i znowu na mężczyznę, ale jego już nie ma. Drzwi się zamykają, a w sąsiednim boksie słyszy tylko kapanie wody i wiatr.

– Kurwa mać – słyszy nagle i widzi w szczelinie parę brązowych oczu. – Kurwa, ja pierdołę. Jesteś...

Kobieta ciężko oddycha. Szarpie łańcuchem, ale Martin już dawno tego próbował. Kiedy jeszcze miał ramiona i ręce i mógł cokolwiek szarpać.

Zna panikę, która ogarnia kobietę na jego widok. Zdaje sobie sprawę, że ją czeka to samo.

Po chwili stęka i się poddaje. Dokładnie tak jak on kiedyś. I tak jak facet, któremu udało się uciec. Jedyna różnica jest taka, że Martin się poddał, a zbieg nie.

Wróbel wrócił i znów się w niego wpatruje. Martin przełyka ślinę, próbuje coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Jest na to zbyt zmęczony, zbyt sponiewierany.

W szczelinie znów pojawiają się oczy.

– Pssst – mówi kobieta, a Martin mruga oczami. Ciężko. Znów zapadając w sen i koszmary. – Ty, co to za jebane świry? – pyta, dzwoniąc łańcuchem.

Martin nie ma siły jej odpowiadać. Jego pozbawione kończyn ciało jest na to zdecydowanie za słabe.

– Mnie zrobią to samo, co? – dopytuje się kobieta, a Martinowi udaje się słabo kiwnąć głową. – Kurwa mać! – Znów zaczyna się męczyć z łańcuchami.

Słońce i Baltazar leżą nadzy na łóżku na kocach, w pokoju z otwartym kominkiem jest ciepło i przytulnie.

Baltazar mocno ją przytula, a ona czuje, że jest to najlepsze miejsce na całym świecie. Z głową przy jego barku może wcisnąć nos w jego szyję i wdychać jego cudowny zapach.

Krzyże i symbole na ścianie, chrześcijaństwo pomieszane z prastarymi symbolami, wypchany rosomak, który jest ich zwierzęciem opiekuńczym. Miłość do natury i nieba.

Słońce jest szczęśliwa, najszczęśliwsza od długiego czasu, kocha Baltazara bardziej niż samą siebie.

– Ależ nam dobrze – szepcze mu do ucha, on przyciąga ją do siebie tak, jak ona uwielbia.

– Najlepiej, moja śliczna. Jesteś dla mnie wszystkim, a pewnego dnia, kiedy pójdziemy do raju, będziemy razem sobie latać nad tym miejscem i wspominać.

– Mhm – potwierdza Słońce, przebiegając palcami między jego siwymi włosami na piersi. Jego brzuch napina się, a ona przesuwając rękę w dół do jego fiuta.

– Jeszcze nie. – Uśmiecha się Baltazar. Całuje ją w głowę, z kominka dobiega trzask, kiedy jedno z polan się przewraca.

Od razu pojawia się służka Anna i dokłada nowy kawałek brzoźowego drewna. Uśmiecha się do Słońca i Baltazara, którzy też odpowiadają jej uśmiechem. Baltazar składa dłonie, dziękując jej w milczeniu.

Słońce przeciąga się i patrzy na sufit. Na słabą lampę, która zaczyna mrugać.

– Trzeba dolać ropy do agregatu – stwierdza.

– Załatwię to – mówi Anna i od razu wychodzi z pokoju.

– Niedługo musimy znowu wszystkich zebrać. Kończą się pieniądze.

Baltazar przyciąga do siebie Słońce. Kobieta patrzy na jego silne ręce i mięśnie grające pod skórą.

– Powinniśmy znaleźć więcej członków i źródeł dochodu. Nadchodzi inflacja.

Słońce uśmiecha się do niego. Czasami jest wierny sprawie, ale innym razem jest po prostu Baltazarem. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze.

Zarabiają już więcej, niż potrzebują. Wszyscy członkowie przekazują im całe swoje zasiłki chorobowe i inne. Handlują warzywami, sztytami przez nich samych ubraniami, dziełami sztuki i cudowną wodą. Z zagrożonego wyginięciem grzyba, sopłówki jeżowatej, robią proszek, który drogo sprzedają, innym cennym grzybem jest gaska sosnowa, wysyłana przez nich do Japonii, a kurki cieszą się powodzeniem w December. Sami uprawiają pieczarki i zbierają borówki, sosnowe drewno i wszystko inne, co oferują im las i Bóg.

Baltazar jest milionerem, a Lud Świątyni Słońca bogatszy od większości innych Kościołów. A jednak chce mieć jeszcze więcej. Słońce natomiast chce tylko dziecka.

Baltazar całuje ją w czoło tak, jak tylko on potrafi. Z tym ogniem, który w nim płonie i który ona uwielbia. Bogowie dali jej go, za co jest im wdzięczna w każdej minucie życia.

Lampa przestaje mrugać, a wibracje z agregatu przybierają na sile.

– Wszyscy za dwa dni dostaną swoje chorobowe. Do tego niektórzy otrzymają emeryturę. Wszystko będzie dobrze, misiu – mówi, a Baltazar się śmieje.

– To już koniec miesiąca? – dziwi się. – A więc czas na wielką mszę. Jak ten czas leci.

– Owszem, zdecydowanie za szybko – zgadza się Słońce, głaszcząc się po brzuchu, który błaga o życie i cud.

– Musisz też porozmawiać z Claire, chcę obniżyć jej miesięczną działość. Prawdę mówiąc, to ona powinna płacić nam. Nie odwrotnie.

– Bo co ona kiedykolwiek dla nas zrobiła? – wtóruje mu Słońce, żeby nie pogorszył mu się humor.

– Dokładnie. Bez nas całe December by upadło.

Słońce przeciąga paznokciami po jego karku, a on prawie zaczyna mrużyć. Przybycie do December było jego pomysłem. Przynajmniej ona pozwala mu tak myśleć. Baltazar wybrał to miejsce, bo ma strategiczne położenie. Chyba przede wszystkim ze względu na gąskę sosnową, która rośnie tylko tutaj i w okręgu Västerbotten. To była chyba dobra decyzja. Słońce nie ma żadnych powiązań z tym miejscem. Przynajmniej nie pod swoim nowym imieniem. A okolica traktuje ich dobrze. Baltazar ma jednak rację, mówiąc, że za dużo płacą Claire i Monie za to, że zostawiają ich w spokoju. Pieniądze świątyni są potrzebne December do przeżycia. Prowadzenie takiej wspólnoty jak ich sporo kosztuje. Siedemdziesięciu członków potrzebuje niestety więcej niż to, co daje im las, zwłaszcza zimą.

Słońce przysuwa czoło do jego czoła. Odwraca się i siada na nim okra-kiem, kiedy znów pojawia się służka. Bycie ich służącą to ostatni etap przed osiągnięciem kolejnego poziomu, a Słońce ją kocha, chyba nawet bardziej niż pozostałych członków ich Kościoła.

Anna patrzy na nich z zaciekawieniem, w jej oczach widać jednocześnie odwagę i nieśmiałość. Słońce ociera się o fiuta Baltazara, on jednak podnosi palec.

– Jeszcze nie, kochanie.

Słońce śmieje się i kładzie ręce na jego piersi. Przestaje się ocierać, ale czuje, że jest twardy. Baltazar patrzy na Annę, która na sekundę odwraca wzrok.

Służkom nie wolno uczestniczyć. Muszą okazywać wstrzemięźliwość i udowodnić bogom, że potrafią się powstrzymywać.

Słońce czuje drobne ukłucie zazdrości, ale ta szybko znika. Wszystkie chcą mieć Baltazara, a ona, oczywiście... chętnie się nim dzieli. On zaś równie chętnie dzieli się nią.

„Ale mimo wszystko”.

Na początku byli tylko oni, a teraz, choć on należy do niej, to jednocześnie nie należy. Należy do społeczności, a społeczność do niego. Tak jak

i ona.

Patrzy na nią swoimi seksownymi oczami, spoglądając jednak czasami na Annę.

– Chcesz go? – pyta Słońce, a Anna kręci głową.

– Wiesz, że mi nie wolno – odpowiada.

Słońce się uśmiecha.

– Dobrze. Jeszcze dwa dni, Anno.

Kobieta kiwa głową, kiedy ktoś cicho puka do drzwi. Idzie otworzyć.

Wchodzi czternastoletnia dziewczynka w czerwonej szacie razem z ojcem, który z dumą kiwa głową Słońcu i Baltazarowi.

– Jesteś Gemini, prawda? – pyta Słońce, schodząc z Baltazara.

Dziewczynka potwierdza skinieniem i patrzy na ich nagie ciała. Spogląda z niepokojem na ojca, który popycha ją do przodu.

Baltazar wstaje, wciąż ze wzwodem. Zdejmuje z niej szatę, w czym pomaga mu jej ojciec.

– To wielki honor być przyjętą przez boskiego proroka – mówi ojciec, pomagając jej wejść na łóżko.

Dziewczyna kładzie się sztywno na wznak obok Słońca. Ta głaszcze ją po włosach i bierze za rękę.

– W ogrodzie Eden – szepcze – żyli Adam i Ewa. Mieli wielu synów i wiele córek. I to od nich wszyscy pochodzimy.

„Doskonały lud” – myśli. Tak właśnie było w Edenie. Czyste linie dziedziczenia. Niezaburzone. Nowoczesne społeczeństwo się myli, twierdząc, że relacje seksualne w rodzinie to coś złego. Przecież cała ludzkość pochodzi od jednej matki i jednego ojca oraz ich dzieci.

Baltazar kładzie się obok Gemini, a Słońce zauważa, że ojciec dziewczynki też ma wzwód. Pierwsi w kolejce są Baltazar i Słońce, a ojciec potem.

John kaszle, kiedy do jego płuc dostaje się dym z przedpotopowego żeliwnego piecyka. Zamyka drzwiczki. Domek jest porządnie zbudowany i dobrze izolowany, ale małe grzejniki w środku paździenika nie wystarczają. Jeśli ma nie zamarznąć, musi też palić.

„Jak pieprzony pustelnik” – myśli i wstaje z podłogi. Kolana wydają trzask jak strzały z pistoletu. Był to kolejny strasznie długi dzień, w dodatku musiał wrócić na strzelnicę, bo kazali mu dokończyć ten cholerny test. Ale przynajmniej zaliczył i uniknął wstydu przed nadzorującym go facetem. Chyba przewodniczącym klubu strzeleckiego w December. Ma więc już broń i nie jest tylko w połowie policjantem. Jeśli nie liczyć tej piekielnej mgły mózgowej, oczywiście. Pytanie, czy wart jest chociaż jedną trzecią tego, co na przykład Valle. Uśmiecha się na myśl o koledze. Lubi Vallego, który jest bystry, wykształcony, a poza tym ma świetne poczucie humoru. To wprost nieprawdopodobne, że nie może w tym mieście znaleźć żadnego partnera.

Na dworze już dawno zapadł zmrok. John nie może pojąć, jak ci ludzie to wytrzymują. Przez cały dzień prawie nie pojawia się światło dzienne.

– To się wyrównuje – powiedziała Mona, kiedy narzekał na ciemności przed opuszczeniem posterunku. – Latem słońce prawie nigdy nie zachodzi.

W uszach Johna brzmi to równie kusząco.

Patrzy na dwór, na ogród, który połyskuje w świetle latarni oświetlającej żółtymi pasmami odcinek od wjazdu aż do domu. Ogród, którego zupełnie nie umie pielęgnować. Patrzy na sterty gnijących liści pokrywające zbocze nachylające się w stronę jeziora. Wzdryga się, wspominając znalezione tam trupy.

Patrzy na zabranego z domu misia, zanim pojechał do December. Misa Mattiasa. Siedzi na laptopie Sary. Sztokholmska policja starała się do

niego włamać, ale bez powodzenia. On sam próbował co najmniej tysiąc razy, testował każde hasło, jakiego jego zdaniem mogła użyć Sara, ale jemu też się nie udało.

„Czy kiedykolwiek mi się powiedzie?”

Zaczął mieć wątpliwości. Przede wszystkim w stosunku do żony. Ziarno niepewności wykiełkowało. Im bardziej rośnie, tym większą tajemnicą staje się Sara. John zdaje sobie sprawę, że być może nigdy tak naprawdę jej nie znał. Przez te wszystkie lata wiedział, że nosi w sobie traumę z dzieciństwa, ale nie chciała o tym mówić, a John nie zamierzał drażnić. Teraz żałuje.

Co za ironia.

On, policjant, nigdy jej nie sprawdził. Człowiek, który przez niemal całe życie przesłuchiwał przestępców, poddawał się od razu, kiedy Sarze robiło się przykro, milkła lub zmieniała temat.

John czuje się jak głupiec. Podnosi misia. Wciąża w płuca jeszcze wyczuwalny zapach Mattiasa. Przypomina sobie wszystkie te wieczory, kiedy czytał mu bajki, grał w uno i szachy, kiedy John specjalnie przegrywał, tylko po to, żeby patrzeć, jak Mattias się uśmiecha i zaciska pięści w powietrzu. Żeby Sara mogła się z niego śmiać i podziwiać syna.

Żył dla tych drobnych chwil. Tylko one odciągały jego myśli od pracy.

„Nasza mała banda” – myśli. To słowa Sary, nie jego. Ma już dość. Sada misia z powrotem na laptopie i zmusza się, żeby myśleć o czymś innym.

Przypomina sobie, że musi zadzwonić do NOA i spytać, jak im idzie ze strzelaniną. Siedem osób, zabitych jak psy. Czyste szaleństwo. A NOA po prostu wskoczyło i wszystko przejęło. W pewnym sensie John jest za to wdzięczny – zdecydowanie nie ma tu za mało do roboty – ale jednocześnie go to denerwuje. Plus to, że to właśnie NOA. Jego dawni koledzy. To bardzo utrudnia mu dzwonienie i zadawanie pytań.

Już sobie wyobrażał, jak będą się z niego nabijać. Z Johna, który nie poradził sobie z robotą prawdziwego sztokholmskiego policjanta, tylko zwiął i zaszył się w jakiejś dziurze w górach.

Potrząsa głową. Nic z tego. Dzwonić do nich powinien zdecydowanie ktoś inny. Na przykład Axel. Tak. Niech tak będzie. John dopilnuje, żeby Axel został osobą wyznaczoną do kontaktów we wszystkich sprawach związanych z wojną gangów.

A jednocześnie... przypomina sobie, jak zrozpaczona i przestraszona była ta dziewczyna, Faduma. To ze względu na nią postanowił zachować tę sprawę. Chyba. Wzdycha. A może i nie.

„Nie możesz uratować wszystkich, John”. Sara tak powtarzała, kiedy kolejny raz przeproszał ją za to, że musi dłużej zostać w pracy. Znowu. Bo zbliżał się do rozwiązania sprawy, wsadzenia jakiejś świni za kratki, znalezienia decydującego tropu lub prowadził ważne przesłuchanie.

Siada ciężko na sofie i wpatruje się w wyłączony telewizor. Widzi wśród czerni swoje niewyraźne odbicie. Musi trochę wyluzować. Bo co mu dała ta rola superpolicjanta? Gliny wychodzącego zawsze jako ostatni z pracy. Zmarnował tylko przez to czas, który mógł spędzić z Sarą i Matiasem.

„Gdybym wiedział, że ich stracę, odszedłbym z roboty. Nic nie liczyło się bardziej od spędzania z nimi czasu”.

John wie jednak, że to nie do końca prawda. Dobrze się spisywał jako policjant. Lepiej wtedy niż teraz. To on przynosi stroskanym rodzicom odpowiedzi. Pilnuje, żeby źli ludzie zostali ukarani. To chyba jego największy dar dla ludzkości. Zaniechanie tego w zamian za możliwość spędzania czasu z rodziną byłoby chyba nieco... samolubne.

Na stoliku leżą karty tarota koszulkami do góry. Jak milczące oskarżenie. Nie dotykał ich od tygodnia. Ma ochotę po nie sięgnąć, ale nagle podskakuje, gdy w tylnej kieszeni dzwoni mu telefon. Widząc, że nie zna numeru, rozważa przez chwilę, czy odrzucić połączenie. Nie może tego jednak zrobić. A nuż to ktoś z decydującymi informacjami.

– Wagner – mówi z niechęcią i stara się rozluźnić barki.

– Dzień dobry – odzywa się miękki głos po drugiej stronie i John od razu wie, kto to jest.

Dziadek, który przyszedł na posterunek ze spalonym koszem na śmieci.

„Kurwa mać, jeszcze to” – myśli, powstrzymując jęk.

– Pan Sylvester... – mówi. – Niestety skończyłem już dziś pracę.

– Ach tak. A zdążył pan przed wyjściem wsadzić Feliksa Leijona do ciupy?

John się śmieje.

– Nie, jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– Ale... – Rozmówca wydaje się wstrząśnięty. – To co wy tam całymi dniami robicie?

„Gdybyś tylko wiedział” – myśli John, a przed oczami przelatują mu obrazy pozbawionych rąk trupów, facetów na dnie studni, mongolskich łuków i kobiet z rozkwaszonymi twarzami albo setkami ran klutych w swoich delikatny ciałach. Udaje mu się odpowiedzieć w miarę normalnym tonem:

– To kwestia priorytetów. Obiecuję, że pogadam z tym księgarzem jutro rano, okej?

Bibliotekarz zastanawia się przez chwilę.

– To zadzwonię jutro, żeby się dowiedzieć o dalsze losy sprawy. Dzięki i do zobaczenia.

– No dobrze. Dzięki i do... – Sylvester się rozłącza.

John kręci głową. Pożar kosza na śmieci. A ten koleś uważa, że to prawdziwa apokalipsa. Nie wytrzymałby nawet dnia na miejscu Johna, nie ma co do tego wątpliwości. Wtedy jednak przypomina sobie, jak Kim opowiadała mu o częstych pożarach, które gnębiły December w przeszłości, i się uspokaja. Miejscowi są przewrażliwieni na punkcie ognia. Nie ma co się nad tym zastanawiać, trzeba zaakceptować. Jeśli będzie w stanie pozytywnie nastawić się do December i jego mieszkańców, to może oni to odwzajemnią?

Zapisuje sobie w pamięci, żeby rzeczywiście zadzwonić do księgarza Feliksa już wczesnym rankiem. Prawdopodobnie od razu odrzuci wszelkie zarzuty. Dobrze będzie nie mieć wtedy obok siebie Sylvestra. Wydaje się człowiekiem wykształconym i grzecznym, ale bardzo nadgorliwym. To może łatwo prowadzić do fałszywych oskarżeń.

John ma właśnie odłożyć telefon na stolik, kiedy przypomina sobie, że Kim wcześniej wspominała o wyjściu do miasta. John czuje jakieś dziwne drżenie w przeponie, a mimo potwornego zmęczenia coś w nim bardzo, bardzo chce się z nią spotkać. To przesądza sprawę. Pisz krótką wiadomość.

„Sorry, właśnie wróciłem do domu i mam potworną migrenę. Muszę się położyć. Mam nadzieję, że możemy przełożyć ten obiad?”

Przełyka nerwowo ślinę, zauważając, że wiadomość została od razu przeczytana. Potem pojawiają się trzy falujące kropki. Falują. I falują. Po czym się zatrzymują.

John wstrzymuje oddech.

Dlaczego nie pojawia się wiadomość? Może Kim się zastanawia, czy wysłać to, co napisała? A może kasuje to i pisze coś innego? Kropki się nie poruszają. W końcu znikają.

„Co, do chuja? Nie odpisze?”

W duszy Johna właśnie pojawia się poczucie głębokiego rozczarowania, kiedy serce zaczyna bić mocniej, bo znów pojawiają się kropki. I odpowiedź:

„Jasne. Innym razem. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej”.

„Jasne”? Tak jak w: „Jasne, że odwołujesz, cholerny gnojku”, czy w: „Jasne, że możemy to przełożyć”? Czyta wiadomość jeszcze raz, i jeszcze raz. Przecież pisze, że pójdą innym razem. A jednak nie dołączyła ani uśmiechniętej buźki, ani serduszka jak ostatnio. Co to może znaczyć? I czy w ogóle coś znaczy. Czy Kim nie jest trochę młodsza od niego? Może dla niej jest oczywiste, jaki ton ma ta wiadomość? Niech to szlag. John czasami czuje się tak strasznie zacofany.

– Daj spokój – mówi do siebie. – Nie jest aż tyle młodsza od ciebie.

Kiedy zauważyła, że wciąż od nowa odczytuje wiadomość, a migrena zaczyna panoszyć się po jego czaszce, jakby Bóg chciał go ukarać za kłamstwo, podłącza telefon do ładowarki i idzie się położyć.

Kolejne ukłucie w karku i malutka myśl o Sarze nabiera sił. Strach o Sarę i Mattiasa miesza się z zainteresowaniem Kim.

„Ogarnij się, John”.

Jutro. Jutro wszystko pozalätwia.

Słońce stoi przed Baltazarem, który wygłasza mowę przy ołtarzu. O Bogu, miłości i tym, że kiedy nastąpi koniec świata, do raju pójdzie tylko sto czterdzieści cztery tysiące ludzi. Jego głos nabiera podniosłości i siły, kiedy odbija się od ścian kościoła i wysokiego sufitu.

Ona ma uśmiech na twarzy, ale w duchu już nie. Baltazar wierzy żarliwie, ale ona ostatnio zaczęła wątpić. W jej brzuchu pojawia się czasem coś nieprzyjemnego i niezadowolonego, ale zazwyczaj odpycha to od siebie.

Ich nauka się zmieniła. We wszystkim – od komunii po seks i obraz Boga. Zaczynało się dobrze, z przyrodą jako spiżarnią, wolnością decydowania o własnym losie, porzuceniem wszelkich przymusów i pozwoleniem, by Słońce i Baltazar wszystkim się zajęli. Od płacenia dziesięciny do oddawania im wszystkich pieniędzy.

Widziała w ich oczach wyzwolenie, kiedy zrzucali z barków wszelkie jarzma, widziała, o ile są szczęśliwsi. Ona jednak nie czuje się szczęśliwa. Dla niej najważniejsze zawsze były natura, a także oczywiście dziecko, ale Baltazar się zmienił.

Czasami jada kupić coś luksusowego, żeby Baltazar naładował akumulatory, a ona tego nie komentuje. On na to zasługuje. Przewodzenie Kościołowi to spore obciążenie, a ona go za to podziwia, chociaż tak naprawdę to ona najwięcej robi dla Ludu Świątyni Słońca, a także dla niego. Nadchodzi czas, by dostała wypłatę.

Wodzi wzrokiem po społeczności zebranej w odnowionym przez nich starym drewnianym kościele. Siedemdziesięciu dwóch członków bujających się na boki z uniesionymi rękami w rytm głosu Baltazara. Przepiękne okna, umieszczone z tyłu filary, drewniane ławki i granitowa podłoga. Czaszki wszystkich leśnych zwierząt, które są kanałami prowadzącymi od Boga. A najważniejszy z nich to rosomak, zajmujący centralne miejsce na ścianie. Członkostwo w ich społeczności to bliskość Matki

Ziemi i Boga. Właśnie to odróżnia Słońce od Baltazara. On coraz bardziej skłania się ku Mamonie, podczas gdy Słońce chce zagłębić się w Matce Ziemi i komunii.

Słońce wie, że to najkrótsza droga do Boga i raj. Bóg przemówił do niej rok temu, a kiedy opowiedziała o tym Baltazarowi i reszcie podczas mszy, było to oczywiste. Wszyscy przyznali jej rację.

Wciąga do płuc zapach kościoła. Rośliny rozwieszane do wyschnięcia tworzą cudowną mieszankę aromatów, która głaszcze jej duszę.

Słońce uwielbia tu być.

Patrzy na Baltazara, a jej serce przepelnia miłość do mężczyzny jej życia. Uśmiecha się do niej, ona odpowiada tym samym. Znów odwraca się do zebranych ludzi i wprost nie może pojąć, jak cudowne ma życie.

Brakuje jej tylko dziecka, ale Baltazar mówi, że przecież już mają dzieci. Siedemdziesięcioro dwoje. Ona jednak nie uważa, by liczyli się oni tak, jak liczyłoby się jej własne potomstwo, to właśnie ta myśl sprawia, że coś niemiłego dzieje się w jej brzuchu.

„A jednocześnie...”

Ich dziecko powinno urodzić się właśnie w tym miejscu. Od razu stałoby się tym, które zostałyby namaszczone na nowego proroka.

„Czy jako matka powinnam tego chcieć?”

Myśl ta pojawia się tylko na krótką chwilę, ale i tak wywołuje w niej poczucie winy. Patrzy na żelazną głowę wiszącą nad drzwiami. Na Jezusa na krzyżu. Na wszystkich zwolenników, którzy ich czczą. Ją. Jego. Którzy czciliby też ich wspólne potomstwo.

„Dlaczego miałabym tego nie chcieć? Wybaczcie”.

Dostaje od służki Anny miskę i butelki. Stawia je na stole przed sobą, ludzie podchodzą po kolei. Dostają mięso i krew. Aby być bliżej Boga, czy jest nim Baltazar, czy Matka Ziemia. Aby być dobrymi wiernymi. Aby zapewnić sobie w raj. stosowną pozycję i wielu niewolników.

Znów coś dzieje się w jej brzuchu.

„Baltazar”.

Czy to on się myli? Podkreślił nastrój panujący w sali. Niektórzy mówią językami, inni zwijają się w skurczach na podłodze. Pozbywają się swoich demonów i żądz, a żółtawe światło setek świec oświetla ich wykręcające się ciała.

Jakaś kobieta uśmiecha się i otwiera usta, a Słońce podaje jej mięso, które zostaje przeżute i popite krwią z plastikowego kubka. Niektóre ze współczesnych Kościołów wciąż praktykują komunię, ale w wypłowiałej i rozwodnionej wersji.

„Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy, to jest bowiem ciało moje” – mówią kapłani i dają uczestnikom... opłatek.

„Bierzcie i pijcie z tego wszyscy, to jest bowiem krew moja” – mówią dalej i dają wino. Jakby bali się prawdziwej komunii. A potem się dziwią, że dusze ludzkie błędzą. Słońce prycha w duchu.

Podchodzi kolejna osoba i następne, aż wszyscy dostają swoje porcje. Na samym końcu docierają Otto i Mia. I tak powinno być. Pochylają karki i przyjmują komunię, wdzięczni już za to, że pozwolono im pozostać wśród sprawiedliwych.

Miska jest prawie pusta i Baltazar podaje mięso i krew Słońcu i Annie.

Gwar po zakończeniu nabożeństwa sprawia, że Słońce przechodzi dreszcz, jednak kiedy wszyscy wychodzą i w kościele zostaje tylko ona i Baltazar, spływa na nią spokój. Ogarnia całe jej ciało i Słońce patrzy w górę na piękny sufit z wykonanymi jej ręką zdobieniami. To jej najlepsze dzieło. Zajęło rok. Słońce przygląda się szczególnie tej części, którą pomalował Frank. Syn Otta i Mii, który żył tu przez czternaście lat, ale potem postanowił odejść. On jeden się na to zdecydował. Rodzice pozostali. Mimo że wybranie bogów i wiecznego zbawienia, a nie syna odszczerpienia, musiało boleć. Zastępują przez to na szacunek.

„Czy byłabym równie silna, gdybym stanęła przed podobnym wyborem?”

Na tę myśl Słońce ze smutkiem głaszcze się po brzuchu. Brzuchu, który pozostanie niezapłodniony, jeśli Baltazar będzie mógł o tym decydować.

Baltazar uważa Franka za ryzyko. Człowieka mogącego im zaszkodzić. Kiedy się dowiedzieli, że został policjantem, Baltazar wpadł w szal. Ona jednak wie lepiej. Frank chce tylko mieć własne życie. Gdyby było inaczej, już by narobił tu potężnego bałaganu. Tuż po jego odejściu wszyscy się bali. Ona też. Ale minął rok i stało się jasne, że Frank nie pragnie zemsty i nie chce ich powsadzać do więzienia. Może nie jest w stanie tego zrobić, bo oznaczałoby to dla niego konieczność składania zeznań o tym, w czym brał tu udział. Może ta myśl jest straszniejsza niż to, co tu się działo.

Słońce wie, że Frank to wrażliwy człowiek. Był taki już jako chłopiec, za co Baltazar nim gardził. Wyśmiewał nawet to, że podczas niektórych ceremonii Frankowi nie stawał. Słońce wie też, że Baltazar wciąż każe go obserwować.

– O czym myślisz? – pyta jej wielka miłość, obejmując ją od tyłu. Wciąż pachnie tą Gemini, co sprawia jej przykrość. Mógłby przynajmniej zmyć z siebie jej zapach.

Słońce ma nadzieję, że dziewczyna nie zajdzie w ciążę. W niej Baltazar nie dochodzi już tak często jak kiedyś, ale chętnie robi to w innych kobietach i dziewczynach. Czy chce ją w ten sposób ukarać?

– O dziecku – odpowiada szczerze, odrywając wzrok od ozdób na suficie.

Baltazar wzdycha głośno i puszcza ją.

– Może ktoś do nas dołączy – mówi tylko.

– Fajnie, a kto taki?

– Ma na imię Ester, jest z Namibii.

Słońce wzdycha cicho. Od ich południowoafrykańskich czasów Baltazar ma słabość do czarnych kobiet. Ona znów czuje ukłucie w sercu i ma nadzieję, że Ester jest paskudna jak siedem grzechów.

– Fantastycznie – kłamie, przeklinając samą siebie. Nie rozumie, co się z nią dzieje.

Nigdy przecież nie była szczęśliwsza, nie licząc poczucia, że jej biologiczny zegar nieubłaganie tyka.

„Dlaczego teraz?” – myśli i odwraca się w stronę Baltazara.

– Tęsknię za czasami, kiedy byliśmy misjonarzami.

Baltazar się uśmiecha.

– A ja nie. Mamy tu wszystko, czego potrzebujemy, nie musimy się męczyć z muchami, malarią i wszystkimi tymi świrami. Tutaj my mamy kontrolę. Ludzie przychodzą do nas, a nie odwrotnie. Mamy tu wszystko.

„Wszystko poza własnym synem lub córką” – myśli i całuje ukochanego.

Podobnie jednak jak on dochodzi podczas ceremonii w młodych dziewczynach, chłopcy dochodzą w niej. Może ich silne, żywotne nasienie jest lepsze? W końcu Baltazar jest już po pięćdziesiątce. Jego plemniki mogą być za słabe, by zapłodnić kobietę. Tymczasem w nasieniu młodych chłopców pełno pływaków olimpijskiej klasy. Słońce podejmuje decyzję. Tak. Tak będzie. Chociaż Baltazar oczywiście nie może o tym wiedzieć. Jeśli zajdzie w ciążę, musi go przekonać, że to jego dziecko. Skłonić, żeby się nim zajął. Namaścił na swojego następcę. Przynajmniej jeśli Słońce będzie tego chciała.

– Co cię tak bawi? – pyta Baltazar, gładząc ją po policzku i przyglądając się jej uśmiechowi.

– Nic – odpowiada. – Po prostu jestem tu z tobą taka szczęśliwa.

„Boże, co za chaos”.

Major idzie przez wielką przemysłową halę, przyglądając się wszystkiemu, co nazbierali jej ludzie. Są tu części samochodowe, wyposażenie, aluminium i miedź. Wszystko to trzeba wysłać na sprzedaż do Sztokholmu. Na zewnątrz nad budynkiem znęca się październikowy wiatr, wyjąc i świszcząc w dziurach, które trzeba zatkać przed zimą.

Potrzebują szpitala dla najbardziej chorych i ciężarnych kobiet. Obok niej idzie jedna z bezdomnych pielęgniarek. To Shim, która trzydzieści lat wcześniej przyjechała do Szwecji z Iranu, ale tak jak wiele innych znalazła się na bruku, kiedy dopadł ją nałóg. Kiedy Major ją znalazła, była naszprycowana morfiną, wcześniej straciła pracę i rodzinę. Nie miała po co żyć, zanim Major zabrała ją ze sobą i pokazała jej znów sens istnienia.

– Potrzebujemy antybiotyków – mówi Shim, dając Major listę zakupów, którą ta czyta po drodze przez fabrykę.

– Nie ma problemu. Załatwię to.

– Jesteś najlepsza, mamciu. – Shim się do niej przytula, po czym wchodzi do miejsca, które nazywają przychodnią. Prawdę mówiąc, jest to ruderka. Z wyposażeniem jak z osiemnastego wieku. Powinno to wyglądać zupełnie inaczej.

Każdego dnia pojawiają się nowe problemy, które Major musi rozwiązywać. Czasami się zastanawia, czy w ogóle warto, aż ktoś taki jak Shim ją przytuli i nazwie „mamcią”.

Macha do niej Mulle, szczęśliwy jak idiota, nie wie jednak, że ona ma wobec niego plan. Jest dla nich zagrożeniem. Facet, który zawsze potrafi coś spieprzyć. Major czeka tylko na odpowiednią okazję. Nie ufa ćpunom.

Dzwoni telefon, który podaje jej ochroniarz Erik.

– To on – mówi, wznosząc oczy do nieba. Pewnie dlatego, że jego zdaniem Major tego oczekuje.

– Chciałaś porozmawiać – mówi jej syn, a ona bierze głęboki oddech.

– To ty chcesz czegoś ode mnie, nawet tego nie próbuj.

Major odchodzi trochę na bok i siada na starym bloku silnika. Nie chce, żeby Erik ją słyszał. Już i tak w Lyckan jest za dużo plotek.

– Tak, tak. Potrzebuję antybiotyków, silnych środków przeciwbólowych i jeszcze paru innych rzeczy. Mogę wysłać listę przez Telegram. Chyba masz jeszcze swojego człowieka w szpitalu?

Major śledzi wzrokiem brązowego szczura biegnącego wzdłuż jednej z obdrapanych ścian.

– Może i mam.

Wskazuje gryzonia, Erik kiwa głową i rusza za nim w pościg.

– Nie bądź taka skwaszona. Zawarliśmy układ.

– Nie, to ty zawarłaś układ, ja nie chciałam się na niego zgodzić.

– Jeden pies – odpowiada mężczyzna, śmiejąc się chrapliwie. – Do płacę. Dam dwie sarny i łosia.

Major widzi na swojej liście zakupów, że mięso jest jedną z tych rzeczy, których pilnie potrzebują. Wzdycha. Wciąż ma swojego człowieka w szpitalu. Zasada jest taka, że wszystkie otwarte opakowania, które pozostają po kimś, kto na przykład umrze, należy spalić, ale jej człowiek wszystko to jej sprzedaje.

Major wszędzie ma takie kontakty. Ludzi potrafiących załatwić coś, czego potrzebuje ona lub jej podopieczni. Często są to bezdomni, ale też osoby mające wobec niej jakiś dług.

Przeciąga ręką po głowie i długim siwym warkocz. Chętnie by się ogoliła na łyso, ale ma za dużo blizn wywołujących zbyt wiele bolesnych wspomnień, kiedy widzi je w lustrze. Poza tym wszyscy zaczęliby na nią inaczej patrzeć.

– Przyślij listę, ale musisz wiedzieć, że ceny poszły w górę. Mamy inflację.

On znów się śmieje.

– Zawsze cwaniara, no nie?

– Próbuję tylko przetrwać.

– Jeszcze jedna sprawa. W górach zginęli jacyś ludzie. Słyszałaś coś o tym?

Owszem, słyszała, ale nie zamierza o tym mówić.

– Nie, co znowu zbroiłes?

To pewnie on załatwił jakichś nieszczęśników i chce wiedzieć, jakie krążą plotki. Czy musi się niepokoić, czy nie.

– Nic, ale chcę wiedzieć, co tu się uprawia.

– Mam to w dupie, mnie interesuje tylko to, co dzieje się tutaj.

Rozmówca prycha tak pogardliwie, jak tylko potrafi.

– Jak zwykle. Martwisz się tylko o siebie. Zadzwoń, jak będziesz miała fanty, to porozmawiamy o cenie.

Major zamierza odpowiedzieć, ale zauważa, że on już się rozłączył. Podaje telefon Erikowi, który trzyma martwego szczura za ogon, jakby czekał na pochwałę.

– Dzielny chłopczyk – mówi Major, a on się rozpromienia.

– Czego chciał? – pyta.

Major stara się ze wszystkich sił odepchnąć od siebie to, co powiedział jej syn – że myśli tylko o sobie. Przecież tak nie jest. Ale to typowe, że on tak uważa. Major bierze się w garść.

– To samo gówno co zawsze. Jak się sprawuje Mulle?

– Wzorowo... Na razie.

Erik uśmiecha się i przeciąga swoją małą dłońią po twarzy.

– Słuchaj, słyszałem o ładunku alkoholu, który będzie jutro przejeżdżał dwadzieścia kilometrów stąd. Możemy go skubnąć?

– Jasne, jeśli zrobisz to dyskretnie. To z monopolowego?

– Tak jest, według informacji piwo i wino. Może być tego mnóstwo.

Major kiwa głową.

– Weź ze sobą kilku nowych, żebyśmy mieli na nich haki.

– Spoko – odpowiada Erik, ale Major już wykonuje w myśli obliczenia.

Ta przesyłka pojawia się w bardzo korzystnej chwili: potrzebują pieniędzy

na przychodnię i nowy plac zabaw dla dzieci bezdomnych.

Rozmyśla o niedawnej rozmowie i zastanawia się, co takiego dzieje się w górach. To, że umierają ludzie, jest niekorzystne. Znaleźli jakiegoś faceta bez ramion, nadzianego strzałami. Major oczywiście o tym wie, ma uszy wszędzie, a jeśli jej syn tego nie pojmuje, to jest głupszy, niż myślała. Ale dlaczego niepokoi to akurat jego? Jeśli może to w jakiś sposób wpłynąć na Lyckan, ona musi zająć się jego cholernym problemem. Jak zwykle. Wie, że pewnego dnia to on stanie się jej największym kłopotem, ale wszystko po kolei.

– Myślę jednak, że powinniśmy poczekać, aż inni będą mogli z nami pojechać – mówi nerwowo Kim, bębniąc paznokciami w deskę rozdzielczą należącego do Johna audi A6. – Mielibyśmy ze sobą więcej mięśni.

John wzrusza ramionami, skręcając na szutrową drogę prowadzącą do gospodarstwa sekty Ludu Świątyni Słońca. Według Kim to bardziej małe miasteczko.

– Axel i Valle zajmują się sprawą Stankoviców. Juliette bada zniknięcie ciała ze szpitala, a jednocześnie prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania Kurta. Jimmy z Bultenem dyżuruje na posterunku. Frank znowu ma dziś wolne. Tak więc... No cóż, pozostaliśmy tylko my dwoje.

– A ja nawet nie jestem policjantką – stwierdza Kim. – A... gdzie jest Mona?

– W drodze do Norwegii ze swoim mężem, on... O kurde! – John uderza dłonią w kierownicę.

– Co takiego? – pyta Kim.

– Miałem rano porozmawiać z tym księgarzem.

– Feliksem?

– Dokładnie. Przed biblioteką spłonął kosz na śmieci i ten mały koleś, który tam pracuje, jest przekonany, że właśnie Felix próbował puścić to miejsce z dymem.

Kim odrzuca głowę do tyłu i śmieje się dzwicznie. Gałęzie zbliżają się coraz bardziej do boków samochodu, w miarę jak droga staje się węższa.

– Absolutnie w to nie wierzę. Felix nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Przecież kocha książki.

Johna uspokaja jej nastrój. Jeśli chciała coś powiedzieć między wierzeniami wczorajszej wiadomości, już by się to stało. Kiwa głową.

– Valle powiedział dokładnie to samo.

– Bo tak jest. Ale to jasne, że Sylvester go podejrzewa. Zanim przybył tu Felix i otworzył księgarnię, biblioteka była jedynym miejscem w całym December, w którym ludzie mogli obcować z literaturą.

– Wygląda mi na zrzedę.

– Felix też taki jest. Ale niegroźny. Wiesz, jak to jest, czasami ludzie są zbyt podobni do siebie, by się ze sobą zgadzać. Bywa. A przy okazji, czy Sylvester opowiadał ci o swojej muszce?

– Nie zdążył.

– Jest z niej strasznie dumny. W dziewięćdziesiątym drugim roku pracował w muzeum w Londynie, gdzie miał prowadzić wykład Salman Rushdie. Ale kiedy do wyjścia na scenę został już tylko kwadrans, Rushdie zauważył, że zgubił gdzieś notatki. Gdzieś je zapodział. Nastąpił totalny chaos. Wszyscy szukali jak szaleni. Rushdie robił się coraz bardziej nerwowy. Mówił, że bez notatek wykładu nie będzie. I to w końcu Sylvester znalazł jego teczkę. Za sedesem w męskiej toalecie. Kiedy oddał ją Salmanowi, ten był mu tak wdzięczny, że wyciągnął zza pazuchy tę musztardową muszkę, powiedział, że przynosi mu szczęście, ale tego dnia jej nie założył, bo przy śniadaniu wylała mu się na nią kawa. Podarował ją więc Sylwestrowi w ramach podziękowania. A ten od tego czasu codziennie ją nosi, dlatego jest taka wymiętolona. Z tego co wiem, nawet nie sprął tej kawy.

– Dżizas. Ciekawe, czy przynosi mu szczęście... Czy to tu?

Wskazuje na wjazd między dwoma wielkimi słupami. Dalej widać wykonane z betonu lub kamienia słonce.

– Tak jest – potwierdza Kim i wzdryga się, kiedy mijają słupy. – Ciekawe, w czym Frank tutaj brał udział.

– Popytamy – mówi John, wyłączając silnik przed białym budynkiem. Rozgląda się dookoła. – Szit, nie żartowałaś. To rzeczywiście małe miasteczko.

Kim kiwa głową.

– Mieszka tu od pięćdziesięciu do stu osób. Nikt nie wie dokładnie.

– Wszyscy są członkami sekty i wierzą w... co dokładnie?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Nic poza tym, co powiedział Frank. Nie mają strony internetowej. Żadnej działalności misyjnej w sieci. Mają tylko żywych misjonarzy, że tak powiem. Tych, o których mówił Frank.

– Ladacznicze Jezusa – krzywi się John.

Ma powiedzieć coś jeszcze, kiedy z drzwi w białym budynku wychodzi ciemnowłosa mężczyzna. Ma na sobie białe lniane spodnie i czerwoną koszulę. Przygląda się podejrzliwie samochodowi i szybko się do nich zbliża.

– To Baltazar. Jeden z przywódców – informuje Kim.

– Wygląda jak matador – mówi John, otwierając drzwi samochodu.

– Jeśli tak, to ty jesteś bykiem – stwierdza Kim i wysiada po swojej stronie.

– Czy mogę w czymś pomóc? – pyta Baltazar i podchodzi do nich, ale nie wyciąga ręki.

Demonstracyjnie taksuje wzrokiem Kim w sposób tak otwarcie poządlivy, że John ma ochotę go spoliczkować. Widzi, że kobieta też czuje się nieswojo, ale bierze się w garść. Prostuje się i unosi podbródek.

– Jesteśmy z policji i chcemy zadać kilka pytań – wyjaśnia, co sprawia, że John śmieje się w duchu.

„Jeśli mamy być precyzyjni, to nie całkiem z policji”.

Niestety precyzyjny okazuje się Baltazar. Od razu sztywnieje.

– Tak? To przypuszczam, że macie nakaz przeszukania?

John robi krok do przodu i śmieje się tym razem głośno.

– Nie trzeba nakazu, żeby zadawać pytania. Na pewno pan o tym wie. Jest wymagany tylko wtedy, kiedy chcemy przeszukać miejsce przy podejrzeniu, że zostało popełnione przestępstwo. O to panu chodzi? Powinniśmy taki zdobyć?

Z innego budynku wychodzi kobieta w czerwonej sukience do kolan i grubej czerwonej koszuli.

– Baltazar? – woła. – Co się dzieje?

Ma długie blond loki. Wygląda na zbyt szczupłą, by była zdrowa. Tak jakby była małą dziewczynką, która włożyła ojcowską koszulę.

– Nic takiego, Słońce. Chcą tylko zadać kilka pytań. Wracaj do przygotowań – odpowiada mężczyzna i macha do niej.

Kobieta kiwa głową, też macha ręką i znika z powrotem w budynku.

Mężczyzna odwraca się do Johna i tym razem wyciąga rękę.

– Proszę o wybaczenie. Nazywam się Baltazar. Przepraszam, że zachowywałem się nieprzyjaźnie, ale jesteśmy przyzwyczajeni, że ludzie tu przyjeżdżają i wydaje im się, że mogą robić, co im się podoba, wysmiewać naszą wiarę, wchodzić do naszych świętych budynków i na ceremonię. Od ciekawskich mieszczuchów po głodnych sensacji dziennikarzy. To chyba w końcu wywiera na człowieka jakiś wpływ. Oczywiście odpowiem na wasze pytania, jeśli będę w stanie. O co chodzi?

„Już sama zmiana jego zachowania jest podejrzana” – myśli John, podczas gdy Kim zbliża się do budynku, z którego wyszedł Baltazar, i próbuje zajrzeć do środka przez okno. Aby nikt jej nie przeszkadzał, John zajmuje uwagę Baltazara, wyjmując z wewnętrznej kieszeni zdjęcie Eddiego Branko.

– Chodzi o tego mężczyznę. Eddie Branko. Zdjęcie jest sprzed kilku lat, więc teraz jest trochę starszy, ale mimo to podobny.

„Nie licząc brakujących kończyn” – dodaje John w myśli.

– I co z nim?

John podaje mu zdjęcie i drapie się po karku.

– No cóż... A co z nim jest? Najpierw zaginał. Potem się odnalazł. Ale nie cały. A potem umarł. I znowu zaginał. Widział go pan kiedyś?

Baltazar wydaje się zdezorientowany tymi wszystkimi informacjami, ale trwa to tylko kilka sekund. Szybko oddaje zdjęcie.

– Przykro mi, ale nigdy nie widziałem tego człowieka.

– Okej, możemy trochę tu popytać? Jest was dużo, jeśli dobrze rozumiem?

– Rzadko się stąd ruszamy – odpowiada szybko Baltazar. – Tylko garstka czasami odwiedza miasto, żeby pozalać najważniejsze sprawy. Reszta zostaje tutaj. W górach. Nie rozumiem więc, co miałoby to dać.

John powoli kiwa głową.

– No właśnie. Kiedy Eddie Branko odnalazł się po zniknięciu, przyszedł stąd. Z gór.

Między nimi zapada niezręczna cisza, aż Baltazar zauważa, że Kim rozgląda się dookoła.

– Proszę tego nie robić. Bardzo chronimy swoją prywatność, a niektórzy nasi członkowie bardziej od innych.

– Zgadza się – potwierdza John, kiedy Kim z wyrazem poczucia winy na twarzy cofa się o kilka kroków przed okna. – Rzeczywiście jesteście bardzo skryci. Nie macie nawet strony internetowej. Muszę powiedzieć, że w tych czasach jest to dość... dziwne.

– Tak? – Uśmiecha się Baltazar i dodaje ostrzejszym tonem: – A dlaczego?

– Próbowałem szukać o was informacji. O panu. O pańskiej żonie. O nazwie waszej społeczności. Znalazłem tylko stare strony szwedzkiego kościoła i działalności misyjnej w latach osiemdziesiątych. A potem jakby się pan zapadł pod ziemię.

Baltazar się śmieje.

– Zapewniam, że się nie zapadłem. Oto stoję tu przed panem. A żonę przed chwilą widzieliście. Więc gdyby było tak, jak myślicie...

John mu przerywa:

– Jak na działalność misyjną, wydaje się to wyjątkowo... nieefektywne. Dlaczego nie macie strony internetowej?

– Nie wierzymy w nowoczesną technologię. Czy to przestępstwo?

– W żadnym wypadku. Musi pan jednak przyznać, że jest to dość... nietypowe. – Muszę? – W tonie Baltazara daje się wyczuć zdziwienie. – Odciecie od nowoczesnej cywilizacji i oparcie się na tym, co daje nam natura, to żadne przestępstwo. Podobnie jak strzeżenie prywatności. Przy najmniej dotąd tak było. Pokazaliście mi zdjęcie, a ja odpowiedziałem. Tego człowieka nigdy tu nie było. A to oznacza, że nikt inny stąd go nie widział. Oczywiście mam nadzieję, że go znajdziecie. A teraz proszę, żebyście odjechali, bo przygotowujemy się do komunii.

John nie rusza się z miejsca. Rozgląda się dookoła. Kiedy zauważa, że Kim już wskoczyła do samochodu, wzdycha. Jeśli chciałby zbadać to miejsce, to musi spróbować się tu znów zakraść, nie wchodząc przez główne wejście, albo załatwić ten nakaz przeszukania, którego domagał się Baltazar. Wkłada zdjęcie z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

– Może mi pan jednak wyświadczyć przysługę – mówi do Baltazara – i zapytać, czy nazwisko Eddie Branko znaczy cokolwiek dla kogoś w tej se... społeczności? A jeśli odpowiedź będzie pozytywna, to proszę się do mnie odezwać.

Wyciąga rękę z wizytówką, którą Baltazar bierze.

– Oczywiście – odpowiada krótko.

– A nawiasem mówiąc, czy ktoś z waszych członków ma łuk?

– Łuk? – Baltazar unosi brwi. – A skąd niby? Mamy tu wszystko, czego potrzebujemy, i nie polujemy. Ale może powinien pan sprawdzić u ludzi, którzy wyżej w górach bawią się w wojnę.

– Zrobię to.

John dziękuje i wraca do samochodu. Kiedy uruchamia silnik, rzuca okiem na Kim, która wygląda jakoś blado.

– O co chodzi? – pyta, cofając o kilka metrów i kręcąc kierownicą.

– Jedź – poleca Kim, patrząc prosto przed siebie.

Potem odwraca się i wygląda przez tylną szybę, kiedy oddalają od domu i kierują się do dwóch skąpanych w słońcu słupów.

– Ale poważnie – upiera się John, kiedy znów wyjeżdżają na leśną drogę. – Widzę przecież, że coś zauważyłaś. Coś, przez co uciekłaś do samochodu jak przestraszony pies. Co to było?

Kim zamyka oczy i potrząsa głową.

– Sama nie wiem.

– Co?

– W sumie to jednak wiem, oczywiście.

– Powiesz wreszcie?

Kim jest śmiertelnie poważna, kiedy w końcu wyznaje, co takiego zobaczyła, kiedy zaglądała przez okno białego domu na terenie sekty.

- To był René.

John niemal wciska hamulec, by się zatrzymać.

- Co takiego?

Kim zamyka oczy i kiwa głową.

- Trzymał strzykawkę, wiesz, tak jak wtedy, kiedy usuwa się z niej bąbelki powietrza. Dlaczego miałby tu być?

- Może jako lekarz? - sugeruje John.

Kim przygryza wargę.

- Oczywiście, może tak być. Ale nie wiem... Miałam po prostu jakieś takie niesamowite uczucie.

John skręca na drogę numer 70, która prowadzi ich z powrotem do December.

- To po prostu wybierzmy się później do szpitala i go spytajmy, co o tym myślisz?

- Możemy tak zrobić.

- A teraz pojedziemy do milicji i sobie z nimi porozmawiamy.

John czuje dziwne ssanie w żołądku, ale nie wie dlaczego. Sekta, Lyncan i milicja, oni wszyscy są tak samo stuknięci, a on jest pewien, że wszystkie te grupy mają sporo za uszami. Nie rozumie natomiast, jak to możliwe, żeby mogli to wszystko robić w spokoju, bez ingerencji władz.

„Coś tu śmierdzi...”

Tom O'Connor odkrawa swoim myśliwskim nożem kawałek mięsa i wkłada go do ust. Patrzy na zdyscyplinowanych nowych rekrutów i kręci głową. Nigdy nie pojmie, jak ludzie mogą pozwalać, żeby sprawy zaszły tak daleko, zanim spróbują zrobić coś ze swoim życiem.

Na szczęście istnieje on, który stworzył miejsce, gdzie mogą się nauczyć, jak stać się prawdziwymi mężczyznami. I nie ma tu na myśli tego, że wrzeszczy się w lesie i przytula innych facetów, czym zajmuje się ten głupek Alexander Bard.

– Tom? – pyta nagle ktoś za jego plecami.

Odwraca się i widzi nową szumowinę, która niepewnie mruga, patrząc na niego. Z tym śmieciem stoi jeden z jego ludzi, sierżant.

– Nowy rekrut? – pyta Tom, odkrawa kolejny kawałek mięsa i podnosi go do ust.

– Tak, wałęsał się parę kilometrów stąd. Mówi, że chce do nas przystąpić.

– Rany boskie.

Tom wstaje i zauważa, że nieszczęśnik nie spuszcza wzroku z jego noża.

– Nazwisko? – pyta, kiedy kandydat do niego podchodzi. Śmierdzi jak jakiś żul.

– Mówią na mnie Mulle.

Mężczyzna ledwo śmie patrzeć mu w oczy i w sumie nie ma w tym nic złego, ale ten koleś jest ćpunem.

– Dawaj prochy – mówi Tom, wyciągając do niego rękę.

– Nie mam...

Sierżant uderza go w brzuch, a Mulle opada na kolana. Kwiczy jak dziecko.

- Daję wszystkim drugą szansę, a ty właśnie wykorzystałeś swoją pierwszą. Jeszcze jedno kłamstwo, jedna odmowa wykonania rozkazu albo jeden błąd, a nakarmimy tobą niedźwiedzie. Zrozumiano?

Mulle powoli wstaje, trzymając się za bok.

- Jesteś z Lyckan, prawda?

Mulle kiwa głową.

- To co tu robisz? Czy Major się tobą nie zajmuje?

- Ona jest szalona, myślę, że zabiła mojego kumpla Kurta. Nie chcę już tam być. Chcę skończyć z tym gównem – odpowiada Mulle i wkłada rękę do kieszeni. Wyjmuje torebkę z białym proszkiem i podaje sierżantowi.

Tom rozpoznaje paczuszkę. Amfetamina pochodzi od niego. Co za ironia. Notuje w pamięci, żeby przez tydzień zalewać całe Lyckan darmowymi prochami. Major dostanie szału. Ten Mulle może jednak się do czegoś przydać.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, kiedy odzywa się radiotelefon.

- Mamy towarzystwo. To chyba ten nowy gliniarz – mówi głos. – Mam go spławić?

Tom przysuwa radio do ust i wciska przycisk.

- Nie, wpuść go.

- On mnie szuka – mówi Mulle, wyglądający jak ścigane zwierzę.

- Weźcie go do środka i pokażcie mu jego pryczę, niech się ogoli, ostrzyżcie go i ubierzcie. – Tom odsyła Mullego, który wyciąga rękę, żeby mu podziękować.

- Jedna szansa, Mulle – przypomina komendant, a rekrut gorączkowo kiwa głową.

- Ilu ich jest? – pyta przez radio.

- Dwoje.

- Zajmę się nimi, bez odbioru.

Tom wchodzi do jednego z baraków.

- Jedzie policja. Nikt nie wychodzi. Nie wychylać się. Podać dalej – rozkazuje.

Zastanawia się, czy jego goście pojawili się w związku z tym, co się stało, kiedy z chłopakami zastrzelili Lwy Afryki. Somalijski gang, który zabił jednego z jego ludzi i próbował to ukryć, zamiast wziąć odpowiedzialność. Drogo za to zapłacili i Tom przejął władzę w górach. Nie uważa jednak, że chodzi właśnie o to, bo inaczej mieliby ze sobą antyterrorystów i połowę armii. NOA wciąż węszy wokół starej szkoły, wygląda więc na to, że dochodzenie przejęła policja sztokholmska. Tom się zastanawia, czy dla tego faceta to ulga, czy wprost przeciwnie. Może jest czymś w rodzaju superbohatera? Samotnym wilkiem, który chce rozgryźć wszystko sam? Wszystko jedno. Nigdy tego nie rozwiążą.

Tom zwabił Lwy Afryki, załatwił wszystkich i przejął telefon z całą listą ich klientów. Przeniósł ich laboratorium do własnego obozu i teraz sprzedaje takie ilości amfetaminy i fentanylu, że aż trudno uwierzyć. Tuż pod nosem zarówno policji z December, jak i tych idiotów ze Sztokholmu.

Do szlabanu podejżdza czarne audi A6. Tom macha ręką, żeby je wpuścili. Ten nowy policjant jest niezłym kozakiem. Przyjechał tu bez zapowiedzi, nie dzwoniąc wcześniej do Mony. Tom jest zaciekawiony. Jeśli Mona straciła kontrolę, to ten koleś musi być kimś szczególnym.

„Może nawet niebezpiecznym”.

Samochód zatrzymuje się przed Tomem, który podnosi rękę. Zauważa psycholożkę Kim na miejscu pasażera i się uśmiecha. To może być naprawdę ciekawe.

Przybysze wysiadają i się witają.

– John Wagner, policja – mówi mężczyzna o wzroście Toma, równie potężnie zbudowany i o podobnym spojrzeniu.

Mężczyzna, który już kiedyś zabił. Mężczyzna, który widział więcej niż większość Szwedów. „Teraz bardziej przypomina superbohatera” – zauważa Tom. Niedocenianie tego faceta byłoby prawdopodobnie błędem. Poza tym jest o piętnaście czy dwadzieścia lat młodszy od niego.

– Tom – przedstawia się i kiwa głową w kierunku Kim, a ta odpowiada machnięciem ręką. – To co, jestem aresztowany, Johnie Wagnerze? – Uśmiecha się krzywo. Wciąż mierzy go wzrokiem.

– Nie, do cholery. – John stoi swobodnie, ale rozgląda się czujnie. Obserwuje teren, na którym nie widać żadnego ruchu. Wszyscy ludzie są w barakach, nie licząc trzech strzelców wyborowych właśnie celujących w jego serce i głowę. Jedno słowo Toma i jest załatwiony. Zabity gli niarz zrobiłby jednak większe zamieszanie niż siedmiu imigrantów z zasranych przedmieść Sztokholmu. Takiej decyzji nie podejmuje się pochopnie.

– To w czym mogę pomóc?

– Sporo tego. Wszyscy mamy pełne ręce roboty – mówi John, opierając się o maskę. – Mam tylko kilka pytań.

– Nieoficjalnie? – pyta Tom, patrząc na Kim.

– Tak, nieoficjalnie, nie jest to przesłuchanie, inaczej zabrałbym cię na posterunek.

– Naprawdę? – drwi Tom.

Nie spuszcza wzroku z Kim. Część jej pacjentów pracuje teraz dla niego.

– Kto z was poluje z łukiem? – pyta John, wskazując ręką na baraki.

– Z łukiem? – Śmieje się Tom. – Możecie nas uważać za jaskiniowców, ale tu polujemy jak normalni ludzie. Sidła, kule i śrut.

– Kłusujecie? – pyta John nieco żartobliwie, jakby byli kumplami, co wkurza Toma.

Ten facet nie ma ogłady i nie wie, co się dzieje.

– Nie, wszystko, co tu widzisz, to moja ziemia. Jeśli mam ochotę złapać królika albo zastrzelić kozła, to robię to. Jakiś problem?

– Nie mój – odpowiada John, który zachowuje się nietypowo jak na gli nę.

Tom stwierdza, że może powinien trochę przystopować, ale przede wszystkim zamierza dowiedzieć się trochę więcej o intruzie.

– No dobrze, fajnie, że wpadliście. To tyle. Na razie.

– Tak bez kawy? – dziwi się John, a Kim rzuca mu zdziwione spojrzenie.

– Nie, przyjechaliście bez zapowiedzi. A ja tego nie lubię, o czym Mona powinna ci powiedzieć.

Patrzy na Kim i spluwa na ziemię.

– A ona co tu, kurwa, robi?

– Jest ze mną.

– Nie wolno wam tu być, to teren prywatny.

– Tak, proszę o wybaczenie, ale w tej chwili mamy tylko kilka pytań. Jeśli nie chcesz odpowiadać, to mogę załatwić decyzję prokuratora, ścigając antyterrorystów i tak dalej, i tak dalej... na pewno rozumiesz. Będzie tylko mnóstwo niepotrzebnego zamieszania. Tak więc parę pytań, a potem znikamy, a wy możecie dalej bawić się w wojnę albo apokalipsę.

John najwyraźniej próbuje go sprowokować. Dziesięć czy dwadzieścia lat temu Tom być może wpadłby w pułapkę. Ale nie dziś.

– Pytaj, nie mam nic do ukrycia.

– Super. To jeszcze raz powtórzę, bo za pierwszym razem nie odpowiedziałeś. Czy ktoś tu ma łuk?

– Odpowiadam, że nie.

– Czy mówi ci coś nazwisko Eddie Branko?

Tom unosi brwi.

– Odpowiadam, że nie.

John pokazuje mu zdjęcie mężczyzny leżącego w szpitalnym łóżku. Bez rąk. Tom zaciska powieki.

– Myślisz, że chcę to oglądać? Powiedziałem przecież, że nie.

– Wiesz, jak to jest, czasem człowiek nie zna nazwiska, ale rozpoznaje twarz.

– Już mówiłem, nie.

– Okej. – John robi parę kroków w głąb obozu i rozgląda się dookoła. – Jesteś tu sam?

– Gównno cię to obchodzi.

John się uśmiecha.

– Może i tak, ale to zależy.

– A niby od czego?

– Czy jesteś mordercą, czy nie. Kurt Strand i Mulle Sten. Znasz któreś z tych nazwisk?

– Pierwsze słyszę.

– Oczywiście, oczywiście. No cóż, to na razie wszystko. Do zobaczenia.

John wraca do samochodu. Otwiera drzwi, a Kim patrzy na niego tak, jakby zwariował.

– Fajne miejsce, mam nadzieję, że mówisz prawdę, byłoby smutno, gdybyś je stracił.

– Znasz drogę. Jeśli tu jeszcze kiedyś przyjedziesz, to... może być nieprzyjemnie. Więc następnym razem zabierz ze sobą tych antyterrorystów.

– Zdecydowanie.

Gdy samochód odjeżdża, Tom aż się gotuje w środku. Co ten pieprzony gliniarz sobie wyobraża? I dlaczego zabrał ze sobą tę kobietę?

Wchodzi do baraku i przewraca stół, przez co wszyscy milkną i odwracają się do niego plecami. Szarpie drzwiczki szafek i kopie krzesło.

– Mówiłem już, chcę wiedzieć wszystko o was, o czym jeszcze nie wiem, inaczej pouryvam wam jebane łby. Jeśli ktoś tu ma pieprzony łuk, to chcę o tym wiedzieć! W tej chwili!

„Życie to suka” – myśli Kim, ciężkim krokiem pokonując ostatnie sto metrów do swoich drzwi, po chwili spędzonej przy studni na głaskaniu miejscowego kota Chestera. Zauważyła, że ktoś włożył owczą skórę do skrzynki, w której ten rudzielec sypia, napełnił też miski karmą i wodą. Co za miasto.

„To, co w ludzkości najlepsze i najgorsze, zebrane w tym samym miejscu”.

John wypytywał ją, co łączy ją z Tomem, ale nie ma o czym mówić. Kim nie wie nawet, co tamten do niej ma, podejrzewa jednak, że ma to coś wspólnego z którymś z jej pacjentów. Słyszała plotki, że dwóch z nich mieszka teraz w jego obozie, obaj przestali do niej przychodzić.

Tak to już chyba bywa z sektami, bo milicja też do nich przecież należy. Chodzi przede wszystkim o kontrolę, a Tom i Baltazar są w tej kwestii tacy sami. Pełna kontrola i uważanie się za jakiegoś Jezusa. Paskudna sprawa, ale Kim dałaby wszystko, żeby móc pogrzebać w ich umysłach. Na pewno obaj mieli problemy z ojcem, jak wszyscy słabi mężczyźni. Tacy jak Parszywiec. Jego ojciec był superreligijnym dupkiem, a Nils stał się takim samym, tylko odwrotnie. Nienawidzi wszystkiego, co ma cokolwiek wspólnego z religią. To chyba jedna z tych jego cech, która najmniej denerwuje Kim. Ach, religia. Mówi się, że ma uspokajać i pocieszać, ale jej zdaniem przyciąga przede wszystkim ludzi głodnych władzy i pieniędzy. Takich jak Baltazar. Takich jak Tom O'Connor.

„Idioci!”

Kim wzdyga się i kuli na wietrze, który wkrótce przyniesie ze sobą opady śniegu. Prawdę mówiąc, powinien był to zrobić już jakieś dwa tygodnie temu. Tu w górach śnieg zazwyczaj pojawia się na początku października. To opóźnienie pewnie ma coś wspólnego ze zmianami klimatu.

Kim zauważyła, że tęskni za pierwszym śniegiem, tym, który zamienia szary i smutny świat w coś zupełnie nowego i łagodnego.

Dzień był długi i pełen pacjentów. Pacjentów, dla których Kim ma coraz mniej cierpliwości. Dobrze wie dlaczego. Wczoraj była przez cały dzień z Johnem. Odwiedzili sektę. Odwiedzili milicję. Dzień pełen emocji. A do tego w jego towarzystwie. I potem cały wieczór siedziała na stronie patrolobywatelski.net, czytając o wszystkich sprawach.

Czy tego chce, czy nie, oba zajęcia dobrze jej robią. Ten dzień przypominał codzienność sprzed przyjazdu Johna Wagnera do miasta. Wcale nie był równie fajny. Miała więcej czasu na babranie się w starym gównie. Na przykład na myślenie o Parszywcu. Który ciągle lata po mieście pod rączkę ze swoją piękną, młodą i ciężarną żoną i z nerką Kim w swoim paskudnym ciecie.

„Kurwa mać”. Musi czymś zająć myśli.

Postanawia od razu po powrocie nalać sobie lagavulin i wysłać wiadomość do Johna, żeby go przekonać, by ją odwiedził. W końcu są teraz przyjaciółmi... prawda? Kim widzi oczyma duszy, jak jeżdżą na sankach, kiedy już leży śnieg, a potem idą do piekarni Selandera i kupują od Harriet gorące precle. Potem wizja się zmienia i John chwyta jej rękę. Przyciąga do siebie. Bierze w objęcia.

„Co, do cholery? Muszę się ogarnąć”.

Kiedy wchodzi po schodach do swoich drzwi, widzi, że coś leży na ziemi. Nie ma nawet szansy się zastanowić, co to za paczka, o której rozmówieniu zapomniała, a już stoi jak zamurowana z ręką przy ustach.

Przed drzwiami leży świński łeb. Do Kim dociera słaby zapach gnijącego mięsa. Cały świat milknie, a Kim słyszy w głowie własny puls.

– Boże, a to co?

Oddycha z trudem. Ze świńskiej czaszki wystaje rękojeść noża. Kim rozgląda się dookoła.

„Kto, do chuja...?”

Jest cicho, nie licząc kilku gęsi wybierających się w jakieś cieplejsze miejsce, a ona w tej chwili chętnie by się jedną z nich zamieniła. Ledwo

może się ruszyć. Bierze klucze i wciska jeden z nich między środkowy a serdeczny palec, jak miniaturową dzidę.

Trzęsie się, ale mimo to udaje jej się wyjąć komórkę z kieszeni płaszcza. Wybiera jedyny numer dający jej poczucie bezpieczeństwa, mimo że to wszystko w jakiś sposób może być winą jego właściciela. Kim czuje to przez skórę.

– Cześć. – John odbiera od razu.

– Ktoś zostawił przed moimi drzwiami pieprzony łeb świni. Nie wchodzę do środka.

– A, ty też dostałaś?

– A co, ty dostałeś?

– Tak, a do tego fajny nóż. Wygląda na to, że kopnęliśmy w gniazdo os. Śmieje się. Ten drań się śmieje.

– My? – syczy Kim cicho. – To ty kopnąłeś w gniazdo os.

– Dlaczego szepczemy?

– Bo ten, kto to zostawił, może wciąż tutaj być.

– Spokojnie. To ostrzeżenie, ktoś jest bardziej przerażony niż ty. Gdyby chcieli ci zrobić krzywdę, to nie męcziliby się ze świńską czaszką.

Kim ma ochotę walnąć go w głowę.

– Spokojnie? Przed moimi drzwiami leży zamordowane zwierzę. To cholernie jasny komunikat. Nie jestem ani trochę spokojna.

– Przepraszam, Kim. Masz rację. Chodź do Lyckoslanten, to pogadamy. Wyślę pod twój adres Juliette, żeby zabrała łeb i nóż i sprawdziła, czy nikogo tam nie ma. Okej?

W tle słysząc muzykę, gwar i czyjś śmiech. Odgłosy pubu, których Kim bardzo teraz potrzebuje.

Patrzy na tkwiący w świńskiej głowie nóż. Nie liczyła się z czymś takim, ale kiedy John i Tom mierzyli się na siusiaki, a Tom był tak wyraźnie prowokowany, może powinna była.

„Co jest nie tak z facetami?”

– Okej, zaraz będę – odpowiada. Jest głodna i przerażona i wcale nie chce tu być.

Nigdy w życiu nie szła tak szybko i prawdopodobnie ustanowiła jakiś rekord świata, zanim wreszcie otworzyła drzwi do Lyckoslanten. Dopiero kiedy wchodzi do ciepłego lokalu i czuje zapach przesiąkniętej starym piwem wykładziny, czuje się bezpiecznie.

John macha do niej, już zamówił dla niej szklaneczkę whisky. Kim podchodzi i drżąc, wlewa ją do gardła.

– Oj, chyba tego ci było trzeba. – Uśmiecha się John, a ona chwyta go za ucho, chce je wytargać, ale tego nie robi. Puszcza i siada. Pali ją w gardle, w piersi i brzuchu robi się ciepło.

John macha do Maksa i wskazuje na ich szklanki.

– Jak możesz być taki spokojny? – pyta Kim.

– Już dawno się nauczyłem, że tylko jedna osoba na tysiąc poważnie traktuje swoje groźby. Jak dotąd grożono mi może pięćdziesiąt razy. Pozostaje więc jeszcze dziewięćset czterdzieści dziewięć.

– Idiota – kwituje Kim, ale uśmiecha się kącikiem ust.

– Wiem, sorry. Policjanci po jakimś czasie przyzwyczajają się do takich rzeczy i zapominają, że inni nie są tak zahartowani. W porządku? – pyta poważnie, a Kim się odpręża.

– Tak, już mi lepiej.

Odchyła się do tyłu, ale jej ciało kłamie. Myśli kołaczą jej się po głowie, nie rozumie, jak John może być cały czas taki spokojny. No, ale w końcu jest mężczyzną.

Brzęczy telefon Johna. Czyta wiadomość i pokazuje ją Kim. To Juliette. „Wszystko w porządku, nikogo nie ma”. Kim oddycha z ulgą.

– Nie pojmuję, jak można cały czas żyć z takimi groźbami. Patrz, wciąż się trzęsę – mówi, unosząc rękę w powietrze.

John bierze jej dłoń w swoje. Kładzie je na stole i patrzy Kim w oczy.

– Powinienem ci coś powiedzieć, zanim pojechaliliśmy do sekty i milicji. Czasami zakładam maskę twardziela tylko po to, żeby wzbudzić jakąś reakcję.

– No cóż, udało ci się.

- Być może. Nie chodziło mi o groźby, tylko żeby popełnili jakiś błąd. Jestem pewien, że to milicja albo sekta zabiła Eddiego Branko, pytanie tylko, którzy z nich. I wciąż nie rozumiem, o co chodzi z tymi obciętymi kończynami. Masz jakiś pomysł?

Kim wzrusza ramionami. Nie ma pojęcia.

- Ciągle nie mogę się pogodzić z tym, że był tam René. Męczy mnie to.

Cały czas widzi tę scenę. Jak się uśmiechał i był tak miły, jak tylko on potrafi. Czy nie ma w sobie żadnej moralności?

- Przecież oni mogą jeździć do szpitala, tak jak wszyscy inni. Skąd to szczególne traktowanie? Cholernie mi to przeszkadza.

- No tak, z nim też musimy porozmawiać, tylko że nie to jest teraz najpilniejsze. Ale może będzie miał dla nas jakieś informacje o sekcje. Przypuszczam, że robi różne rzeczy pro bono, to chyba w jego stylu.

- Pewnie masz rację. To co robimy jutro?

- Oczywiście dalej kopimy w gniazdo os – mówi John, podnosząc swoją szklankę. – To elementarz policyjnej roboty. Wszyscy popełniają błędy, kiedy tylko zaczynają działać emocje, a jeśli uda się nimi porządnie potrząsnąć, zaczynają pracować dla ciebie.

John puka w skroń palcem wskazującym, robiąc mądrą minę.

- Kopanie w gniazdo os to jest to. Możesz mi wierzyć.

- Boże – odpowiada Kim, czując, jak przechodzi ją dreszcz.

– John Wagner. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że chcesz się tu do nas przeprowadzić – mówi René Hoffmann z szerokim uśmiechem, gdy policjant wchodzi do jego gabinetu.

Pomieszczenie znajduje się na szczęście nie w piwnicy, a na poziomie wejścia, wszystko wskazuje na to, że nieco chaotyczny remont odbywający się w szpitalu już tędy przeszedł. Pachnie świeżą farbą, a gabinet jest schludny. Zadbany w taki sam sposób jak gospodarz. John uśmiecha się w odpowiedzi.

– Kiedy byłem młodszy, przez jakiś czas rozważałem studia medyczne.

– I co cię powstrzymało? – pyta René, wskazując mu krzesło po drugiej stronie biurka.

John siada.

– Oceny – wyznaje, wzruszając ramionami.

– Ach, tak. Trochę mnie to dziwi. Sprawiasz wrażenie wyjątkowo inteligentnego człowieka.

– To jeszcze nie oznacza, że się lubię tym chwalić, zwłaszcza gdy byłem w gimnazjum i szkole średniej.

René się śmieje.

– Święta prawda. No dobrze. W czym ci mogę pomóc?

– Możemy zacząć od Eddiego Branko. Jakies nowe informacje o tym, gdzie się podział?

René podnosi z biurka wieczne pióro, toczy je między palcami, odchylając się jednocześnie na oparcie i głośno wzdychając.

– To takie żenujące. Muszę przyznać, że trudno mi spojrzeć ci w oczy.

John wyraźnie widzi, jak policzki patologa czerwienią się ze wstydu. I trochę chyba z gniewu. John go rozumie. Ktoś wystawił Reného Hoffmanna na pośmiewisko.

– Nie wygląda to zbyt dobrze dla szpitala – mówi powoli John.

– Ani dla mnie – odpowiada szybko René. – To ja jestem odpowiedzialny za prosektorium i łańcuch dowodowy od chwili, kiedy ciała pojawiają się u nas. Zgłosiłem to zgodnie z procedurami uchybień, będzie więc wewnętrzne dochodzenie, a do tego śledztwo Inspektoratu Zdrowia i Opieki Społecznej, żebyśmy ustalili, gdzie procedury zawiodły. Bo coś takiego już nigdy nie może się zdarzyć. Ale nie... niestety, nie wiem więcej niż wtedy, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

John powoli kiwa głową i przygryza dolną wargę.

– Rozumiem – mówi po chwili. – Ja mam podobnie. Gdybym był na twoim miejscu, cały czas bym się biczował.

René krzywi się, tak jakby słowa Johna rzeczywiście go zabołały, a Johnowi głupio, że powiedział coś takiego. Zmienia temat:

– Słuchaj, jakie masz powiązania z Ludem Świątyni Słońca?

René wysoko unosi brwi.

– Powiązania? Żadnych. Jestem ateistą.

– A jeśli powiem, że widziałem cię u nich wczoraj, kiedy złożyłem im krótką wizytę, żeby zadać kilka pytań? Miałem zwidy?

René się śmieje.

– Ach, masz na myśli takie powiązania. Myślałem, że chodzi ci o... duchowe czy jak to tam należy nazwać. Nie, nie. No więc czasami się tam pojawiam. Dzwonią do mnie, kiedy potrzebują opieki lekarskiej, to wszystko.

– Robisz u nich wizyty domowe?

René robi smutną minę.

– To niestety jedyny sposób. Są tam rodziny z dziećmi i większość z nich nie chce przychodzić do szpitala. Ale dzięki temu, że jeżdżę tam, kiedy ktoś z nich potrzebuje pomocy, zdobyłem nieco zaufania Słońca i Baltazara. Tak więc chyba powinna wyglądać odpowiedź na twoje pytanie. Moje powiązanie z Ludem Świątyni Słońca jest takie, że jestem ich lekarzem. Przepraszam za nieporozumienie.

John myśli o tym, co mówiła Kim, że był tam ze strzykawką. Na razie jego odpowiedź trzyma się kupy.

– Znalazłeś już Mullego, kumpla Kurta Stranda? – pyta René, przez co myśli Johna kierują się w zupełnie inną stronę.

Wzdryga się. Drapie się w głowę. Potem potrząsa głową, wzdychając ciężko.

– Niestety nie. Jakby zapadł się pod ziemię.

– Kiepsko. A nie masz innych tropów? Mam na myśli twoją żonę i syna?

Karty tarota, które rano Johnowi udało się włożyć z powrotem do kieszeni kurtki, palą go w bok, jak ogień. Spuszcza wzrok.

– Ani jednego. Przyjechałem tu, żeby załatwić tę jedną sprawę, ale codziennie coraz bardziej się od niej oddalam. Wikłam się w różne inne rzeczy, zamiast się tym zajmować. Rano udało mi się nawet przesłuchać nieszczęsnego księgarza w sprawie pożaru kosza na śmieci.

René uśmiecha się szeroko.

– Feliksa? Niech zgadnę. To Sylvester go oskarżył.

John potwierdza ruchem głowy.

– Jak na to wpadłeś?

René pochyla się do przodu i opiera rękami o biurko.

– Sylvester jest... trochę dziwny. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłbym się zupełnie, gdyby to on sam podpalił ten kosz, żeby mieć coś na Feliksa. A on jest nieszkodliwy, tymczasem Sylvester zawsze sprawiał wrażenie jakiegoś... śliskiego. Przynajmniej moim zdaniem.

John stara się to zapamiętać, jednocześnie czuje ukłucie za prawym okiem. Najwyraźniej ściąga twarz, bo René od razu pyta:

– Nadchodzi migrena?

John przeciąga dłońią po twarzy.

– Tak. Czasami mam błyskawice przed oczami. Dosłownie takie świetlne zygzaki.

– Aury wzrokowe – stwierdza René ze współczuciem. – Dostyc częste przy migrenie. Jeśli chcesz, możemy zacząć to badać. Zobaczyć, czy da się

dobrze ustawić leki.

John wstaje, wyjmując z kieszeni tabletkę i trzyma ją przed sobą w powietrzu.

– Te pigułki na razie dają radę. Ale dzięki. Może kiedy wszystko się trochę uspokoi.

René również wstaje i podaje rękę Johnowi, który właśnie łyknął tabletkę bez popijania wodą.

– Niedawno widziałem mema czy jak to się tam nazywa. Z tekstem „Dlaczego nikt mi nie powiedział, że >>być dorosłym<< oznacza ciągłe powtarzanie >>w przyszłym tygodniu wszystko się uspokoi<<, aż do śmierci”.

John się śmieje.

– Święte słowa. Dzięki, że poświęciłeś mi czas. Będziemy w kontakcie? A przy okazji, jeśli jeszcze kiedyś będziesz tam w tej sekcji, mógłbyś mieć oczy otwarte?

– Oczywiście. Ale czego mam szukać?

– Tak... w sumie sam nie wiem. Dziwnych rzeczy. Łuku. Albo strzał. Albo... przemocy. Czegoś, co można by powiązać z Eddiem Branko, albo w ogóle czegokolwiek.

– Rozumiem. Jasna sprawa. Możesz na mnie liczyć.

– Dzięki. To ja lecę na posterunek.

Znów podają sobie ręce.

– Zdzwonimy się. Obiecuję, że będę zwracał uwagę na wszystkie nietypowe rzeczy, kiedy następnym razem do mnie zadzwonią. A jeśli dowiem się czegoś więcej o panu Branko, to też od razu się z tobą skontaktuję.

Kiedy John wsiada do samochodu, ma poczucie, że René Hoffmann nie mówi mu wszystkiego.

Słońce zauważyła, że znów stoi z dłonią na brzuchu. Instynkt każe jej ją stamtąd zabrać, ale potem zmienia zdanie i dalej ją przyciska. Stara się samym ciepłem swojej dłoni wpłynąć na to, by tam w środku coś zaczęło się dziać.

Godzinę temu mieli lekcję i spowiedź z Aniołem. Dzieci urodzone tu w sekcie mają naprawdę piękne imiona. A młody Anioł ma co prawda ledwie czternaście lat, ale jest niebiańsko piękny. Młody i silny. Jak ogier. Już teraz ma szeroką klatę i uda. Słońce ma nadzieję, że jego nasienie właśnie w tej chwili szybko przesuwa się w górę w jej ciele.

Słońce jak zwykle stoi najbliżej ołtarza. Cała na czerwono. Członkowie społeczności zajmują miejsca w ławkach.

Przez główne wejście kościoła wchodzi Baltazar, a za nim Anna, niosąc pojemnik z krwią Chrystusa i miskę z komunią.

Kiedy Słońce po raz pierwszy brała w tym udział, czuła pewną niechęć, dziś przyznaje się do tego. Wkładać do ust kawałek surowego mięsa to coś nietypowego i nieco obrzydliwego. Szybko jednak zmieniła zdanie, podobnie jak wszyscy. Poza tym to był jej pomysł. Fakt, że ten drobny kęs miał oznaczać kolejnego niewolnika w raju, ułatwiał decyzję. Oraz to, że Baltazar zjadał pierwszy kawałek. Najpierw przez prawie godzinę wygłaszał kazanie o rosomaku. O rosomaku i raju. O znaczeniu spożywania mięsa, które dał nam Pan. Podkreślił nastrój tak, że wszyscy w kościele nie mogli już wytrzymać. Pragnęli mięsa. Chcieli pić krew. Dziś znów będzie tak samo. A ona skłamałaby, mówiąc, że sama nie jest podniecona.

Jeśli ma być tak, że w jej brzuchu zakiełkuje maleńkie życie, będzie potrzebować każdej żywności i wszystkich niewolników, jakich uda jej się pozyskać, gdy nadejdzie czas, kiedy bogowie zabiorą ją i dziecko ze sobą.

Po komunii Słońce idzie do stajni. Wita się z jednym z członków, który pełni rolę na zewnątrz, a on lekko się jej kłania. Czuje się jak królowa,

zarówno ona, jak i Baltazar traktowani są jak monarchowie.

Otwiera stalowe drzwi i odór sprawia, że się zatrzymuje. Nie rusza się i przyzwyczajają zarówno do ciemności, jak i zapachu, zanim założy maskę i pójdzie dalej.

Kiedy słycać jej kroki, brzęk łańcuchów cichnie. Nowa niewolnica pa-trzy na nią przez szczelinę.

– Cześć, pieprzona psycholko. Wypuść mnie – woła kobieta, a Słońce podnosi rękę. Musi poprosić, by któryś z mężczyzn założył jej knebel albo coś podobnego. A może po prostu uciał jej język.

Przy drzwiach do drugiego boksu leży jak kłoda Martin Lang. Słońce wypuszcza powietrze z płuc i przez chwilę mu się przygląda.

– Kim jesteś? – pyta kobieta, ale Słońce nie odpowiada.

Podchodzi do Martina i kuca obok niego. Gdyby nie ona, umarłby już kilka tygodni temu, ale ona chce, by cierpiał jak najdłużej i jak najmocniej.

Słońce przeciąga dłonią po jego twarzy, przesuwając ją od czoła w dół. Mężczyzna otwiera oczy.

– Cześć, Martin – szepcze Słońce miękko. On wciąż nic nie rozumie, co sprawia jej jeszcze większą przyjemność. Ona i pozostali zjedli jego ciało, a w dniu, w którym Bóg ją wezwie, jego dusza dołączy do jej niewolników, jego cierpienie nigdy się nie skończy.

– Zabij mnie – szepcze nieszczęśnik.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw musisz ukorzyć się przed bogami.

– Dlaczego ja? – mamrocze więzień, mrugając z wysiłkiem oczami.

Słońce uśmiecha się pod maską. Powiedzieć mu?

Co będzie dla niego większym cierpieniem – wiedzieć czy nie wie-dzieć?

Waha się przez chwilę, ale on przecież może w każdej chwili umrzeć. Byłaby rozczarowana, gdyby niczego nie był świadomy, kiedy spotka się z Szatanem.

– Pamiętasz, jak mnie zgwałciłeś dwadzieścia lat temu? – pyta i czeka, aż trybiki w jego głowie zaskoczą.

Patrzy mu głęboko w oczy. Chce uchwycić tę chwilę, kiedy on zrozumie.

Trwa to sekundę. Dwie. W trzeciej sekundzie mężczyzna szeroko otwiera oczy. Słońce się uśmiecha. Teraz Martin już wie, że nie można robić, co się człowiekowi podoba. Bóg w końcu każdego ukarze. A ona ukarze wszystkich, którzy zrobili jej krzywdę.

– Jesteś pierdolnięta – mówi kobieta w sąsiednim boksie. – Przecież ja cię nie zgwałciłam, dlaczego tu jestem?

Słońce wstaje. Martin skowyczy jak szczeniak, zrozumiałwszy swój błąd.

Zdejmuje maskę i odwraca się do kobiety, która cofa się w boksie.

– Kurwa, to ty...

– Tak, to ja. To ja wybieram komunię i wybrałam ciebie.

Serce Kim bije jak szalone, a przed oczami przesuwają jej się sceny z horrorów.

Wciąż siedzi w samochodzie, patrząc na swój własny dom. Chora historia. Zaledwie dwa tygodnie temu spała w samochodzie, bo nie mieściło jej się w głowie, że ten stary sklep – i jednocześnie dom, w którym Parszywiec spędził dzieciństwo – jest jej domem. Teraz czuje się zupełnie inaczej. Szyld Ziola Bratta został zdjęty, a budynek stał się jej własnością. A teraz znowu to... To tak, jakby ktoś zgwałcił jej dom, a ona wcale nie chce do niego wchodzić, ale wie, że musi. Jeśli nie przejmie kontroli, to ta groźba przejmie kontrolę nad nią.

Wściekły wiatr rozrzuca wszędzie liście i zachowuje się jak trzylatek, który nie potrafi usiedzieć na miejscu. Gałęzie wyglądają już, jakby były gołe i przygotowywały się na zimę.

„Ludzie powinni być drzewami” – myśli Kim, zazdroszcząc wielkiemu dębowi, który rośnie w pobliżu. Powoli oddycha i kładzie rękę na klamce. Rozgląda się, ale nie ma tu nawet żywej duszy. Można by odnieść wrażenie, że również wszyscy mieszkańcy December zapadli w sen zimowy i ona jedna pozostała. Nastrój jest niemal apokaliptyczny.

– Dawaj, mała – mówi do siebie. – Nie bądź takim cholernym tchórzem.

Bierze głęboki wdech i ciągnie za klamkę. Otwiera drzwi, wysiada z samochodu. Wiatr szarpie jej włosy i duszę. Zamyka samochód przyciskiem, wyjmując z kieszeni klucze do domu i wciska je między palce. Wcale nie ma pewności, że to się jej przyda, gdyby musiała się bić. Jest to po prostu rzecz, którą kobiety zawsze robią, żeby poczuć się bezpiecznie. Kim nie jest wyjątkiem. Wyobraża sobie, że uderzenie kluczem boli bardziej niż samą dłońią. Może powinna poprosić Johna, żeby kiedyś dał jej parę lekcji samoobrony?

Powoli i niepewnie podchodzi do drzwi. Oddycha coraz szybciej i próbuje rozglądać się na wszystkie strony. W jej domu jest ciemno. Świeci się tylko świecznik adwentowy w jednym z okien na piętrze. Kim wie, że wystawiła go za wcześnie, ale dla niej święta zaczynają się zaraz po letnim przesileniu. Uwielbia Boże Narodzenie. Z dwudziestu pięciu kartonów, które przywiozła tu po rozwodzie, cztery wypełnione są ozdobami.

Ogląda się za siebie. Nie ma nikogo. Na ulicy jest wciąż pusto i Kim zaczyna się odprężać.

John miał rację. Ktoś po prostu próbuje ją przestraszyć, mając nadzieję, że będzie się czuła dokładnie tak jak teraz. Mimo że upłynęły już dwa dni.

– Gratulacje, draniu – mówi, wkłada klucz do zamka i obraca go, wchodzi szybko do środka i zamyka drzwi. Opiera czoło o drzwi, po czym wygląda przez szybkę.

Na półce na kapelusze położyła nóż. Zrobiła to już tego wieczora, kiedy pojawiła się tu świńska głowa. Iluzja poczucia bezpieczeństwa. Dobrze i to.

Przez kilka minut wygląda na zewnątrz. Nie ma nikogo, wreszcie może odsapnąć. Przechodzi obok starej aptecznej półki, wypłowiałych parawanów i stołu zastawionego rolkami papieru, a potem idzie na górę, do czteropokojowego mieszkania na piętrze. Zapala lampę w korytarzu, kładzie torebkę na podłodze i odwiesza kurtkę.

Jest cicho, wydaje jej się, że zbyt cicho. Stoi bez ruchu, nasłuchując, ale w końcu się otrząsa. Za dużo sobie wyobraża.

Wchodzi do kuchni i ma wielką ochotę nalać sobie whisky, ale rezygnuje z tego zamiaru. Wie, co by się stało. Jest zalękniona, więc się upije, a we wtorek to bardzo głupi pomysł. Jutro rano ma pacjentów.

Nastawia więc wodę na herbatę, wygląda przez kuchenne okno, patrzy na rozgwieżdżone wieczorne niebo i czuje się samotna.

Lubi życie singielki, a jednocześnie brakuje jej dotyku i bycia we dwoje. Kogoś, z kim można poleżeć na kanapie, opowiedzieć o wydarzeniach dnia, pośmiać się i pożartować, nie mówiąc już o seksie.

Kim nie chce umrzeć samotnie, ale w tej chwili musi po prostu dojść do siebie po Parszywcu. Bezwiednie patrzy na serdeczny palec, gdzie kie-

dyś nosiła obrączkę. Musi odzyskać władzę, już to zaplanowała, ale wciąż się waha.

„Jeśli to zrobię, wyładuję w więzieniu”.

Odwraca się i zauważa, że w drzwiach salonu ktoś stoi. Krzyczy, podobnie jak ta druga osoba. Patrzą na siebie.

Przed nią stoi pieprzona Faduma, trzymając dłoń przy ustach. Zaczyna się śmiać.

– Ziom, ale się przestraszyłaś – mówi, zdejmując słuchawki.

Kim nie uważa, by było to w jakimkolwiek stopniu zabawne. Trzyma się za serce, które wykonuje szalony galop, próbuje oddychać.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

– Mówiłaś, że mogę do ciebie w każdej chwili przyjść. I w ogóle: nie kładź klucza do drzwi pod kamieniem, jak wszyscy idioci. Mogłabym przecież być najgorszym seryjnym mordercą.

Kim zapomina o tym, co przed chwilą myślała o powstrzymaniu się od picia we wtorek, wyjmuje whisky i nalewa sobie szklaneczkę. Łyka ją szybko i nalewa następną. Czuje się jak alkoholiczka, ale jej dusza właśnie tego teraz potrzebuje.

Smolisty trunek uspokaja ją na tyle, że wkrótce znów może oddychać jak normalny człowiek.

– Wszystko w porządku? – pyta Faduma.

– Chyba tak.

– Czy ja też mogę dostać coś takiego? – Faduma wskazuje na butelkę.

Kim napełnia drugą szklaneczkę i prowadzi dziewczynę do sofy.

– Teraz musisz mi wszystko opowiedzieć od początku. Kiedy wróciłaś do miasta? I co robisz w moim domu?

Siedzą przez dwie godziny, paplając jak dwie stare plotkary. Faduma opowiada, że była w Sztokholmie, bo bała się zostać w December. Kiedy jednak dowiedziała się, że Lwy Afryki przestały istnieć, odważyła się wrócić. Jej dawną kwaterę w budynku przemysłowym zajął jakiś ćpun, więc przysła tutaj.

Sztokholm był męką. Brak pracy, brak mieszkania i fakt, że jest czarna, nie pomagały.

– Strasznie to dziwne – mówi cicho Faduma.

– Co takiego? – pyta Kim.

– December nie jest w sumie tak okropnym miejscem, jeśli się nad tym zastanowić.

– Powiedz to Johnowi. – Śmieje się Kim, gdy Faduma chodzi po pokoju, oglądając jej rzeczy.

– Jesteś na stówę pewna, że możesz bezpiecznie siedzieć w December? Faduma drapie się po karku.

– Spoko. Lwy nie żyją, a ci ze Sztokholmu nawet nie wiedzą, kim jestem. Wyluzuj.

– Dobra. Ostatecznie to twoje miasto.

– Ziom, ale masz tu supermiejscówkę. A tam na dole? Nie używasz tej części. Mogę ci pomóc tam posprzątać, zrobić przytulną atmosferę i tak dalej. Jeśli mi pozwolisz tam spać. Nawet nie zauważysz, że tu jestem, poważnie. Zobacz, już ci pomogłam rozpakować dwa kartony w łazience.

Udaje twardą, ale Kim widzi w jej oczach ukrytą prośbę. Jest na świecie całkiem sama. I pewnie wciąż się boi. Czy miała okazję przejść żałobę po bracie Alim? Tym, którego znaleźli na dnie jeziora niedaleko domku Johna.

Kim z początku zamierza zaproponować, że załatwi Fadumie pokój w hotelu, ale w sumie przyda jej się towarzystwo. I rzeczywiście nie pogardziłaby pomocą w kwestii parteru.

Uderza ją pewna myśl. Kiedy zabrano jej nerkę, czuła się, jakby straciła dziecko, zwłaszcza kiedy Nils odszedł. Tak jakby dostał wyłączne prawa rodzicielskie, a to piekielnie niesprawiedliwe.

Faduma może stać się plastrem na tę ranę. Myśl ta nieco ją zawstydza. Wcale nie chce wykorzystywać dziewczyny, ale w pewien sposób obie czerpią od siebie nawzajem.

Faduma bawi się swoimi dredami, patrząc na nią oczami cocker spaniela.

- Dobra, możesz na jakiś czas zostać. Ale na własne ryzyko - mówi Kim i opowiada o wszystkim, co się zdarzyło. O sekcje, milicji, trupach i świńskim łbie leżącym przed schodami.

- Cholera - kwituje to wszystko Faduma. - Załatwimy ich, jeśli wrócą. Okej?

Boksuje się z cieniem i się śmieje. Kim też wybucha śmiechem, ale nie może pozbyć się pewnej myśli i uczucia.

„Albo oni załatwiają nas”. Kim czuje, jak ściska jej się żołądek.

Im bardziej Major zbliża się do swojej życiowej porażki, tym mocniej coś kłuje ją w żołądku.

Stara droga z bali z trudem nadaje się już do jazdy. Kiedy jednak Major dojeżdża do miejsca spotkania, pikap milicji już tam stoi. Na pace siedzi dwóch mięśniaków. Każdy trzyma wycelowany w niebo karabin. Czapki z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne i kamizelki myśliwskie w maskujących kolorach tak, jak nakazuje oklepana moda. Sam szef stoi oparty o maskę samochodu z ramionami skrzyżowanymi na piersi, gdy prowadzony przez Erika rozklekotany ford z trudem pokonuje ostatni kawałek drogi. Silnik krztusi się, a podwozie szoruje po kamieniach.

„Jedynie, co jest bardziej zużyte od tego samochodu, to ja sama” – myśli Major, przyglądając się swoim pomarszczonym rękoma.

– Możesz stanąć tutaj – mówi do Erika, bierze plastikową torbę z lekami i wyskakuje z tylnego siedzenia.

Jak na tę porę roku jest niezwykle spokojnie. Tak jakby góry wstrzymały oddech przed tym spotkaniem.

Major zatrzymuje się dwa metry przed pikapem i nagle zapomina, co miała powiedzieć. Jest tak za każdym razem, kiedy się spotykają. Jakby z wysiłkiem przypominała sobie nie tylko to, kim on jest, ale też to, kim sama jest. Że to ona ma władzę. Jest starsza. Mądrzejsza. Ma po swojej stronie więcej ludzi, chociaż liczebność milicji wydaje się z każdym miesiącem rosnąć.

– Jest tu wszystko z listy? – pyta dowódca, wskazując ruchem głowy na torbę.

To wszystko. Żadnego „Co u ciebie?” czy „Jak się czujesz?”, nic z tych rzeczy. Major wie, że on jest na nią obrażony, ale ile to może trwać? Ona też ma wszelkie powody, żeby się na niego wściekać. A on zawsze wydaje się o tym zapominać.

„W tym przypadku to ode mnie jednak zależy, czy zapomnimy o tym, co się stało”. Major o tym wie. I zupełnie nie jest na to gotowa.

Odchrząkuje.

– Wszystko poza antybiotykami o szerokim spektrum działania. Sami ich potrzebowaliśmy, musisz więc je sobie załatwić inaczej. Słyszałam, że można takie zamówić w sieci jako leki dla zwierząt.

Mężczyzna marszczy brwi, ale wyciąga rękę. Major chowa torbę za plecy.

– Pieniądze i mięso?

Tom wzdycha i wydaje krótki gwizd. Dwóch mężczyzn przeladowuje mięso na jej pakę. Jeden z chłopaków na pikapie zeskakuje i podchodzi do niej z wypchaną niebieską kopertą.

W takich kopertach w normalnych rodzinach wysyła się sobie prezenty. Dowódca milicji bierze ją, otwiera i wkłada do środka rękę. „Ona też jest zniszczona i pomarszczona” – zauważa Major. Żadne z nich nie jest już młode. On ma pięćdziesiąt osiem lat, a ona już prawie siedemdziesiąt cztery.

„A jednak robimy takie rzeczy”. Major wzdycha.

– No to musimy oczywiście skorygować wypłatę – mówi mężczyzna. Wyjmuje plik banknotów i wciska go do tylnej kieszeni, po czym oddaje kopertę chłopakowi, który idzie z nią do Major.

„Nie może nawet sam mi jej dać” – myśli Major i robi jej się smutno, kiedy odbiera pieniądze i przekazuje leki.

– Miałem ostatnio ciekawą wizytę – podejmuje dowódca, przerywając jej myśli. Ton jego głosu się zmienił, co intryguje Major. Od razu pojmuje, o czym mowa.

– Ten nowy gliniarz?

– Dokładnie. Szukał Eddiego Branko. Czy on nie mieszkał kiedyś u ciebie?

Major kiwa głową.

– Tak było. Ale oczywiście gliniarzowi tego nie powiedziałam. W tym Wagnerze jest coś, od czego dostaję gęsiej skórki.

– Pokazał mi zdjęcie. Ktoś mu obciął rękę...

Major się wzdryga.

– W tych górach zawsze czaiło się zło, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Zastanawia się w duchu, czy on kłamie. Czy to tak naprawdę on i jego milicja stoją za tym, co stało się z Eddiem. Może to była jakaś kara?

Tom śmieje się głośno.

– Myślisz, że to górski troll go porwał? – Spluwa na ziemię. – Jedynym groźnym trollem w tych górach jestem ja. Pamiętaj o tym. I nie, nie mamy z nim nic wspólnego. Wiem, co ci chodzi po głowie.

– Muszą to więc być Słońce i Baltazar. Chyba nikt inny?

– Pewnie tak. Czy policja ich też odwiedzi? Czy raczej powinniśmy sami rozprawić się z tymi wariatami? Przypomnieć im, kto tu rządzi? Nie możemy pozwolić na to, żeby gliniarze ciągle do nas wbijali. To niedobre dla biznesu.

Major marszczy nos. On dobrze wie, co ona myśli o jego biznesie.

– Ale... – zaczyna i milknie. Zauważyła, że ostatnio często jej się to zdarza. Chwile zawahania. Może to kwestia wieku. – Czy naprawdę okaleczaliby ludzi? Czy oni nie są podobni do was? Znaczący przygotowują się na koniec świata?

Tom znów się śmieje.

– Pięć sekund po tym, jak odezwą się syreny alarmowe, o ile nie będzie to poniedziałek, będę biegał po mieście w masce przeciwgazowej i krótkich spodniach, z maczetą w ręce. To masz na myśli?

Major uśmiecha się smutno.

– Wiesz, o co mi chodzi. Słońcu i Baltazarowi dawno już odbiło. Ale... morderstwo? Okaleczanie? Takich rzeczy nie możemy tu tolerować. To zła karma.

Mężczyzna rozumie, co chciała przez to powiedzieć, i kiwa głową.

– Wyślę tam paru chłopaków, jeśli glinom nie uda się tego szybko rozwiązać. Bo masz rację: nie możemy tego tolerować.

Major właśnie ma się zebrać na odwagę, żeby zapytać, co poza tym sły-
chać, kiedy mężczyzna odwraca się na pięcie i wskakuje do swojego wozu,
nie mówiąc już ani słowa. Major pozostaje na miejscu z pękatą kopertą
pełną pieniędzy i sercem przepelnionym smutkiem.

Kim szybko sprawdza patrolobywatelski.net, bo zaraz musi jechać do pracy. To wyłącznie zasługa Fadumy. Kiedy Kim obudziła się rano, z kuchni unosił się zapach jedzenia, a kiedy tam poszła, okazało się, że dziewczyna rozpakowała wszystkie kartony z rzeczami, posprzątała, przygotowała jajka na bekonie i ser, i nie wiadomo co jeszcze. Wszystko perfekcyjnie, mimo morza whisky, które jak idiotki wczoraj w siebie wlały.

Skoro wszystko było przygotowane, Kim zyskała trochę czasu, którego zwykle rano jej brakuje. Kiedy zjadły, Faduma kazała jej iść sobie i porobić coś innego, kiedy ona będzie sprzątać. Bo będzie jej przeszkadzać. Faduma zachowuje się jak jej matka, a Kim sama nie wie, czy jej się to podoba, czy nie. Powinno być odwrotnie. Dziewczyna ma rozbrajający uśmiech, który wystarczy, by Kim się roześmiała i by zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić, kiedy tu mieszkam. Jak wyjdiesz do pracy, pójdę na dół i zrobię ci tam miłe gniazdko. Będzie super. No już, spadaj, bitch – mówi, wypychając Kim z kuchni.

– Bitch?! Nazwałaś mnie suką?

– Ołmajgad. Tak, bitch. To może też oznaczać siostrę – wyjaśnia Faduma, a Kim daje się udobruchać. Ani przez chwilę jej nie wierzy, ale i tak się śmieje.

Ma dla siebie pół godziny, które spędza na forum. Kiedy pojawiają się nowe wpisy w wątku, łądują na samej górze, a teraz, kiedy Kim sący poranną kawę i przegląda te najnowsze, nagle traci oddech.

„Ja pierdolę...”

Klika i czyta.

Z trudem oddycha, czyta tekst kilka razy, próbując znaleźć w nim jakieś luki, ale ich nie widzi. Tętno szaleje, Kim ma ochotę krzyczeć. Te informacje wszystko zmieniają.

Bierze z biurka kartkę papieru i zapisuje dwa nazwiska.

To wyjaśnia sprawę Eddiego Branko i Martina Langa, nie ma wątpliwości. Ale... jak ona ma postąpić, żeby nie zdradzić Johnowi, skąd pochodzą te informacje? Bębni paznokciami w biurko. Potem podejmuje decyzję. Drukuje artykuł, do którego podano link. Potem wchodzi na stronę urzędu skarbowego i wpisuje nazwiska.

John się zeszczu, kiedy się o tym dowie.

34

John od dwóch dni nie miał ani jednego ataku i już się zastanawia, który ze wszystkich nowych suplementów diety zadziałał. Mgła mózgowa i migrena bawią się w chowanego dłużej niż zwykle, a on nieustannie w napięciu czeka, aż potworny ból pokaże wreszcie swój paskudny pysk.

Otwierają się kościelne wrota posterunku i wszyscy obecni kierują wzrok w ich stronę, jakby nieruchomiejąc. Kiedy stwierdzają, że to tylko Kim, a nie jakiś szaleniec, wracają do swoich zajęć.

– John – odzywa się Kim scenicznym szeptem i podchodzi do niego szybkim krokiem. – Znalazłam to.

Wagner się uśmiecha. Uwielbia, jak jest taka podniecona, przypomina wtedy Sarę. Od razu pojawiają się wyrzuty sumienia.

– Co takiego?

– Zeszczasz się w gacie.

John się śmieje.

– Co znalazłaś?

– Ziom, nie masz pojęcia.

– Ziom?

– Ech, to przez Fadumę. Wprowadziła się do mnie.

– Co? Faduma? Myślałam, że związała z miasta.

– Olać ją na razie, pogadamy o tym później. Natknęłam się w sieci na niesamowitą rzecz.

Podsłakuje w miejscu, a John wyciąga stopą krzesło, żeby miała na czym usiąść.

– Kim, oddychaj, zanim dostaniesz zawału.

Psycholożka siada i ma wrażenie, że wszystkie słowa chcą jednocześnie wydostać się z jej ust.

- No, słuchaj, googlowałam i znalazłam stronę z mnóstwem rzeczy, które czytałam i czytałam, a w jednym wątku ktoś pisał o December i sekcie i to wszystko wyjaśnia, rozumiesz, i tam, w kilku wierszach, bum!, wszystko wybuchło...

Kim próbuje pokazać rękami, jak eksplodował jej mózg.

- Oddychaj głęboko - mówi John, chwytając ją za ręce. - Po kolei, okej?

- Okej - godzi się psycholożka, ale wciąż podskakuje na krześle, nieco urażona.

- Sekta? - pyta John, a ona potwierdza skinieniem głowy.

- Słońce i Baltazar. Mnóstwo lat temu mieli inną setkę w Skanii. W Höör.

- Okej, chyba nic w tym dziwnego.

- Nie, jeśli w ogóle uważa się sektę za coś normalnego. - Kim wznosi oczy do nieba.

- Rozumiesz, co mam na myśli.

- Policja znalazła w Höör trupa. Jednego z ich członków, ale nie dało się powiązać z tym morderstwem Słońca ani Baltazara.

- No i...?

- Trup, ofiara, nie miała stóp. Obcięte. Rozumiesz, a to nie wszystko...

Przerywa. John czuje łaskotanie w brzuchu.

Wydaje się taka ożywiona, a on przypomina sobie, jakie to uczucie, znaleźć trop, jak adrenalina krąży po całym ciele. Prawie jej zazdrości. Jednocześnie wie, że na koniec wiele tropów ląduje w koszu.

Kim uśmiecha się i nic nie mówi. Odchyła się do tyłu, jakby wygrała w lotto. Robi ręką gest zwycięstwa.

- No daj już spokój, opowiadaj. - John pochyla się do przodu.

Kim robi to samo i rozgląda się dookoła, jakby właśnie miała mu zdradzić jakąś wielką tajemnicę. Wyjmuje z tylnej kieszeni złożoną kartkę i podaje mu.

- Zeszczasz-się-w-gacie - szepcze, kiedy John ją rozwija.

Są tam dwa nazwiska. Felicia Svensson i Björn Andersson. John unosi brwi, nic nie rozumiejąc. Patrzy na nią pytająco.

– To prawdziwe nazwiska Słońca i Baltazara. I słuchaj. Kiedy Słońce była nastolatką, zgwałcił ją Martin Lang. Nie zamknęli go z braku dowodów. To już są dwa powiązania. To na pewno sekta okaleczyła Eddiego Branko.

– Kto to jest Martin Lang?

– Jedna z osób, które zginęły tu w mieście.

John powoli przyswaja informacje.

– Gdzie to wszystko znalazłaś?

– Na Flashbacku, ale to nieważne. To sekta, to Słońce i Baltazar. Musimy zrobić na nich nalot.

John obraca w palcach kartkę. Czyta nazwiska. Żaden prokurator na świecie nie da nakazu przeszukania na podstawie czegoś, co ktoś napisał na Flashbacku.

– Muszę najpierw to wszystko sprawdzić. Zobaczyć, czy się zgadza.

– Już sprawdziłam, wszystko pasuje.

Podaje mu dwie kolejne kartki. Wydruki z urzędu skarbowego. Potwierdzają to, co powiedziała, ale John musi sam to zbadać zgodnie z procedurami, zanim cokolwiek wyśle do prokuratora.

Jeśli jednak Kim ma rację, to właśnie tego poszukiwali.

35

Słońce z początku ma ochotę wywalić Franka na zbity pysk. Co on sobie wyobraża? Wysiada szybko z samochodu i podbiega do Anny. Złość jednak zmienia się w zaciekawienie, kiedy chłopak mówi coś do siostry, a ona patrzy z przerażeniem na Słońce.

Frank nie śmie spojrzeć jej w oczy. Szybko wraca do auta i znika, zanim ona zdąży powiedzieć mu kilka mocnych słów. Gdyby zauważył go Baltazar, zapanowałby tu sajgon.

Anna, siostra Franka, kłania się Słońcu. Składa ręce, jakby je myła.

– Gadaj, czego chciał?

– Jedzie tu policja. Mają nakaz przeszukania. Przyjechał, żeby mnie... nas... ostrzec.

Słońce czuje, jak skacze jej puls. Patrzy w stronę stajni.

– Boże mój – mówi i przesuwa wzrok na drogę prowadzącą na ich teren. – Zbierz kilka osób i zatrzymajcie ich, kiedy się pojawiają.

– Jak?

– Po prostu stójcie na drodze i się nie ruszajcie. Potrzebujemy czasu.

Anna kiwa głową, a Słońce biegnie do domu. Chce jej się krzyczyć ze złości.

„Skąd wiedzą?”

Musieli jakoś znaleźć trop albo ktoś od nich się wygadał.

Kiedy wchodzi do sypialni, leży tam Baltazar z dwiema kobietami, tymi, które nazywają ładacznicami Jezusa. Uśmiecha się do niej.

– Chodź, kochanie, zabaw się z nami.

– Idiota – syczy Słońce. – Jedzie tu policja.

– No i? Nic na nas nie mają.

– Zrobią tu nalot, coś spieprzyłś. Nie wiem jak, ale udało ci się coś spieprzyć. Zakładaj ciuchy, do cholery – krzyczy, rzucając w niego ubra-

niem.

Znów to samo, co było w Höör. Baltazar rucha panienki, kiedy cały ich świat się wali. Słońce go kocha, ale on czasem jakby przebywał w zupełnie innym wszechświecie.

Kobiety zeskakują z łóżka i się ubierają.

– Musimy pozbyć się niewolników. Wy dwie, poinformujcie wszystkich. Trzeba zlikwidować wszystko, co można powiązać z komunią – rozkazuje Słońce, kiedy Baltazar mamrocze jakieś przekleństwa i się ubiera.

– Jesteś pewna? – pyta.

– Jasne, że jestem pewna. Był tu Frank i wszystko powiedział.

– Frank? – W głosie Baltazara słychać gniew. – Przecież jest wygnany.

Słońce chwyta Baltazara za podbródek. Patrzy mu prosto w oczy.

– Powinieneś być mu wdzięczny. Rozumiesz? Powinieneś być wdzięczny i dopilnować, żeby niewolnicy za chwilę znaleźli się daleko stąd.

Baltazar chwyta ją za nadgarstek.

– Musisz...

– Nie, Baltazar. To ty musisz robić to, co mówię. Nie zamierzam się stąd wynosić i nie zamierzam wyłądownać w więzieniu. Rób, co mówię.

Mężczyzna odpycha jej rękę, ale wydaje się pojmować, że ona ma rację. Wychodzi z sypialni i wydaje rozkazy kilku mężczyznom czekającym przed domem.

Słońce siada na łóżku. Patrzy przez okno, czując w powietrzu zapach seksu.

Musi się zastanowić i szybko wpaść na jakiś pomysł. Rozwiązanie zapewniające, że ich nie zamkną. Wszystko zależy od tego, czy uda im się usunąć niewolników i wyczyścić całe DNA z boksów. Pozbyć się łańcuchów, krwi i wszystkich innych rzeczy, które mogłyby ich obciążać.

Sklada ręce i zamyka oczy. Modli się o siebie i całą społeczność, prosi o radę. Analizuje wszystko, co może doprowadzić do ich zguby.

Jest w tym dobra. Siedzi przez dwie minuty, po czym wstaje i rusza w kierunku stajni.

Czasu jest mało i Słońce ma nadzieję, że zdążą, zanim tamci przyjadą.

Ze stajni wybiega trzech mężczyzn, wlokąc kobietę, która przeklina i wrzeszczy na nich. Ciągają ją do lasu, wszędzie panuje chaos, gdy Słońce nagle przypomina sobie, co znajduje się pod stajnią.

Jeśli ten gliniarz to znajdzie, zabije ich wszystkich.

John czuje, jak z podniecenia mrowi go całe ciało. To, co przyniosła Kim, potwierdziło się, nie było więc problemu z przekonaniem prokuratora, żeby wystawił nakaz przeszukania. Zebranie wszystkich zajęło tylko dwie godziny, a teraz jadą trzema samochodami drogą, która wiedzie przez las. Zabrali nawet Jimmy'ego i Bultena. Jedzie prawie cały posterunek, nie ma tylko Franka. Chwilę temu potwierdził jednak, że jest w drodze. Mona wciąż jest w Norwegii.

Pięciu policjantów i pies to niezbyt wiele, ale na tę chwilę musi wystarczyć. John zastanawiał się przez moment, czy zgłosić specjalne zdarzenie, co powinno zapewnić im posiłki z innych okręgów, ale po telefonicznej naradzie z Moną postanowili, że ważniejszy jest pośpiech niż liczba ludzi. Czekanie na posiłki mogłoby oznaczać stratę cennego czasu.

Kim nie była zachwycona, że nie zabrali jej ze sobą, ale choćby John chciał, Mona nigdy by na to nie pozwoliła. Nie w przypadku nalotu.

John zapina kamizelkę kuloodporną i spogląda na Vallego, który prowadzi samochód pod górę ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

W samochodzie niemal czuć zapach adrenaliny.

– Pieprzone, zwariowane, cholerne jezusowe świry – mamrocze Valle, skręcając na ostatnią prostą prowadzącą do dwóch słupów. Nagle wciska hamulec.

– Cholera!

John musi oprzeć się o deskę rozdzielczą, a za nimi równie gwałtownie hamuje Axel Luo.

– Co, do chuja?

John patrzy przez przednią szybę na ludzki mur. Dziesięć ubranych na czerwono osób stojących przed wjazdem. Spokojnie i cicho. John wzdyga się, ich oczy są martwe i jednocześnie wściekłe. Fanatycy, John widział już

takich kilka razy w Sztokholmie, kiedy aresztował terrorystów. Mają w oczach jakiś żar, poradzenie sobie z nimi nie będzie łatwe.

Wzdycha i wyskakuje z samochodu.

– Zapewniam was, że nie chcecie tego robić – mówi, pokazując im w telefonie postanowienie prokuratora. – Mamy pozwolenie na wejście i przeszukanie całego terenu.

Rozgląda się za Słońcem i Baltazarem, ale ich tu nie ma.

Za nim z samochodu Axela wypada Juliette.

– Przesuńcie się! – wrzeszczy. – Utrudniacie postępowanie!

John mimo napiętej sytuacji nie może powstrzymać uśmiechu. Ludzie przed wjazdem nie wykonują żadnego ruchu.

– Co mamy zrobić z tymi cofniętymi kurwami? – pyta Axel Luo, stając obok Johna.

Na końcu szeregu aut pojawia się Jimmy i zakłada smycz Bultenowi. Pies, który ożywia się, kiedy pozwalają mu pracować, wyrywa się w stronę zbiegowiska, szczekając wniebogłosy. Kilku członków sekty cofa się o krok.

John idzie wzdłuż szeregu ludzi z podniesionym telefonem.

– Odsuńcie się, widzicie tutaj postanowienie prokuratora.

– Prokurator – prychnął jeden z mężczyzn. – Wiedziałeś, że to dawna nazwa Szatana? Nie podlegamy twoim władzom. Odpowiadamy tylko przed bogami.

– To się może zgadzać, kiedy znajdziecie się w przyszłym życiu – mówi spokojnie John, zadowolony, że nie dręczy go dziś ból głowy. – Ale w tym życiu te same prawa obowiązują i ciebie, i mnie. Albo sami się odsuniecie, albo my was odsuniemy. Ale wtedy wszyscy wylądujecie w areszcie. Zrozumiano? Macie dwie minuty na przedyskutowanie tego, a potem was zabieramy. Wszystkich. Dla nas to pikuś.

John macha do kolegów, nakazując im wracać do samochodów. Wszyscy robią, co do nich należy. A potem czekają.

Na drodze przed nimi ludzie niespokojnie rozmawiają.

– Co zrobimy, jeśli się nie odsuną? – pyta Valle. – Nie możemy ich przecież wszystkich zgarnąć, dobrze wiesz.

Juliette strzela dwa razy w powietrze i nagle okazuje się, że bycie członkiem sekty już nie jest takie fajne.

John właśnie ma odpowiedzieć Vallemu, gdy jedna z kobiet schodzi z drogi. Potem kolejna. Jeden z mężczyzn coś do nich woła. Odsuwa się kolejna osoba. Valle wykorzystuje sytuację i powoli jedzie w stronę powstałej luki, a kiedy jest już bardzo blisko, reszta blokujących przejazd przesuwa się na boki. Nikt nie chce zostać przejechany.

John opuszcza szybę po swojej stronie.

– Mądra decyzja – woła, po czym cała karawana wjeżdża do górskiego miasteczka sekty Ludu Świątyni Słońca.

Idący między drzewami Tom O'Connor, słysząc dwa odgłosy strzałów, podnosi zaciśniętą pięść i czterech idących za nim uzbrojonych mężczyzn się zatrzymuje.

„Co tu się, do chuja, dzieje?”

Patrzy przez celownik swojego karabinu na scenę rozgrywającą się nieco dalej w lesie na wzgórzu. Gliniarze zmobilizowali chyba całą artylerię. I bardzo dobrze. Po rozmowie z Major Tom zrozumiał, że to on musi uspokoić sektę, teraz jednak wydaje się, że nie będzie to konieczne. Znakomicie. Sygnalizuje, obracając dłonią w powietrzu, że muszą zawrócić, kiedy odzywa się jego komórka.

– Tak? – pyta, gdy ruszają, oddalając się od gospodarstwa sekty.

– Słuchaj, mam wiadomość, z którą nie wiem, co zrobić – mówi jeden z jego najbardziej lojalnych strażników.

– Dobra – wzdycha Tom, przeciągając ręką po twarzy. Kiedy będzie miał choć jedną spokojną chwilę? – Mów.

– Pamiętasz tę babę, której szukaliśmy, tę powiazaną z Lwami Afryki, chciałeś ją przesłuchać?

– No i?

– Ktoś ją widział w mieście. Wygląda na to, że mieszka u tej psychołóżki.

Tom czuje dokładnie to samo, co jego podwładny. Jest to informacja. Może być ważna. Nie wiadomo jednak, na ile ważna. A on nie wie też, co ma z nią zrobić. Ale mieć informację jest zawsze lepiej, niż jej nie mieć.

– Okej – odpowiada. – Dzięki. Musisz z nią porozmawiać i dowiedzieć się, co wie o Lwach i ich planach. Dobrze, że zadzwoniłeś.

„Spokojna chwila” – myśli, wskakując do samochodu i ruszając pędem w stronę własnego obozu. „Tylko tego mi potrzeba. Jednej, jedynej, ma-

leńkiej chwili spokoju...”

Kiedy radiowozy wjeżdżają na podwórze, John zauważa kilka osób znikających w domach lub biegnących prosto do lasu. Pierzchają jak szczury.

Auta parkują przed białym domem. Teraz okolica jest dziwnie spokojna. Wszystko jednak wskazuje na to, że jeszcze przed chwilą wyglądało to zupełnie inaczej. Na ziemi leżą papiery, a z jednej z beczek wydobywają się płomienie.

„Niszczą dowody. Niech to szlag. To po to załatwili sobie więcej czasu, stawiając ludzki mur” – myśli John, wyskakujący z samochodu i rozglądając się gorączkowo dookoła.

Wiatr zmienia kierunek i dmucha gryzącym dymem w stronę Johna i pozostałych. Juliette szybko podbiega, przewraca kopniakiem beczkę i stopą obsypuje ją piaskiem i żwirem, żeby zgasić ogień.

Zbierają się na środku podwórza i John wydaje instrukcje. Juliette ma sprawdzić biały budynek, który wydaje się biurem. Axel i Valle mają przetrząsnąć budynki mieszkalne, a Jimmy i Bulten obejść teren dookoła. John sam chce zajrzeć do największego obiektu, który, o ile John wie cokolwiek o sektach, powinien być domem Słońca i Baltazara.

– Czysto! – woła Juliette po sprawdzeniu każdego pomieszczenia.

Ta baba powinna pracować w brygadzie antyterrorystycznej. Wypada z domu z bronią w gotowości i już rusza do następnego budynku. Co za tornado!

„Zbyt impulsywna i bezmyślna” – myśli John.

– Jak skończymy z resztą, zabierzemy się za budynek kościoła. A potem pozostałe obiekty. Musimy...

Przerywa mu straszliwy ryk. Ktoś cierpi. Cierpi tak bardzo, jakby za chwilę miał umrzeć. Juliette rusza w tamtą stronę z bronią skierowaną w górę.

- To po drugiej stronie stajni - mówi.

Plan, który John właśnie wymyślił, musi poczekać. Wszyscy wyciągają broń.

- Policja! - woła John z całych sił. Wszyscy biegną w kierunku stajni.

Na ziemi za budynkiem leży mężczyzna pozbawiony rąk i nóg. Tułów z głową i to wszystko. Najgorsze jest to, że żyje. Oczy, które powoli mrużają, krew ciekąca z niestarannie zszytej rany, tam, gdzie powinno być ramię. Próbuje coś powiedzieć, ale jest zbyt słaby. Z ust wydobywa się tylko cichy syk.

Valle siada obok niego. Uciska ranę.

– Zadzwoń po karetkę! – krzyczy, gdy Juliette stoi bez ruchu jak posąg. Nie może oderwać wzroku od okaleczonego ciała.

– Motherfucker – mówi cicho.

Kiedy podchodzi do nich Axel, rozkłada ręce.

– Co jest z tymi ekstremistami? Ktoś powinien wepchnąć im wszystkim w dupę drewniane wiadro. Kurwa mać, mam zawał mózgu.

John obraca się, wewnętrzne przecucie każe mu wejść do budynku stajni. Otwiera boczne drzwi. Pierwszą rzeczą, która niemal zwała go z nóg, jest smród. Mocz, pot, strach, chlor i coś zgnięłego wdzierają mu się do nosa jak odrażająca zupa.

Zakrywa ręką usta, tak jakby to mogło pomóc. Kiedy wchodzi do środka, budynek wygląda jak każda inna stajnia, nie licząc dwóch boksów pod jedną ze ścian. Mają kraty i wyglądają jak więzienne cele. Ktoś poświęcił dużo czasu i wysiłku, żeby ze zwykłych końskich boksów zrobić... więzienie. John nie potrafi znaleźć lepszego słowa. To po prostu cele. Dla ludzi, nie dla koni.

John otwiera jeden boks i zauważa w jednym narożniku wiadro. Betonowa posadzka jest mokra i śmierdzi chlorem. Próbowali usunąć ślady DNA, ale nie zdążyli tego porządnie zrobić. Poza tym to częsty błąd – zakładając, że szorowanie chlorem wystarczy, by uniemożliwić policji zabezpieczenie śladów. To jest utrudnienie, oczywiście, ale dzisiejsza technologia daje nieograniczone możliwości. Znacznie większe, niż wyobrażają so-

bie widzowie seriali kryminalnych. „I bardzo dobrze” – myśli John. Im bardziej filmy zgadzają się z rzeczywistością, tym więcej mogliby się nauczyć przestępcy. Dzięki idiotycznym serialom ludzie próbują na przykład niszczyć ciała przy użyciu kwasu, podczas gdy znacznie lepiej spisują się substancje zasadowe.

Jego oczy zaczęły przyzwyczajać się do mroku, a smród nie jest już tak potworny, gdy drzwi do stajni stoją otwarte na oścież. John robi krok do środka jednego z boksów. Stoi tam metalowa kropłówka. Z dwóch torebek, które wyglądają na puste, zwisają wężyki.

„Co to za pieprzone świry?”

Wycie syren jest coraz głośniejsze.

John cofa się, żeby się rozejrzeć. W tych boksach więziono dwie lub więcej osób. Jeden z tych nieszczęśników leży na zewnątrz, a na podstawie tego, jak wygląda, nie ma wątpliwości, że to stąd musiał uciec Eddie Branko. Ale gdzie jest reszta?

John podejrzewa, że ludzie niosący kadłubek spanikowali i porzucili go, kiedy zaczął wrzeszczeć. Potem uciekli do lasu. Pytanie tylko, dlaczego więzili tych ludzi i dlaczego ich okaleczali.

John z początku tego nie pojmuje, nie może zrozumieć, po co obcinali ludziom ręce i nogi, utrzymując ich jednocześnie przy życiu. Przy kalendarzy zauważa krzyż i słońce, złożone razem w symbol być może charakteryzujący sektę. Johna powinno dziwić, jak wielkie zło może tkwić w ludziach, ale tak nie jest. Nic już go nie dziwi.

Dźwięk syren na zewnątrz niemal ogłusza, John słyszy krzyczących ludzi.

Wychodzi ze stajni. Na podwórzu Jimmy i Bulten razem z Juliette zebrali kilku członków sekty. Dwoje z nich to Słońce i Baltazar.

Słońce chodzi od jednego do drugiego i szepcze im coś do ucha. Kiedy Juliette chwyta ją, żeby to przerwać, Baltazar próbuje wymierzyć jej prawy prosty, ale Juliette uchyla się i wali go w splot słoneczny, aż on się zwija wpool. John zauważa błysk w jej oczach. Podoba jej się to. „Może trochę za bardzo” – myśli John. W tej dziewczynie jest jakiś mrok, którego źródła John nie potrafi wskazać.

Bulten szczeka i łapie próbującego uciec jednego z członków sekty.

Axel Luo pojawia się z dwoma innymi, których trzyma za kark i wpycha do grupy.

– Stać spokojnie! – wrzeszczy do jednego z nich, sprawiającego wrażenie, jakby chciał puścić się biegiem w stronę skraju lasu. – Inaczej rozkwaszę ci nos.

Ambulans zawraca i odjeżdża, zabierając ze sobą ludzki kadłubek.

Juliette i Axel prowadzą kilku członków sekty do jednego z radiowozów. Nie mają kajdanek dla wszystkich.

– Kurwa mać – mówi Valle, stając koło Johna.

– Tak jest, kurwa mać. Żyje?

– Ledwo, wątpię, czy wytrzyma do szpitala. Biedny Martin.

– Martin Lang? – pyta John i myśli o Kim.

– Tak, zaginął jakiś czas temu. Musieli go tu trzymać przez kilka tygodni. A może i miesiący. Patrz, co znalazłem.

John ogląda to, co pokazuje mu kolega. Miskę z krwią na dnie i przepiękny puchar.

– Komunia – mówi John i dostaje dreszczy, kiedy nagle pojmuje.

– Co masz na myśli?

– Oni go zjedli. Używali jego mięsa i krwi jako komunii.

– Żartujesz?

– Nie. Jebani kanibale.

Kiedy radiowóz odjeżdża z zatrzymanymi, Juliette i Jimmy znikają w lesie razem z Bultenem, żeby szukać kolejnych, John wie jednak, że niektórych nigdy nie uda im się znaleźć. Najważniejsze, że dorwali Słońce i Baltazara. Długo posiedzą w więzieniu.

– Chodź, Valle. Czas się tu pokręcić i pozbierać dowody.

„Jestem pieprzonym królem”.

Faduma ściera pot z czoła i czuje wielkie zadowolenie. Udało jej się rozpakować prawie wszystkie kartony i pobawiła się w dekoratorkę wewnątrz. Część rzeczy Kim włożyła do innej paczki, bo nigdzie nie pasowały.

Zawiesiła jej obrazy, ustawiła na półce książki o psychologii, a teraz stoi, opierając ręce na biodrach, i podziwia swoje arcydzieło.

Wystarczy odkurzyć, a potem będzie mogła odpocząć, zapalić blanta i wziąć prysznic.

Bardzo lubi Kim, ta kobieta jest strasznie piękna jak na swój wiek. Zawsze była miła dla Fadumy, za co należy jej się uznanie. Prawda jest taka, że Kim praktycznie uratowała jej życie, pozwalając jej tu pomieszkać. Po tym, jak umarł jej brat, a Lwy Afryki chciały ją zabić, czuła się w Sztokholmie obco. Tęskniła za December, mimo że przez całe życie chciała się stąd wyrwać.

Musi...

Słyszy głośny brzęk. Tak jakby stłukło się okno na parterze.

Dziewczyzna sztywnieje. Nikt poza Kim nie wie, że ona tu jest. Może ktoś ją zobaczył? Może Kim wygadała?

Faduma idzie szybkim krokiem do kuchni, gdy coś na dole się przewraca. Serce zaczyna jej bić szybciej. Wyciąga kuchenny nóż i trzyma go przed sobą. Podchodzi powoli do schodów prowadzących na parter i skrada się jak najciszej, podczas gdy wszystko w jej wnętrzu głośno krzyczy. Coś takiego można jednak przetrwać tylko w jeden sposób – przestraszyć intruza. Uderzać mocniej. Zaatakować wcześniej.

– Pochlastam cię! – krzyczy, gdy dociera na dół, ale w odpowiedzi słyszy tylko głośny śmiech.

W drzwiach na końcu korytarza pojawia się mężczyzna w kominiarce. Jest dwa razy większy od Fadumy. Ma czarną bluzę i wojskowe spodnie.

– Kici, kici – mówi, a Fadumę przechodzi dreszcz.

Na prawo od niej pojawia się znieńacka kolejny facet, który mógłby być bliźniakiem pierwszego. To samo ubranie, ten sam rozmiar.

Faduma jest przygotowana. Mężczyźni patrzą na jej nóż. Kiedy dziewczyna rzuca się na intruza stojącego na prawo od niej, ten drugi chwyt ją za ramię. Faduma kopie go w goleń, a on ryczy z bólu.

– Złap ją, do chuja! – krzyczy ten drugi.

– Posiekam was na kawałki! – wrzeszczy Faduma z obłędem w oczach.

Połowa sukcesu w bójce to zmuszenie przeciwników do wahania. Muszą uznać, że jest stuknięta.

Znów zamierza się nożem i na ostrzu pojawia się krew. Jeden z wielkociałów chwyt ją za rękę, z której cieknie czerwony strumyk.

– Ostrzegałam – tyle udaje jej się powiedzieć, zanim pierwszy napastnik podcina jej nogi tak, aż upada na plecy.

Zbliżają się do niej szybko, jeden z nich jest wyposażony w teleskopową pałkę.

„Mam przejebane!”

Mózg Kim działa na najwyższych obrotach. Widziała ich. Dwóch wielkich kolesi, którzy chodzili po jej werandzie. Jeden wybił szybę w drzwiach i obaj weszli do środka. A tam jest Faduma.

Telefon przy uchu Kim nieustannie dzwoni, ale John nie odbiera. Wybiera numer Juliette, podchodząc jednocześnie bliżej, ale i ona nie odpowiada. Wtedy Kim sobie przypomina. Wszyscy są w górach.

Kurwa.

Co robić? Dzwonienie na sto dwanaście nic nie da. Bo nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby pospieszyć jej z pomocą. Wołać sąsiadów? Może to wystarczy, jeśli to zwykłe włamanie? Może to ich wystraszy?

Tylko że oni nie wyglądali na zwykłych włamywaczy.

Ci faceci byli zamaskowani, ubrani w moro i byli wielcy jak goryle. Może to ci, o których Faduma mówiła wieczorem? Ten gang ze Sztokholmu, który po nią przyjechał?

Kim wyjmuje z kieszeni klucz do domu i wciska go między palce. Przeklina samą siebie, że nie kupiła gazu pieprzowego i kastetu, które tyle razy oglądała w sieci.

„Jakie ja mam, kurwa, szanse przeciwko tym górom mięsa?”

W tym momencie słyszczyć krzyk Fadumy. Kim nie ma czasu na myślenie i nie zdając sobie sprawy, że już podjęła decyzję, rusza do przodu.

– Stój! Puść ją! – krzyczy, wbiegając przez drzwi.

Jeden z napastników jest tak zaskoczony, że podskakuje i obraca się w miejscu. Drugi, ten, który stoi pochylony nad leżącą na podłodze Fadumą, nie może się powstrzymać i sprawdza, co się dzieje. Gdy pierwszy zbliża się do Kim, ta zauważa coś błyszczącego w ręce Fadumy. Potem słyszczyć krzyk stojącego nad nią mężczyzny.

– Kurwa mać! Ta dziwka mnie dźgnęła!

Napastnik biegnący w stronę Kim staje. Odwraca się w stronę swojego kumpla, który jęcząc, przyciska ręce do brzucha.

– Ja pierdolę – mamrocze. – Chłasnęła mnie.

Kim skacze do przodu i wali z całej siły w kark bliższego bandyty. Kluczem do domu. Nadgarstek się jej wykręca, ale niewątpliwie trafiła. Facet kuli się i chwyta za kark. Kim kopie go między nogi.

Tamten trzyma się jedną ręką za krocze, a drugą za kark, jęcząc głośno.

Faduma podrywa się na nogi i dźga nożem powietrze przed sobą.

– Chcecie umrzeć? – syczy, wyglądając jak szalona kapłanka wudu, z potem ściekającym z czoła i dreadami latającymi dookoła głowy.

– Ja... ta pieprzona ździra sprzedała mi kosę.

Facet chwieje się na nogach. Ten drugi, którego Kim dźgnęła w kark, rzuca się do przodu i zanim Kim zdąży powiedzieć choć słowo, obaj znikają za drzwiami.

Z oczu Fadumy strumieniami płyną łzy, upuszcza nóż na podłogę, a jednak wciąż krzyczy za nimi:

– I nawet nie myślcie, żeby tu wracać, bo was załatwię!

John idzie do jednego z pokoi przesłuchań, przed którym czeka Słońce ze swoim adwokatem, nie chcąc powiedzieć ani słowa. Przed drugim pomieszczeniem siedzi Baltazar i robi to samo.

Oboje trzymają gęby na kłódkę.

W areszcie cisną się członkowie sekty. Nie jest to najlepsze rozwiązanie, bo mogą ze sobą rozmawiać, ale co począć, gdy ma się tak mało miejsca?

Jimmy pilnuje ich i słucha wszystkiego, co do siebie mówią, nic lepszego nie można zrobić. Najważniejsze, że udało im się oddzielić Słońce i Baltazara zarówno od siebie, jak i od reszty tych idiotów. John ma jednak nieprzyjemne poczucie, że już zdążyli się zmówić.

Jednocześnie nie daje mu spokoju inna sprawa.

„Skąd, do cholery, wiedzieli, że jedziemy?”

Zatrzymuje się i patrzy na Słońce. To, co mu nie daje spokoju, teraz uwiera go jeszcze mocniej. W końcu dostanie ran na mózgu.

Przed bramą stał ludzki mur. Oznacza to, że ktoś poinformował sektę o zbliżającej się policji. John spogląda na Franka, który siedząc przy komputerze, wydaje się błądy. Jedna z siedzących w areszcie kobiet jest chyba jego siostrą, nie ma się w sumie co dziwić, ale jednak...

Otwierają się drzwi i wchodzi mężczyzna z łukiem. Na ramionach ma pełno wytatuowanych symboli i liter. Trzyma łuk nad głową i patrzy prosto na Johna, po czym zauważa Słońce i Baltazara.

– Rzuć broń! – ryczy Juliette, która zdążyła już wyciągnąć pistolet.

Mężczyzna zatrzymuje się i kładzie ostrożnie na podłodze łuk razem z kołczanem.

„Co za zjebany” – myśli John, zauważając jednocześnie, jak Słońce uśmiecha się krzywo.

Mężczyzna podnosi wysoko ręce i robi dwa kroki do tyłu od łuku. Juliette celuje w niego. Rozkazuje mu uklęknąć i staje za jego plecami.

Łucznik nie spuszcza wzroku ze Słońca. Ona kiwa mu z zadowoleniem głową, a na jego twarzy pojawia się spokój.

Kiedy Juliette zakłada mu kajdanki, odwraca się w stronę Johna.

– Przyszedłem, żeby się przyznać. To ja okaleczyłem cię. To ja strzelałem do Eddiego Branko.

Frank, jeśli to możliwe, robi się jeszcze bledszy, a John przeklina w duchu. Juliette potrząsa głową, Valle stoi z otwartymi ustami.

Juliette podnosi mężczyznę, John podchodzi do nich.

– Dlaczego to robisz? Chcesz ich chronić? Nic dla nich nie znaczysz, nie rozumiesz tego?

– Żądam adwokata – mówi mężczyzna, uśmiechając się do Johna. – Ale biorę wszystko na siebie.

– Jasne – stwierdza John i już go ma uderzyć, ale powstrzymuje go Axel.

John wzdycha, kiedy otwierają się zewnętrzne drzwi posterunku, wypuszczając do środka wiatr i Kim wyglądającą, jakby stoczyła walkę z tornado.

– John! – woła od razu. Za nią wchodzi Faduma.

Cholera.

Coś się stało, nie ma wątpliwości.

Mózg Johna, który na cały dzień się przyczaił, ma już dość i eksploduje potworną migreną.

– Kim? Co się stało?

– Musisz ich złapać. Przyszli do mnie do domu! Faduma dźgnęła jednego z nich. Chcieli ją zabić albo porwać, albo...

John patrzy nad jej ramieniem.

– Teraz? Znaczy dokładnie teraz? W twoim domu?

Podchodzi do niej, chce ją przytulić i sprawdzić, czy nic jej nie jest, ale się powstrzymuje.

– Z tobą wszystko w porządku?

- Tak! - potwierdza Kim.

- Zrobiliśmy rozpierduchę, facet - mówi Faduma i przybija z Kim piątkę.

- Potworna historia. Przyszli po Fadumę, nie po mnie.

Kim drży lekko i wciąż ścisła swoją broń między palcami. John bierze jej dłoń i otwiera ją. Widzi krew i macha do Vallego, który od razu rozumie. Zakłada lateksową rękawiczkę i zabiera jej klucz. Wrzuca go do brązowej torebki i rusza po łuk.

Wraca Juliette po zamknięciu łucznika w celi. John kiwa do niej głową.

- Chodź ze mną - mówi. - Musimy zgarnąć kolejnych drani.

Tym razem John jest wdzięczny, że ta Libanka jest tym, kim jest, bo Juliette nie waha się ani chwili.

Kiedy Kim wchodzi za Johnem i Juliette do własnego domu, ma mieszane uczucia. Najpierw świński łeb, a potem ten napad. Nie czuje się już tu bezpieczna, mimo że mieszka z nią Faduma.

– Musisz mieć kratę w drzwiach i kamery monitoringu, tutaj – mówi Juliette, wskazując palcem – i tam. Znam jednego faceta, mój kuzyn może ci to załatwić. Dostaniesz rabat.

– Okej.

Kim kryje się za plecami Johna, podczas gdy Faduma wchodzi do środka jak do siebie.

Psycholożka chciałaby być taka jak Juliette i Faduma. Są twarde i zdecydowane.

– Trzeba wam było widzieć Kim. Wpadła tu i skopała im dupy.

– Co? Nie... – protestuje Kim, uznając, że Faduma przesadza.

– Powinnaś być ostrożniejsza – odzywa się John, a Faduma wzdycha.

– Ziom, wtedy już bym nie żyła. Przestań odgrywać takiego macho.

Kim dała czadu.

John kiwa głową.

– Masz rację. Przepraszam, Kim. Jesteś odważna.

„Na pewno?” – myśli psycholożka, zauważając, że zarówno Faduma, jak i Juliette patrzą na nią z podziwem. No dobrze. Rzeczywiście, skopała dupę, kark i fiuta.

Juliette schyla się i podnosi z podłogi zakrwawiony nóż. Wkłada go do brązowej torby i kładzie na sklepowej ladzie.

– Jak wyglądali? – pyta John.

– Byli zamaskowani, ale to Szwedzi. Na sto procent.

– A więc nie są z Lwów Afryki?

John chodzi po domu. Upewnia się, czy żaden z nich nie wrócił.

– Nie, zapomnij. Żaden Somalijczyk nie paraduje w wojskowych portkach. Tylko w Gucci – uśmiecha się Faduma, idąc za nim.

– Zadzwoń do kuzyna – mówi Juliette, a Kim ma poczucie, że nad nim tu nie panuje.

Po skończeniu swojej rundy John robi to, co powinien był zrobić już na posterunku. Przyciąga do siebie Kim. Ścisną ją mocno. Od wtulenia się w jego ramiona robi jej się ciepło w piersi, nie ma teraz siły z tym walczyć. Mięknie. Wciąga w płuca jego zapach i z wdzięcznością przyjmuje troskę.

– Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło – mówi John, a Kim kiwa głową. – Znajdziemy ich. Kiedy tylko sprawdzimy odciski palców i całą resztę, mogę prawie zagwarantować, że ich złapiemy. Ale na razie załatwię wam ochronę. Porozmawiam z Moną, żeby postawiła tu strażnika. Przynajmniej do czasu, aż kuzyn Juliette wszystko zainstaluje. Przyjdzie tu Vallle i zabezpieczy ślady przy drzwiach. Dobrze?

Kim kiwa głową, gdy odzywa się telefon Johna. To René. John ją puszcza.

Kiedy kończy rozmowę, wygląda na niezadowolonego.

– Złe wieści? – pyta Kim.

– Tak, jak zwykle. Martin Lang nie żyje.

– Co? Znaleźliście go?

– U sekty. Nie miał rąk ani nóg, prawdopodobnie tak samo skończyłby Eddie Branko, gdyby nie udało mu się uciec – mówi John, a kiedy dzieli się z nią swoimi podejrzeniami na temat komunii, Kim robi się niedobrze.

– Ja pierdolę – mówi i siada. – W takim razie przymkną ich za morderstwo.

– Nie byłbym tego taki pewien. Trzeba by jeszcze udowodnić w sądzie ponad wszelką wątpliwość, kto trzymał nóż. I kto uprawiał kanibalizm. Nie jest to taka prosta sprawa. Poza tym na posterunek przyszedł jakiś facet i wziął na siebie całą winę.

Kim wzdycha ciężko. Chce opowiedzieć o tym wszystkim na forum. Gdy sprawę podłapią media, December znów pojawi się w wiadomościach. Claire zupełnie odbije. Całe December dogłębnie się zmieni. Naj-

pierw Lwy Afryki, potem Antonio, który wziął zakładników w hucie, a teraz to. Do tego wszystkiego te kobiety zamordowane przez własnych mężów.

„Trzy ofiary morderstw, które wyglądają bardzo podobnie... a może... nie, to byłoby zupełnie szalone”, ale w jej umyśle zostało już zasiane ziarno.

– Wojskowe ubrania, mówisz? – John siada przed Kim.

– Tak.

John unosi brwi.

– To nie brzmi ani jak sekta, ani ja Lwy. I ten świński łeb... zastanawiam się... – Milknie, wyglądając przez okno.

– Co? Myślisz, że to milicja?

– Być może.

– A dlaczego właśnie oni mieliby ścigać Fadumę?

– Albo ciebie? – pyta John, a żołądek Kim ściska się w kulkę.

– Jest jeszcze jedna sprawa – szepcze.

– Co?

– Na pewno zupełnie zwariowałam, ale wiesz... wszyscy ci zaginieni i te zabite kobiety? Może w December grasuje seryjny morderca?

– Jesteście kretykami – mówi Tom do mężczyzn, którzy mieli sprowadzić Fadumę na przesłuchanie.

Siedzi na swojej werandzie z nogami na balustradzie, a ci idioci stoją przed nim jak dwaj skarceni uczniowie.

– Musicie na jakiś czas zniknąć z miasta. Dam znać, kiedy będziecie mogli wrócić, o ile w ogóle będziecie mogli.

Dwóch mężczyzn trzymających w każdej ręce duże blaszane wiadro przechodzi obok nich przez podwórze. Dziś wymiana zapasów wody. Oraz inwentaryzacja broni i prowiantu. Dzień pełen zajęć, który ci dwaj idioci popsuli.

Chłopaki kiwają głowami ze wstydem.

– Okej, szefie – mówi Stellan Forsman, ten z raną w brzuchu.

W sumie nie jest tak źle. Wszyscy ćwiczyli szycie mniejszych ran i tak dalej, ale to był pierwszy raz, kiedy Tom musiał zająć się głęboką, potencjalnie śmiertelną raną kłutą w ciele, które nie należało do martwego zwierzęcia. Jest zadowolony z efektu, a dowód jego sukcesu stoi tu na własnych nogach. Nie dostał jeszcze jednak antybiotyków. To przypomina Tomowi, że trzeba zrobić nowe zamówienie. Znaleźć nowego dostawcę. Powinien też wciąż myśleć o Lwach Afryki. Faduma była kluczem do tych drzwi, ale teraz...

Tom wpada na pomysł.

– Skoro musicie stąd spadać, to możecie równie dobrze przydać się do czegoś. Jedźcie do Sztokholmu. Dowiedzcie się wszystkiego, co się da, o Lwach i o tym, gdzie teraz są. Czy planują tu przyjechać i zemścić się za strzelaninę. A może myślą, że to był ten drugi gang? Czy szukają tej czarnej? Wiecie, o co chodzi. Wtopcie się. Dowiedzcie się wszystkiego, czego się da. Ale raportujcie tylko przez zaszyfrowany telefon. Żadnego pisania. Żadnych wiadomości, żadnych maili. Tylko bezpośrednie rozmowy, okej?

Kiedy Stellan i Tony znikają, Tom wzdycha ciężko. Wszystkie kryzysy można przemienić w coś dobrego – tego nauczyło go życie. Właśnie ma wejść do środka, kiedy dzwoni telefon. Na ekranie pojawia się numer Major.

– Co znowu? – mruczy pod nosem i odbiera połączenie.

Major wydaje się wzburzona. Szybko oddycha, a Tom ledwo zdąży coś powiedzieć, kiedy ona zaczyna paplać.

– Do cholery. Czy to ty?

– Czy to ja co?

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Wiele można o tobie powiedzieć, ale w coś takiego trudno mi było uwierzyć. Jak nisko człowiek może upaść?

Tom wstaje poruszony jej tonem. To jednak, co wydaje się wściekłością, skrywa tak naprawdę coś innego. Jej chyba jest naprawdę... przykro. To do niej niepodobne. W duszy Toma poruszona została jakaś struna. Taka, o której myślał, że już całkiem zardzewiała i nigdy się nie odezwie.

– Co się stało?

Major chrypi po drugiej stronie.

– Wszystkie nasze leki. Które właśnie kupiliśmy za wszystkie pieniądze. Ktoś... ktoś je zwinął. Mamy tu chore dzieci, które ich potrzebują. Starych ludzi, którzy nie dadzą sobie rady. Jeśli to ty, to...

– Do diabła, mam – protestuje Tom. – Nie, nie ukradłem wam żadnych leków.

W słuchawce zapada cisza, w pobliżu w powietrze unosi się stado wron. Już od wielu lat szef milicji nie nazwał swojej matki inaczej niż „Major”.

„Zbadanie całego tego kompleksu zajmie strasznie dużo czasu” – zdaje sobie sprawę John, pocąc się w białym kombinezonie, który dostał od Vallego. Ten, który założył Valle, pękł w kroku już po godzinie, standardowo. I jak zwykle wszyscy z niego żartowali, że może to zawdzięczać swojemu znakomitemu wyposażeniu.

Praca idzie sprawnie. Dokładnie przejrzeć trzeba jednak wiele budynków, a do tego to gównno...

John stoi na tyłach stajni, patrząc w stronę lasu. Z tego, co udało im się ustalić, całkiem wielu sekciarzy uciekło przed tym pierwszym nalotem, biegnąc prosto do lasu. Policja nie ma pojęcia, ilu ich było i jakie dowody ze sobą zabrali. Jeszcze nie ma.

John widzi ślady, całą masę. Czegoś, co wleczono po ziemi. Idzie za nimi za linię drzew i przechodzi go dreszcz. Cienki kombinezon przepuszcza wiatr, który w ostatnich dniach stał się jeszcze zimniejszy. Nie zazdrości Vallemu zbierającemu ślady biologiczne z łózka, które ich zdaniem należało do Słońca i Baltazara. Jak to ujął Valle, kiedy oświetlili je ultrafioletową lampą, cała pościel świeciła jak pieprzony rave w Berlinie.

„Muszę pamiętać, żeby jeszcze porozmawiać z Frankiem o... wszystkim”.

Uczucie, które pojawiło się na posterunku, nie opuszcza Johna. I to, co powiedziała Kim. Seryjny morderca w December? Pojawia się kolejne wspomnienie. Huta. Kiedy była w pokoju z Alvarezem, który wziął zakładników. Co on mówił o Carlu Ackermannie... że kiedyś zabił dziewczynę? Może było ich więcej?

Poza tym wciąż nie ma Mullego, a John nie posunął się nawet o drobny kroczek w sprawie tego, co stało się z Sarą i Mattiasem. Na dodatek wciąż czuje w ramionach Kim, jak ciepłe wspomnienie okraszone wyrzutami sumienia.

Wchodzi dalej w las, coraz bardziej pograżając się w rozmyślaniach. Jutro przynajmniej wróci z Norwegii Mona z mężem. John bardzo na to czeka. Po przejściu pięćdziesięciu metrów zauważa, że idzie po słabo zarysowanej ścieżce. Pewnie to szlak, z którego korzystają leśne zwierzęta...

...albo zwierzęta z sekty.

Ścieżka prowadzi po lekkiej pochyłości, kończąc się na polanie. John zatrzymuje się i mierzy ją wzrokiem. Na drzewach wiszą dziwne formacje wykonane z rogów, a na korze pni ktoś wyciosał znaki. Ziemia jest tu jakaś dziwna... John sztywnieje. Grunt nie wygląda naturalnie. Widać na nim wyraźny wzór. Pamięć podsuwa mu pytanie Vallego: „Czy to wikiński grób?”.

John nagle zdaje sobie sprawę, na co patrzy, tętno mu skacze, kiedy próbuje wydobyć z kieszeni krótkofalówkę, oglądając się jednocześnie za siebie. Jest daleko od taśm ogradzających badany teren. Co najmniej sto metrów od siedziby sekty. Pot ścieka mu z czoła, kiedy w końcu udaje mu się wydobyć radio.

– Valle? – mówi. – Zgłoś się, Valle.

Czeka na odpowiedź. Valle prawdopodobnie też trzyma radiotelefon w kieszeni spodni, pod białym kombinezonem.

– Co jest, John?

– Musimy tu przynieść więcej taśmy i sprzętu. Jestem sto metrów... – sprawdza kompas w telefonie – ...mniej więcej sto metrów na północny zachód od stajni.

– Sprzęt? Po co?

John obchodzi łąkę, przyglądając się nienaturalnie falującemu terenowi. Regularne formy. Niektóre wyraźnie stare, inne całkiem nowe. Znaki na drzewach. Dziwne formacje z kości i rogów wśród gałęzi.

– Myślę, że znalazłem cmentarz sekty – odpowiada.

– Niech to szlag – wzdycha Valle. – Okej. Zrobimy to systematycznie. Możesz na razie zrobić prowizoryczne ogrodzenie?

John nie odpowiada. Opada na kolana ze wzrokiem wbitym w niewielki, zielony plastikowy przedmiot.

– Halo? John?

Ręka mu drży, kiedy pochyla się i zdejmuje zgniły liść.

– John? Jesteś tam? Zgłoś się.

John już nie słyszy Vallego. Jego radio leży porzucone na ziemi. Wbija kolana w leśne poszycie, przestał oddychać. Wpatruje się w figurkę, a serce wali mu jak młotem. Zielony plastikowy żółw. Żółw ninja, któremu brakuje nogi, bo...

...bo Mattias odgryzł ją, kiedy był mały.

Silnik koparki ryczy w ostrych promieniach reflektorów, które rozstawiono między drzewami na cmentarzu sekty. John stoi jak skamieniały i przygląda się łyżce zbliżającej się do ziemi. Serce wali mu jak szalone.

To nie mogło czekać. Wszyscy się z tym zgadzali. Zanim rozpoczęto kopanie, zrobiło się ciemno. John ledwo może oddychać. Czy jest gotowy na to, co być może znajdą? Zakopane tutaj na wzgórzu?

Ściska mocno w ręce żółwia Mattiasa.

„Nie, nie jestem gotowy”.

Łyżka wbija się w grunt i wykopuje ogromną ilość ziemi. Słysząc trzaski, kiedy pękają korzenie, a powietrze wypełnia się zapachem wilgotnej gleby. John widzi dżdżownicę, która zwija się przerażona. Ziemia jeszcze nie przemarzła. Kiedy łyżka odsuwa się na bok i wyrzuca swoją zawartość, słychać szum spadającej ziemi.

John przytrzymuje się najbliższego drzewa. Wróciły zawroty głowy. Zamyka oczy.

„Czy leży tu ciało mojego dziecka? Mojej żony?”

Podsakuje, gdy Valle kładzie rękę na jego ramieniu.

– Wszystko w porządku?

„A tak wyglądam?” – chce odpowiedzieć, ale rezygnuje. Potrząsa tylko głową, zagryzając zęby.

Valle patrzy na rękę Johna, tę, z której wystaje zielona plastikowa figurka. Dobrze wie, że nie może powiedzieć nic, co poprawiłoby sytuację. Wskazuje więc tylko głową koparkę.

– Wkrótce się dowiemy – mówi.

John przełyka ślinę. Czy chce wiedzieć? Czy leżą tu Sara i Mattias. Martwi. Zamordowani. Może okaleczeni w taki sam sposób jak Martin Lang i Eddie Branko. Czy będzie w ogóle mógł żyć z tymi obrazami w pamięci?

To jest jednak nielogiczne. Dlaczego, do diabła, Sara miałaby zabrać Mattiasa i uciec tutaj do December? Wszyscy ludzie, z którymi rozmawiał, wydawali się przecież jej nienawidzić. Nie było tu nic dla niej. Nie licząc być może Kurta Stranda. Ale on też już nie żyje.

Koparka wyrwała kolejną porcję gruntu, a stojący obok niej Axel Luo podnosi rękę.

– Czeka! – woła.

Podchodzi bliżej. Świeci latarką w dół.

– Mamy ciało – mówi przez radio. – Wygląda na świeże.

John nie potrafi już dłużej powstrzymać łez.